MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 17 kwietnia 2022 nr 16 (3797)
cena 12 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

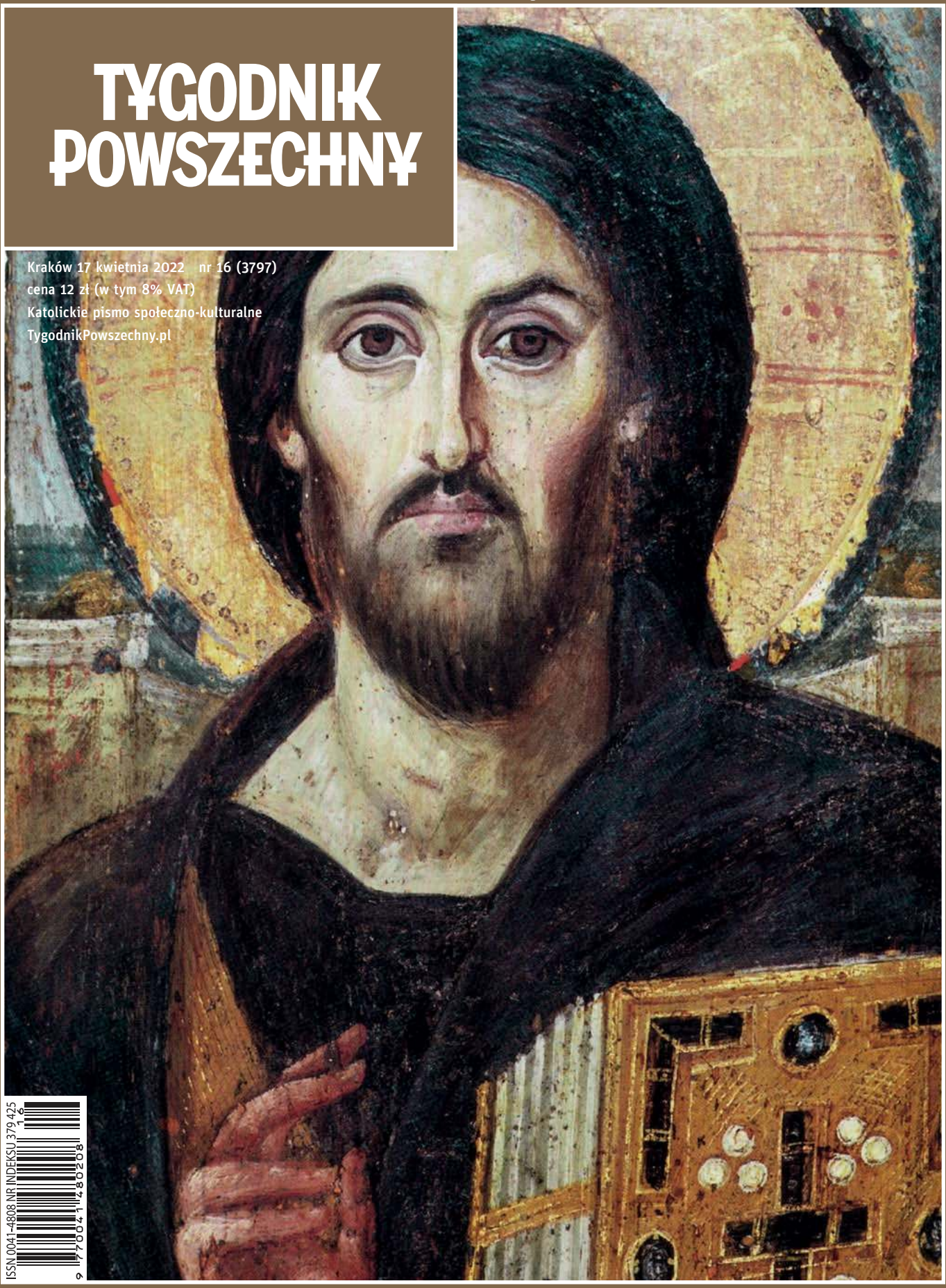

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

festiwal ludwiga van beethovena

26. wielkanocny

3–15.04.2022 / warszawa

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena
Filharmonia Narodowa
dwójka
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca
Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy
PARTNER GŁÓWNY LOTTO
MECENAS ORLEN

TYGODNIK POWSZECHNY

zasiej nadzieję!

Już w wydaniu na majówkę – **prezent** dla naszych Czytelniczek i Czytelników – saszetka z nasionami najpiękniejszych kwiatów łąkowych: lnu, ogórecznika, żmijowca greckiego, facelii błękitnej, nagietka czy krokosza barwierskiego.

Łąka Powszechna dostępna już od **27 kwietnia**, wyłącznie z podwójnym wydaniem wiosennym „Tygodnika Powszechnego".

Białystok

pani łąka

RMF CLASSIC

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // RYS. ANNA PRUSIEWICZ / DOLASU

WIELKANOC

HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

ANDRÉ LUÍS ALVES / GLOBAL IMAGES / SIPA / EAST NEWS

12 Jak wyjść z przepaści
ZBIGNIEW NOSOWSKI
Nadzieję można znaleźć także na samym dnie bólu, cierpienia i krzywdy.

15 Budzik zamiast syreny
ROZMOWA Z O. JAKUBEM GONCIARZEM Z KIJOWA:
W codzienności na wiele rzeczy przestajemy zwracać uwagę.

18 Bezsiła Mesjasza
PIOTR SIKORA
Opowieść o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa wcale nie jest łatwa do przyjęcia dla ludzi doświadczających przemocy.

20 Tam i z powrotem
RYSZARD KOZIOŁEK
Co robił Jezus podczas trzydziestu godzin w otchłani?

24 Prawdziwie zmartwychwstał
ROZMOWA Z OLGĄ SOLARZ:
Wielkanoc na Ukrainie jest świętem o wiele bardziej radosnym niż w Polsce.

27 Najlepsza cząstka
MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Odruch Marty z Betanii odzwierciedla to, co w nas najbardziej ludzkie.

31 Nasi bracia mniejsi
BEATA SZADY
W wielu miejscach obrzęd święcenia zwierząt zupełnie zanikł.

TP

Nie da się tajemnicy spokojnie zamknąć w stare schematy. A tu schemat – narodziny, życie, śmierć – został naruszony. Naruszony wtedy i na zawsze. Śmierć okazała się narodzeniem; nie końcem, lecz nowym początkiem. Zmartwychwstanie jest światłem, którego nikt ani nic nie zdoła przesłonić.

KS. ADAM BONIECKI „MEDYTACJE DROGI KRZYŻOWEJ"

Drodzy Czytelnicy,
na święta Wielkiej Nocy życzymy Wam i sobie niepopadania w schematy i odważnego podążania drogą światła.

„TYGODNIK POWSZECHNY"

6 Wojna po Buczy
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

36-37 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

38 Brudna gra
KAROLINA LEWICKA: *Marian Banaś prowadzi wendetę przeciwko PiS*

42 Bardzo polski nieład
PIOTR WÓJCIK: *Rząd obniża podatki, skąd weźmie pieniądze na inwestycje?*

44 Upadłem na raty
MAREK RABIJ: *Mój bohater śni czasem, że jest w centrum handlowym i potrafi wyjść bez zakupów*

ŚWIAT

52 Życie uchodzi
PAWEŁ PIENIĄŻEK ZE SŁOWIAŃSKA I KRAMATORSKA: *Kto może, próbuje się stąd ewakuować*

56 Przyjaciele z boiska
ZBIGNIEW ROKITA: *Działacze organizacji piłkarskich udają, że nie widzą wojny*

58 Ostatnia klasa
JAN RYBICKI: *Dla wielu ukraińskich nastolatków szkoła to psychiczne oparcie. Nawet gdy mają lekcje online*

61 Czy Ukraina może wygrać z Rosją
ROZMOWA Z PETEREM CADDICKIEM-ADAMSEM: *Częścią planu Putina może być ludobójstwo narodu ukraińskiego*

PORTRET

66 Etiuda rewolucyjna
WOJCIECH JAGIELSKI
Życiorys Thomasa Sankary to opowieść o Afryce, przyjaźni, zdradzie i tęsknocie za dobrym przywódcą.

REPORTAŻ

48 Pojechali
ANDRZEJ MUSZYŃSKI
Nie byłem gotowy na takie spotkanie. Z innymi uchodźcami. Niechcianymi.

KASIA KOŻAKIEWICZ DLA „TP"

81 Nagroda Kazaneckiego

FELIETONY

47 JACEK PODSIADŁO **70** WOJCIECH BONOWICZ **84** HANNA KRALL **102** JAN KLATA **103** PAWEŁ BRAVO **110** STANISŁAW MANCEWICZ **110** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: IKONA PANTOKRATORA Z KLASZTORU ŚW. KATARZYNY NA SYNAJU / DOMENA PUBLICZNA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

HISTORIA

72 Światło na czas mroku
MATEUSZ POJNAR: *Od ponad 50 lat pastor Erich Busse działa na rzecz pojednania polsko-niemieckiego*

NAUKA

76 Ostatnia furtka
ŁUKASZ LAMŻA: *Opowieść o pierwszym człowieku kontaktującym się ze światem wyłącznie przez aktywność swojego mózgu*

KULTURA

91 Instytut obalania wojen
MAGDA HEYDEL: *Z wystaw Krzysztofa Wodiczki wynika, że to my sami jesteśmy pomnikami wojny*

95 Nieskończone poprawiny
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Nawet jeśli zapomnimy o katastrofie smoleńskiej, ona nie zapomni o nas – pokazują Zenon Fajfer i Anna Augustynowicz*

98 Grzebanie w tradycji
JAN BŁASZCZAK: *Zespół Polskie Znaki przybliża współczesnemu słuchaczowi dawne pieśni pogrzebowe*

100 Nasza piękna pralnia
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Wszystko wszędzie naraz" Daniela Kwana i Daniela Scheinerta*

102 Oddech w szalonym świecie
LEKTOR *o książce „Świat zwariował" Agnieszki Taborskiej*

WYWIADY

87 Coś pozytywnego
MUNIEK STASZCZYK:
Nie chcę być gościem, który mówi, że dziś sama komercha. Świat się musi zmieniać. A ja kocham współczesność i staram się być w niej sobą.

104 Rozmowa o zmywaniu naczyń
MICHAŁ CICHY:
Wychodzenie ze strefy komfortu to zło. Chcę w niej pozostawać i stopniowo ją rozszerzać, aż obejmie całe życie.

ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL /TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Molestowanie na UW
Dwa tygodnie po reportażu ze świadectwami kobiet zarzucających mu molestowanie znany językoznawca pisze o „kłamliwej nagonce" – sprawę opisuje **ANNA GOC**
powszech.net/molestowanie-uw

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
Gdyby wiersz „Bagnet na broń" przetłumaczyć dziś na ukraiński, to byłby narodowym wierszem za naszą wschodnią granicą – o poezji i końcach, które stają się początkiem, opowiada **WOJCIECH BONOWICZ**
powszech.net/podkast

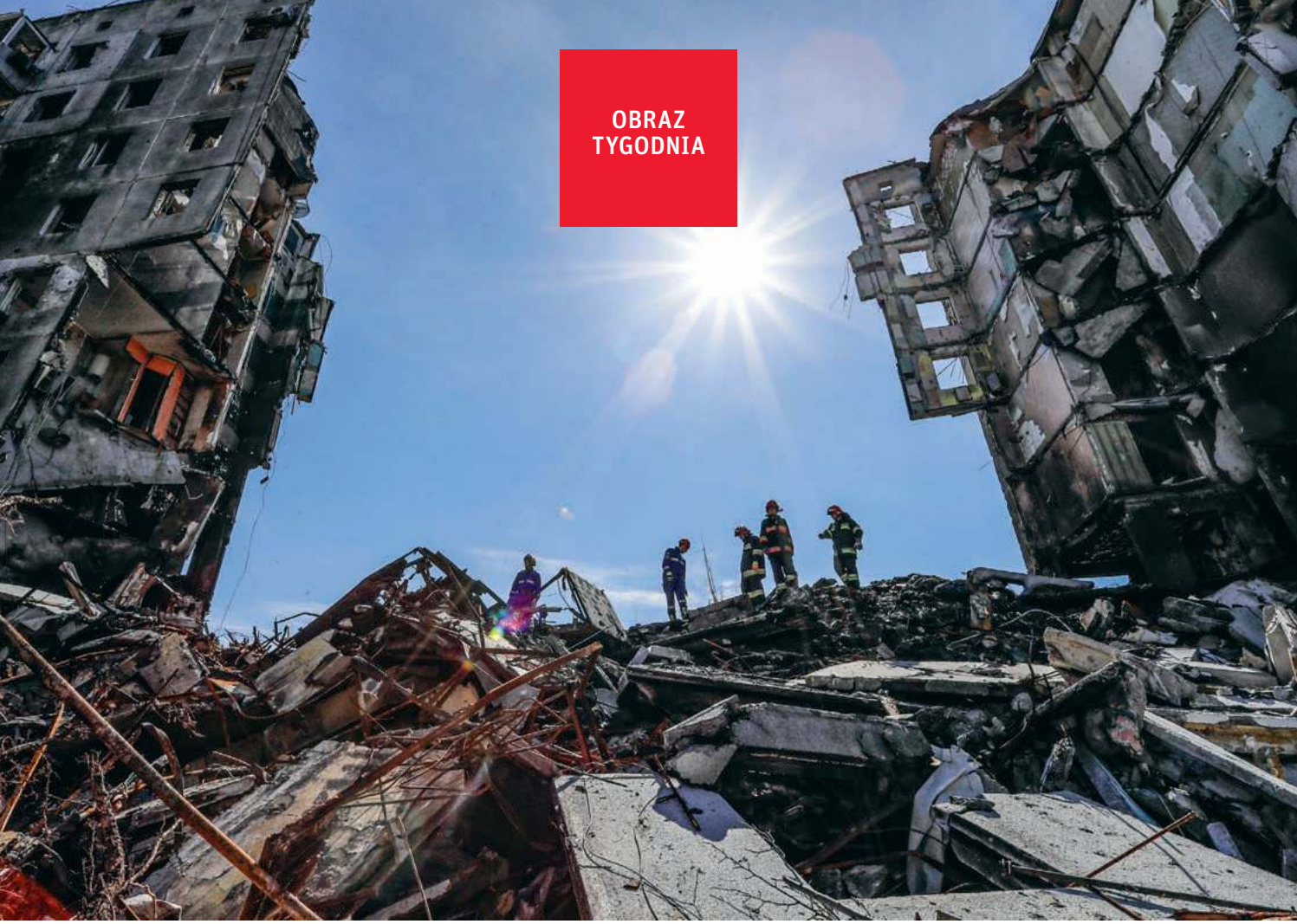

OBRAZ TYGODNIA

WOJNA PO BUCZY

Ukraina odkrywa dowody kolejnych zbrodni rosyjskich i przygotowuje się do odparcia wielkiej ofensywy w Donbasie.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Wycofanie wojsk rosyjskich z terenów na północ od Kijowa sprawiło, że świat usłyszał nazwę Bucza. Wyzwalając to miasto, wojska ukraińskie znalazły ponad 400 zamordowanych cywilów – rozstrzelanych na ulicach oraz w zorganizowanych naprędce katowniach, chowanych w masowym grobie. Bucza stała się jednym z symboli zbrodni Rosji na Ukrainie.

Potem okazało się, że takich miejsc jest więcej: Irpień, Makarów, Borodzianka i wiele innych. Początkowe niedowierzanie zamieniło się w złość i pogłębiło ukraińską nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie. Wszystko wskazuje na to, że Bucza nie była bowiem efektem „ekscesów" tego czy innego oddziału, ale modelem rosyjskiego działania na terenach, które miały to nieszczęście, że znalazły się pod kontrolą Rosji. Represje wymierzone były głównie w miejscowe elity i rodziny osób służących w armii, co w Polsce znamy z okresu po 17 września 1939 r. Zbrodnie dotknęły też osoby przypadkowe, co dowodzi, że ich celem było zastraszenie ludności.

Po Buczy zaczęły się dyskusje prawników, jak zakwalifikować zbrodnie: czy spełniają one kryteria zbrodni przeciw ludzkości lub nawet ludobójstwa. Rozważania te będą trwały, a dalsze działania Rosji na terenach okupowanych dostarczą kolejnego materiału dowodowego.

Ukraińcy nie bawią się jednak w podobne spory. Dla nich trwająca wojna ma charak-

Poszukiwanie ofiar pod gruzami osiedla w mieście Borodzianka, w rejonie (powiecie) Bucza pod Kijowem. 7 kwietnia 2022 r.

ter egzystencjalny, a rosyjskie działania – charakter ludobójczy. Jeśli ktoś miałby wątpliwości, to codzienne działania Rosjan, w tym ostatni atak na dworzec kolejowy w Kramatorsku (57 zabitych cywilów, 109 rannych) i dehumanizująca Ukraińców propaganda lejąca się z rosyjskich mediów dostarczą na to wielu dowodów. Podobnie jak wypowiedzi przedstawicieli Kremla. Dmitrij Miedwiediew, były prezydent i wierny „żołnierz" Putina, poświęcił kwestii ukraińskiej specjalny artykuł. Nie tylko zakwestionował w nim ukraińską tożsamość, ale zapowiedział konieczność przymusowej reedukacji Ukraińców i zabicie władz w Kijowie. Jeśli kiedyś powstanie (a powinien) międzynarodowy trybunał do spraw rosyjskich zbrodni na Ukrainie, to ten tekst – o charakterze otwarcie totalitarnym – powinien stać się jednym z materiałów dowodowych.

Skala rosyjskich zbrodni sprawia, że jakiekolwiek negocjacje pokojowe Ukrainy z Rosją stały się o wiele trudniejsze. Wprawdzie Kijów ich nie odrzuca, uznając, że mimo wszystko nie należy ich zrywać. Od dawna jest jednak jasne, że na tym etapie wojny to nie rozmowy rozstrzygną o jej wyniku, ale starcie w polu boju.

Rosjanie opuścili północne obwody Ukrainy i koncentrują teraz swoje siły wokół Charkowa oraz w Donbasie; chcą zapewne zająć cały ten region (obecnie kontrolują ok. 2/3 dawnego obwodu donieckiego i ługańskiego). Ukraińcy informują, że zbliżające się wielkie starcie pancerne może zdecydować o wyniku tej wojny. Dlatego Kijów apeluje do Zachodu o możliwie szybkie dostawy ciężkiego uzbrojenia. Szef ukraińskiej dyplomacji mówi bez ogródek: „Potrzebujemy broni, broni i broni!". Poza dostawami amerykańskimi na Ukrainę trafiły już czeskie i polskie czołgi T-72 oraz słowackie systemy obrony przeciwlotniczej S-300. To jednak wciąż za mało. Niestety na Zachodzie nadal nie wszyscy zdają sobie sprawę, co jest stawką tej wojny: Ukraińcy walczą nie tylko o przyszłość swojego państwa, ale również o kształt porządku międzynarodowego w Europie.

Zapytany o zaczynające się starcie w Donbasie, prezydent Zełenski mówi: „Niektórzy mówią, że będzie ono decydujące. Nie chcę jednak brać na siebie odpowiedzialności co do prognoz. Będzie to trudna batalia, wierzymy w nasze zwycięstwo". ©

Czy rosyjska władza podżega do ludobójstwa

NA ŁAWIE OSKARŻONYCH w Norymberdze Władimir Putin ze współpracownikami: taki fotomontaż – jedna z licznych grafik, jakie pojawiły się w internecie po ujawnieniu zbrodni w Buczy i innych ukraińskich miejscowościach – ma podnosić na duchu. Nie podnosi. Sprawcy masowych egzekucji cywilów mogą zostać ukarani, ale prawdopodobieństwo tego jest małe; na ewentualne procesy w sprawie zbrodni wojennych poczekamy lata; Putin pozostanie najpewniej bezkarny do śmierci. Nowa faza wojny – której skalę zapowiadają wezwania władz w Kijowie do ewakuacji ludności ze wschodu kraju – może oznaczać więcej rosyjskich zbrodni.

Nawet jeśli to, co stało się w Buczy, nie zostanie uznane za ludobójstwo (tj. zbrodnię, której celem jest zniszczenie grupy narodowej lub etnicznej, w całości lub w części), to Kreml może zostać o nie oskarżony. W ostatnich dniach rosyjska władza coraz częściej prezentuje ludobójcze myślenie (takiego określenia użył badacz londyńskiego King's College). Oto Dmitrij Miedwiediew, wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa FR, ogłasza na Telegramie, że „sama istota ukraińskości (...) to jeden wielki fejk"; agencja prasowa RIA Nowosti żąda eksterminacji ukraińskich elit i „deukrainizacji" społeczeństwa; Putin od dawna odmawia Ukraińcom prawa do tożsamości; wzięci do niewoli rosyjscy żołnierze mówią o „czyszczeniu" kraju z domniemanych „faszystów".

Wszystko to – w połączeniu z sączącą nienawiść do Ukrainy kremlowską propagandą – przywołuje na myśl niesławne rwandyjskie Radio Tysiąca Wzgórz czy serbską propagandę w Bośni. Przybliża też – tylko trochę, ale jednak – perspektywę pociągnięcia do odpowiedzialności za zbrodnie choćby niektórych jej sprawców. Jeśli bowiem cokolwiek w kontekście Buczy może dać nadzieję – to tym czymś jest długa pamięć świata. Zbrodnie przeciwko ludzkości nie ulegają przedawnieniu.

©℗ MARCIN ŻYŁA

„Przełomowy" gest papieża Franciszka

EDWARD AUGUSTYN

PUTIN NIE MA PIENIĘDZY W WATYKAŃSKIM banku, a Stolica Apostolska nie jest przeciwna wysyłaniu broni do Ukrainy – informuje nuncjatura w Kijowie. Pierwsze z tych zdań odnosi się do rozpowszechnianego fake newsa, drugie – do słów kard. Pietra Parolina, tak zniuansowanych, że wymagających oficjalnej wykładni.

Watykańska dyplomacja ma ciężki czas. Pokojowa doktryna, budowana przez sześć ostatnich pontyfikatów, uznająca negocjacje i nacisk międzynarodowych instytucji za jedyną drogę rozwiązywania konfliktów, właśnie legła w gruzach. Rosja – stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ – zaatakowała Ukrainę, pomimo prowadzonych rozmów i składanych przez Kreml obietnic.

Do tego Franciszek kwestionuje ważny, zwłaszcza w obecnej sytuacji, element tej doktryny: pojęcie „wojny sprawiedliwej", za którą zawsze uważano wojnę obronną. A obecna sytuacja, jakby w odwecie, kwestionuje najważniejsze hasła jego pontyfikatu: braterstwo, pojednanie i przebaczenie. Papież chce być im wierny, a świat – także chrześcijański – wolałby je zawiesić na czas wojny.

Komunikacyjny chaos potęgują niespójne wypowiedzi papieża i jego służb – słowa „wojna" użyto dopiero po kilku dniach inwazji, którą wpierw nazywano „militarną operacją". Mówiono o stronach konfliktu, wzywając ofiarę i agresora do wzajemnego uznania racji. Jako ofiary wojny traktowano tak ukraińskich cywilów, jak i rosyjskich żołnierzy (przynajmniej do czasu Buczy). Przykłady można mnożyć, także z ostatniego tygodnia: papież mówił o pracach nad kolejnym spotkaniem z patriarchą Cyrylem, sekretarz stanu uznał je za bezcelowe. Franciszek sprzeciwił się przekazywaniu broni Ukrainie, kard. Parolin dawał do zrozumienia (albo „przyznawał z bólem"), że jest to dopuszczalne.

Dyplomaci Watykanu są sfrustrowani. Jeden z nich, parafrazując słowa Winstona Churchilla, mówi o Franciszku: „By ratować pokój, położył na szali autorytet. Stracił jedno i drugie". Ale zapewnia, że stanowisko papieża jest coraz bardziej stanowcze: podczas ostatniej audiencji Franciszek rozwinął ukraińską flagę. A to – jak mówi – gest przełomowy. ©℗

CENG SHOU YI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Obietnice na kredyt

MAREK RABIJ

SIÓDMA JUŻ – A DO TEGO NAJWIĘKSZA OD 2000 R. – podwyżka stóp procentowych wywindowała je do poziomu niewidzianego od dekady. Główna stopa NBP wzrosła aż o jeden punkt procentowy i wynosi obecnie 4,5 proc. Dla klientów banków, którzy kredyty zaciągnęli rok temu – czyli w okresie, kiedy stopy były jeszcze na rekordowo niskim poziomie 0,1 proc. – oznacza to zwykle wzrost miesięcznej raty o 100 proc. w porównaniu z wyjściową! A wiele wskazuje na to, że przed nami jeszcze co najmniej dwie podwyżki i realne ryzyko wzrostu głównej stopy NBP do 5,5-6 proc.

Z informacji zdobytych przez RMF FM wynika, że rząd kończy prace nad programem wsparcia dla zadłużonych. Pomoc najbardziej poszkodowanym w ramach Funduszu Wsparcia Kredytobiorców miałaby polegać na uruchomieniu wieloletnich nieoprocentowanych pożyczek na spłatę rat. Możliwe jest też ograniczenie marż kredytowych na kilka najbliższych miesięcy.

Na ratunek zadłużonym ruszyła też opozycja. Donald Tusk zapowiada ustawę, dzięki której „ci, którzy wzięli kredyt hipoteczny, będą mogli płacić raty w takiej samej wysokości jak pod koniec zeszłego roku", ale nie zdradza szczegółów. Festiwal tych obietnic z rosnącym zdumieniem śledzą zaś frankowicze, którym państwo od lat odmawia pomocy i każe szukać sprawiedliwości w sądach. ©℗

Ludwik Dorn, polityk z właściwościami

WŚRÓD POLITYKÓW bez biografii i właściwości coraz mniej takich: w życiorysie Ludwika Dorna była świetna karta opozycyjna w PRL, która z harcerskiej Czarnej Jedynki zaprowadziła go do pomocy robotnikom Radomia w 1976 r. (został wówczas pobity przez milicję), do KOR, a następnie Solidarności. Były też świetne teksty i tłumaczenia (przybliżał polskiemu czytelnikowi m.in. prozę Johna Le Carré, w wydanym u progu przełomu numerze „Literatury na Świecie" poświęconym pisarzowi opublikował pamiętny esej „Szpiedzy: zgrzybiałe, niepotrzebne dzieci"), a nawet bajki dla dzieci.

Nazywany „trzecim bliźniakiem", przez lata współpracował z braćmi Kaczyńskimi, co przyniosło mu posadę szefa MSWiA i marszałka Sejmu. W parlamentarnych polemikach doceniany także przez oponentów, w wywiadach prasowych błyskotliwy, w ostatnim czasie stał się jednym z najwyrazistszych krytyków PiS. Zmarł w wieku 67 lat. ©℗ MO

KRAJ W SKRÓCIE

SMUTNO

„Nie ukrywam, że to wszystko jest bardzo smutne" – powiedział Jarosław Kaczyński o postawie premiera Węgier Viktora Orbána wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę, co wydaje się kończyć tęsknoty prawicowej publicystyki za „Budapesztem w Warszawie".

GŁOŚNO

W rocznicę katastrofy smoleńskiej w części polskich miast zawyły syreny; wiele samorządów odmówiło jednak zastosowania się do decyzji szefa MSWiA w tej sprawie, powołując się na traumatyczne skojarzenia z alarmami bombowymi u przebywających w Polsce uchodźców z Ukrainy.

HUCZNIE

„Po raz pierwszy mamy odpowiedź; konsekwentną odpowiedź, odpowiadającą na wiele pytań i zweryfikowaną" – powiedział (nie po raz pierwszy) Jarosław Kaczyński podczas obchodów rocznicy. Już po zamknięciu tego numeru „TP" miał zostać przedstawiony raport tzw. podkomisji smoleńskiej, który – zgodnie z deklaracją Antoniego Macierewicza – jednoznacznie stwierdza, że przyczyną dramatu był „akt bezprawnej ingerencji polegający na zniszczeniu samolotu eksplozją".

PIĘKNIE

Nie po raz pierwszy także na podtatrzańskich polanach pojawiły się krokusy, a w ślad za nimi „krokusowe patrole", w ramach których wolontariusze pilnują, by delikatne kwiaty nie zostały zadeptane przez turystów.

MAREK PODMOKLY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Coraz więcej prób samobójczych dzieci

1496 DZIECI I NASTOLATKÓW poniżej 18. roku życia podjęło w 2021 r. próbę samobójczą, 127 przypadków zakończyło się śmiercią – wynika z danych policji. To gwałtowny wzrost zachowań samobójczych – ostrzegają autorzy raportu platformy edukacyjno-pomocowej „Życie warte jest rozmowy". W stosunku do roku 2020 liczba zachowań samobójczych wzrosła o 77 proc. (100 proc. wśród dziewczynek), a śmierci o 19 proc.

Problem dotyka coraz młodszych dzieci: w grupie wiekowej 7-12 lat w 2020 r. było 29 zgłoszeń, w 2021 r. – 51. Wspomniany raport przytacza szacunki Światowej Organizacji Zdrowia, według których na każdą zgłoszoną organom państwowym śmierć samobójczą młodej osoby przypada od 100 do 200 prób. Oznaczałoby to, że w Polsce próbę samobójczą podjęło między 12,7 tys. a 25,4 tys. młodych ludzi. WHO ocenia, że to narastający problem globalny.

„Połowa nastolatków, jeśli przeżyje próbę, ponawia ją w ciągu roku. To oznacza, że to najwyższa grupa ryzyka popełnienia samobójstwa" – mówił podczas zeszłotygodniowych obrad sejmowej podkomisji ds. zdrowia psychicznego wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski. „Oddziały psychiatrii są przepełnione na poziomie dwustu procent, wszystkie przyjęcia dotyczą dzieci w stanie ostrym. Nawet gdyby funkcjonowały restrykcyjne standardy, to np. nie ma miejsc, w których prowadzi się terapię traumatycznego stresu u dzieci. Pacjenci wychodzą więc do środowiska, gdzie nie znajdują wsparcia" – podkreśliła prof. Agnieszka Gmitrowicz z Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Rzecznik praw dziecka ocenił, że „ogromnym piętnem na psychice młodych ludzi" odciska się pandemia oraz kryzys uchodźczy. Wskazał na konieczność pilnego wsparcia dla dzieci oraz psychoedukacji dla dorosłych, „którzy jako pierwsi mogą zwrócić uwagę na niepokojące sygnały w zachowaniu dzieci". Według Mikołaja Pawlaka telefony zaufania, „nie tylko RPP, ale różnych fundacji, instytucji, wymagają promocji, bo niekiedy są ostatnią deską ratunku".

Wawrzyniec Kowalski z Ministerstwa Edukacji i Nauki zapewnił, że w szkołach będą organizowane specjalne zajęcia, a w placówkach zatrudniani dodatkowi nauczyciele specjaliści, psycholodzy i pedagodzy – chodzi o 30 tys. etatów w ciągu kolejnych trzech lat. ©℗ MACIEJ MÜLLER

AMBER BRACKEN DLA „THE NEW YORK TIMES"

WORLD PRESS PHOTO 2022 dla fotografki Amber Bracken za zdjęcie czerwonych sukienek zawieszonych na krzyżach przy drodze w Kamloops, upamiętniających rdzenne dzieci, które umarły w kanadyjskich katolickich szkołach z internatem. „To żywa historia, z którą ocaleni wciąż się zmagają" – mówi autorka zdjęcia. Emma Baker, 84-letnia była uczennica Kamloops Indian Residential School, w wywiadzie dla kanadyjskiej stacji CTV News zarzuciła księżom i siostrom zakonnym, że przez lata milczeli w sprawie warunków panujących w tej placówce. „Czułam się w Kamloops jak w więzieniu. Przyszła pora, by cały świat usłyszał o tym, przez co przeszliśmy". ©℗ MAG

Białoruś rusyfikuje polskie szkolnictwo

OD WRZEŚNIA tego roku w szkole w Grodnie będzie tylko jedna lekcja ojczystego języka i jedna godzina polskiej literatury tygodniowo, a pozostałe przedmioty będą prowadzone po rosyjsku – podał portal belsat.eu. Decyzje dotyczące nowych porządków zakomunikowała rodzicom dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 36 dyrekcja, powołując się na nowo uchwalone prawo oświatowe, zgodnie z którym szkoły nie będą mogły nauczać w językach mniejszości narodowych. Na zmianach – informuje strona nadającej z Polski telewizji Biełsat – ma także ucierpieć podobna placówka w Wołkowysku.

Z kolei dziennik „Rzeczpospolita" podaje, że trwający rok szkolny to ostatni, który zwieńczą egzaminy w języku polskim. Po raz ostatni też na świadectwach ukończenia szkół w Grodnie i Wołkowysku ma widnieć nazwa „z polskim językiem nauczania". W obu tych szkołach uczy się łącznie niemal 900 uczniów. ©℗ PW

Kultura pod ostrzałem

LISTA JEST DŁUGA. Ofiarą oblężenia Mariupola padło Muzeum Sztuki im. Archipa Kuindżego. W secesyjnym budynku było ponad 100 prac Kuindżego, wybitnego artysty z II połowy XIX w. Wprawdzie je ukryto, ale zniszczeniu prawdopodobnie uległy dzieła Iwana Ajwazowskiego i Tetiany Jabłońskiej. Muzeum w Mariupolu nie jest wyjątkiem. Do 30 marca według UNESCO ofiarą Rosji padły w Ukrainie 53 obiekty kultury, m.in. 29 miejsc kultu religijnego, 16 zabytków i cztery muzea.

Tym ważniejsza jest międzynarodowa pomoc. Udzielają jej instytucje kultury z Polski i innych krajów. Niedawno 20 muzeów i instytucji z Francji przekazało sprzęt do zabezpieczenia zbiorów. Towarzyszy temu dokumentacja strat. Ukraińskie ministerstwo kultury prowadzi rejestr zniszczeń (https://culturecrimes.mkip.gov.ua); do początku kwietnia znalazło się w nim ponad 180 strat. UNESCO i ONZ UNITAR zbudowały zaś system monitorowania za pomocą zdjęć satelitarnych stanu zabytków. Bazy danych pomogą w ich odbudowie i będą dowodem, bo Rosja musi odpowiedzieć nie tylko za mordowanie cywilów, ale też za niszczenie dóbr kultury – zgodnie z konwencją haską z 1954 r. także to jest zbrodnią wojenną. Doniesienia o losie np. bibliotek na terenach okupowanych świadczą, że mamy tu do czynienia z celowym niszczeniem ukraińskiej kultury. © PIOTR KOSIEWSKI

Francja wybiera

SZYMON ŁUCYK
Z BEAUVAIS (OISE)

W DRUGIEJ TURZE FRANCUSKICH wyborów prezydenckich zmierzą się urzędujący szef państwa Emmanuel Macron i prawicowa populistka Marine Le Pen – wynika z nieoficjalnych wyników pierwszej tury, która odbyła się 10 kwietnia.

Według niemal definitywnych danych z poniedziałku rano, walczący o reelekcję 44-letni prounijny liberał Macron zdobył 27,6 proc., zaś na 53-letnią Le Pen, liderkę skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego (RN), głosowało 23,4 proc. Niespodzianką jest wysokie poparcie dla lewicowego radykała Jean-Luca Mélenchona, lidera Francji Nieujarzmionej (FI): 22 proc.; to więcej niż pięć lat temu, gdy 71-letni weteran lewicy także był bliski decydującej rundy. Z kolei drugi obok Le Pen kandydat skrajnej prawicy – publicysta Éric Zemmour – skończył wyścig na czwartym miejscu (7 proc.).

Wyniki świadczą o rosnących w siłę ekstremach – tak na prawicy (mimo że Le Pen i Zemmour wspierali Putina aż do jego inwazji na Ukrainę), jak i na lewicy (Mélenchon). Klęskę poniosły natomiast, po raz kolejny, do niedawna rządzące formacje: tak klasyczna prawica (Valérie Pécresse), jak i socjaliści (mer Paryża Anne Hidalgo). Inny przejaw choroby francuskiej demokracji: w pierwszej turze głosowało ok. 74 proc. wyborców, co jest jedną z najniższych frekwencji w wyborach prezydenckich w historii V Republiki.

Wyniki te oznaczają, że czeka nas powtórka sprzed pięciu lat. Wtedy zdecydowanie wygrał obecny prezydent (66 do 34 proc.). Pierwsze prognozy, podane już po pierwszej turze, przewidują teraz znów zwycięstwo Macrona, ale już tylko z minimalną przewagą.

Wciąż nie wiadomo więc, kto otworzy szampana 24 kwietnia. Zwycięstwo skrajnej prokremlowskiej prawicy byłoby groźnym sygnałem i dla Francji, i dla Europy. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PAPIEŻ W TELEWIZJI

W Niedzielę Wielkanocną we włoskiej telewizji publicznej RAI 1 startuje serial „Oblicza Ewangelii". Na podstawie arcydzieł sztuki Franciszek będzie opowiadał o postaciach biblijnych, o których kilkakrotnie mówił w ostatnich latach.

VATICAN MEDIA

NOWY KANCLERZ

Papież mianował kard. Petera Turksona z Ghany (na zdjęciu) kanclerzem Papieskiej Akademii Nauk i Papieskiej Akademii Nauk Społecznych. Były prefekt Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka zastąpi na tym stanowisku bp. Marcela Sáncheza Sorondo z Argentyny.

KOSZTOWNA OBECNOŚĆ

Biskupi USA chcą wydać 28 mln dolarów na przygotowanie w 2024 r. Narodowego Kongresu Eucharystycznego oraz kampanii promującej rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystii. To wynik badania Pew z 2019 r., które wykazało, że nie wierzy w nią 69 proc. katolików. Krytycy twierdzą, że zamiast kosztownej kampanii biskupi powinni skupić się na pracy duszpasterskiej.

CHĘĆ POMAGANIA

Szlachetna Paczka zbadała, co Polacy sądzą o pomocy dla uchodźców. Aż 56 proc. społeczeństwa zaangażowało się w pomoc uciekinierom z Ukrainy, a 87 proc. z nich planuje pomagać im dalej w ciągu najbliższych kilku miesięcy.

Młodzi Niemcy proponują nowe Imię Boga

ARTUR SPORNIAK

Na postawione na przełomie V i VI wieku pytanie Pseudo-Dionizego Areopagity (w traktacie „O Imionach Bożych"), jak mówić o Bogu, skoro nie można Go ani nazwać, ani opisać, ani dociec umysłem, ani poznać, współczesną odpowiedź znalazła niemiecka katolicka młodzież. Najbardziej pojemne, a przez to teologicznie trafne imię to Bóg+.

Licząca 80 tys. członków Katolicka Wspólnota Młodych (KjG) – niemiecki odpowiednik polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży (choć bardziej niezależny od kościelnych struktur niż polska organizacja) – zaproponowała to na swojej niedawnej dorocznej krajowej konferencji. „Jednostronne, męsko-patriarchalne, białe obrazy Boga utrudniają dostęp do Boga młodym ludziom, którzy nie potrafią rozpoznać się w tych obrazach. (...) Za pomocą Boga+ chcemy zainicjować otwarty dyskurs o różnorodności, zwizualizować różnorodność i zerwać z przestarzałymi obrazami" – napisano w rezolucji. Znak „+" wskazuje, że Boga nie da się zamknąć w żadnych kategoriach i że jest większy i inny, niż o Nim myślimy.

Młodzi Niemcy z KjG powołują się na Biblię, na podstawie której oprócz wskazywania męskich i żeńskich cech Boga można rozwijać „bezpłciowe, ponadosobowe i niewizualne wypowiedzi o Bogu". Zatem poszli oni dalej niż ich starsi koledzy z Katolickiej Młodzieży Studenckiej (KSJ), którzy w 2020 r. zaproponowali pisownię „Bóg*".

Oczywiście propozycja pisowni „Bóg+" jest też prowokacyjna, gdyż odwołuje się do akronimu LGBT+. Spory o miejsce w Kościele dla osób identyfikujących się z tym akronimem nie tylko należą w ostatnim czasie do najbardziej gorących, ale są też jednym z najważniejszych wyzwań stojących przed wspólnotą katolicką. Niemieccy młodzi wierzący postanowili te spory obejść, proponując nowe Boże Imię, które – jeśli się przyjmie – będzie kształtować nasze myślenie o Bogu. Intuicja, że Bóg przekracza nasze spory i jest blisko zwłaszcza ludzi wykluczanych, wydaje się bardzo trafna. ©℗

Do Koloseum wraca Droga Krzyżowa

TEGOROCZNE ROZWAŻANIA na Drogę Krzyżową w Koloseum napisze na prośbę papieża kilka rodzin zaangażowanych w stowarzyszenia wolontariuszy – zapowiedział dyrektor biura prasowego Watykanu Matteo Bruni. Powiązał to z faktem, że rok 2022 Franciszek poświęcił rodzinie, zalecał ponowne sięgnięcie do adhortacji „Amoris laetitia" sprzed sześciu lat i pogłębienie refleksji nad nią. Zgodnie z tematami kolejnych modlitw krzyż między stacjami będą niosły m.in. rodziny uchodźców, opiekunowie niepełnosprawnych dzieci czy osoby starsze.

Droga Krzyżowa odbędzie się o godz. 21.15, po liturgii Wielkiego Piątku odprawionej w Bazylice św. Piotra. Wydarzenie wraca po pandemicznej przerwie. W 2020 r. rozważania przygotowali więźniowie zakładu karnego w Padwie, a także rodzice zamordowanej dziewczyny, córka mężczyzny skazanego na dożywocie i strażnik więzienny. Rok temu zrobili to włoscy skauci: mówili m.in. o cierpieniach dzieci – odrzucanych, głodujących, z rozbitych rodzin, posyłanych na wojny. Opisując spotkanie Chrystusa z Maryją, zauważyli: „Jak bardzo musiał cierpieć Jezus widząc, jak jego mama płacze". ©℗ MAM

Modlitwa za Żydów

DOPIERO PO 13 LATACH Kongregacja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów zatwierdziła poprawne polskie tłumaczenie wielkopiątkowej modlitwy „Za Żydów". Nie wiedzieć czemu, w edycji mszału z 1970 r. znalazło się tłumaczenie niezgodne z soborowym nauczaniem, sugerujące utratę przez Żydów wybrania. Mowa w nim bowiem o ludzie, „który niegdyś był narodem wybranym". Wierne tłumaczenie z łacińskiego wzorca modlitwy obecnie zwraca się do Boga ze wstawiennictwem za lud, „który jako pierwszy nabyłeś na własność" (*populus acquisitionis prioris*).

Konferencja Episkopatu Polski zatwierdziła poprawniejszą wersję już w 2009 r., lecz czekano na nowe tłumaczenie mszału, którego do tej pory nie ma. W końcu zdecydowano się na wklejaną wkładkę.

Główna część wezwania brzmi teraz: „Wszechmogący, wieczny Boże, Ty dałeś swoje obietnice Abrahamowi i jego potomstwu; wysłuchaj łaskawie próśb Twego Kościoła, aby lud, który jako pierwszy nabyłeś na własność, mógł osiągnąć pełnię odkupienia". ©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

KRÓTKIE ANIMACJE

„Zieleń" Karoliny Kajetanowicz otrzymała Best Jamie Bolio Award na festiwalu KABOOM w Amsterdamie. Z kolei postapokaliptyczne „Figury niemożliwe i inne historie I" Marty Pajek zwyciężyły na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wilnie.

DŁUGIE POWIEŚCI

Olga Tokarczuk ponownie w finale Międzynarodowej Nagrody Bookera — tym razem za przekład „Ksiąg Jakubowych" autorstwa Jennifer Croft. Tokarczuk jest pierwszą autorką w siedemnastoletniej tradycji The Man Booker International Prize, która zdobyła nagrodę główną (za „Biegunów") i dwukrotnie znalazła się na krótkiej liście nominowanych.

STARE RĘKOPISY

Ogłoszono datę publikacji odnalezionych latem zeszłego roku rękopisów francuskiego pisarza Louisa-Ferdinanda Céline'a. Pierwsza nieznana powieść – nawiązująca do przeżyć autora podczas I wojny światowej „Guerre" (fr. „Wojna") – ukaże się już 5 maja. Jesienią opublikowane zostaną dwie kolejne książki.

NOWE PIOSENKI

Po prawie 30-letniej przerwie zespół Pink Floyd nagrał i opublikował nowy utwór. Cały dochód z dystrybucji piosenki „Hey Hey Rise Up" – w której usłyszymy ukraińskiego wokalistę Andrija Chływniuka – trafi na konto Ukraińskiej Pomocy Humanitarnej.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Co ty pleciesz, stary grzybie

WPRAWDZIE wyspecjalizowany układ nerwowy, którego działanie opiera się na przesyłaniu sygnału elektrycznego z jednego neuronu do następnych, występuje tylko u zwierząt, jednak również u innych stworzeń można zaobserwować aktywność elektryczną. Do tej grupy należą m.in. grzyby, a coraz więcej doniesień wskazuje na to, że występujące u nich skoki potencjału elektrycznego, do złudzenia przypominające „wyładowania" zwierzęcych neuronów, mogą służyć im do komunikacji.

Andrew Adamatzky, dyrektor Laboratorium Obliczeń Niekonwencjonalnych na Uniwersytecie Wschodniej Anglii w Bristolu, przeprowadził zadziwiający eksperyment. Najpierw zarejestrował propagowanie się sygnałów elektrycznych w grzybniach kilku gatunków, a potem przeanalizował je z pomocą metod zaczerpniętych z językoznawstwa. Ustalił, że przesyłane sygnały składają się na „słowa", których był w stanie wyodrębnić ok. 50. Spośród czterech wykorzystanych w badaniu gatunków najbardziej złożone komunikaty (zdania?) formułowała rozszczepka pospolita.

We wcześniejszych eksperymentach Adamatzky wykazał, że grzyby zmieniają emitowane sygnały w odpowiedzi na chemiczne, termiczne i mechaniczne bodźce – tak jakby informowały członków kolonii o szansach i zagrożeniach. ©℗ ŁK

Bozon z nadwagą

Z AMERYKAŃSKIEGO OŚRODKA Fermilab płyną doniesienia o kolejnym potencjalnym wyłomie w tzw. modelu standardowym fizyki cząstek elementarnych – naszym obecnie najlepszym opisie podstawowych cegiełek materii i ich wzajemnych oddziaływań. Jak wynika z analizy danych z akceleratora Tevatron (zakończył pracę w 2011 r.), jedna z takich cegiełek – znana jako bozon W – jest o 0,1 proc. cięższa, niż przewiduje model standardowy. Pozornie niewiele, ale w subtelnym matematycznym tańcu pól kwantowych każda niewyjaśniona odchyłka może świadczyć o istnieniu cząstek i sił nieujętych w bieżącej teorii. Naukowcy od dekad poszukują takich eksperymentalnych pęknięć w modelu standardowym – jak dotąd bezskutecznie, gdyż każde zaobserwowane odstępstwo z czasem okazywało się statystyczną fluktuacją lub artefaktem pomiarowym. Czas pokaże, jak będzie tym razem. Jak zauważa fizyk cząstek Matthias Schott, który bada bozony W za pomocą Wielkiego Zderzacza Hadronów w CERN-ie pod Genewą, zanim skupimy się na konsekwencjach nowych wyników dla modelu standardowego, musimy wpierw zrozumieć źródło ich rozdźwięku z wcześniejszymi pomiarami. © TOMASZ MILLER

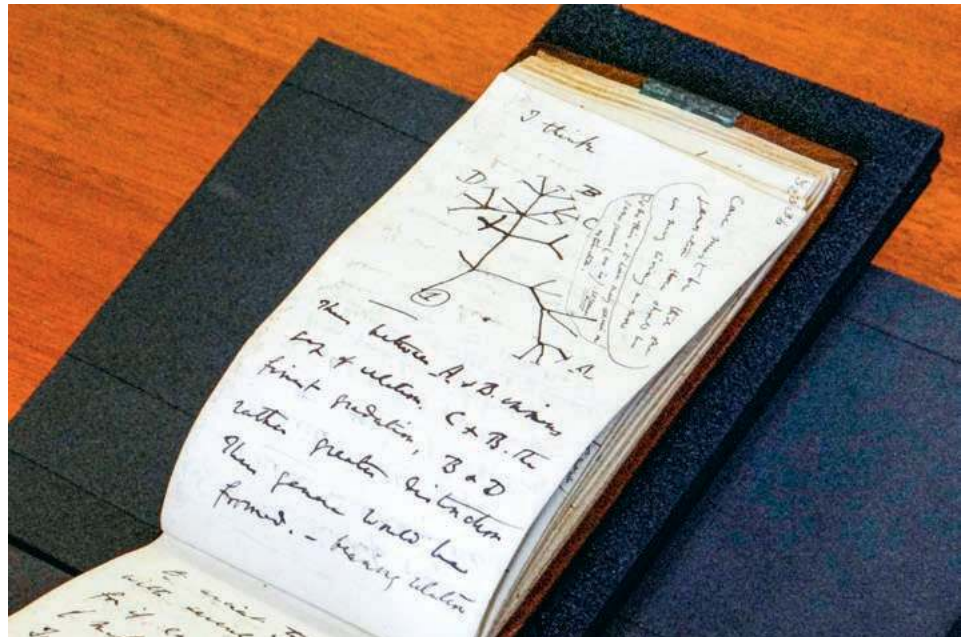

STUART ROBERTS / AFP / UNIVERSITY OF CAMBRIDGE LIBRAR / EAST NEWS

ZAJĄCZEK W CAMBRIDGE. Rękopisy Karola Darwina uznane dwadzieścia lat temu za zaginione nieoczekiwanie odnalazły się na terenie biblioteki Uniwersytetu Cambridge. Zapakowane były w różową papierową torbę, do której dołączono kopertę z życzeniami wesołych Świąt Wielkiej Nocy. Gdy notesy z odręcznymi notatkami brytyjskiego przyrodnika i twórcy teorii ewolucji zaginęły, przeprowadzono zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, do których zaangażowano sam Interpol – bez skutku. Bibliotekarze uspokajają, że zwrócone w tajemniczych okolicznościach zapiski są w dobrym stanie. ©℗ MOCH

WIELKANOC

JAK WYJŚĆ Z PRZEPAŚCI

Nadzieję można znaleźć także tam, gdzie mało kto by jej szukał – na samym dnie czyjegoś bólu, cierpienia czy krzywdy.

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Byłem w Wielkim Poście u spowiedzi i za pokutę otrzymałem zadanie, by wziąć udział w nabożeństwie Gorzkich Żali. Co prawda, należała mi się dużo poważniejsza pokuta, ale przecież nie będę się spierał ze spowiednikiem...

No więc poszedłem, starając się skupiać nie na konkurencji między zawodzącym ludem a przyspieszającym organistą, lecz na sensie tego typowo polskiego nabożeństwa. Najlepiej oddają ów sens słowa z tzw. Pobudki: „Upał serca swego chłodzę, gdy w przepaść męki Twej wchodzę".

Gorzkie Żale to wchodzenie z Jezusem w przepaść Jego męki, Jego cierpienia i agonii. Chciałem z rozpędu napisać, że dzieje się to z nadzieją zmartwychwstania. Ale przecież – ściśle rzecz ujmując – w tekście nabożeństwa nie ma w ogóle mowy o powstaniu Jezusa z martwych. W tej medytacji chodzi po prostu o „żałosne Gorżkiey Męki Syna Bożego (...) rospamiętywanie" – jak głosił podtytuł pierwszego wydania z 1707 r.

Gdzie jest źródło

Powyższe stwierdzenie wcale nie oznacza, że w śpiewaniu Gorzkich Żali nie ma miejsca na zmartwychwstanie i nadzieję. Wręcz przeciwnie, tyle że nadziei nie ma wprost w śpiewanym tekście. Trzeba ją do przeżywanego cierpienia wnieść skądinąd.

Poprzednie zdanie dotyczy także życia duchowego człowieka, które próbuje iść za Chrystusem w więzi z Jego Kościołem (wiadomo, że wcielenie Ewangelii w Kościół nie powiodło się tak dobrze, jak wcielenie Boga w człowieka). W życiu chrześcijanina nie będzie lekko, łatwo i przyjemnie. A skoro cierpienie jest nieuchronne, to skądś trzeba czerpać nadzieję.

Gorzkie Żale podpowiadają mi więc, że w przepaści Chrystusowej męki – a także w naszych życiowych przepaściach – o nadzieję wcale nie jest tak łatwo. Trzeba jej poszukiwać. A to już nie takie proste. W przepaść spada się szybko, wydostawanie się z niej zajmuje dużo więcej czasu i kosztuje sporo wysiłku.

Gdy już się zatem wejdzie w przepaść męki – to jak z niej wyjść? I gdzie jest źródło nadziei, zwłaszcza jeśli świat dokoła przynosi dowody upadków kolejnych autorytetów, rozpadu wielkich nadziei, barbarzyństw popełnianych w imię ideologii zapanowania nad innymi?

Nieznane zmartwychwstanie

Okrutna wojna, dziejąca się tuż za rogiem i dotykająca nas głęboko wewnętrznie, to także wchodzenie w przepaść wypełnioną niezawinionym cierpieniem. Łatwo w takiej sytuacji ulec pokusie rozpaczy czy nienawiści – no bo skąd czerpać nadzieję po Buczy?

O nadziei trudno się rozmawia w polskim katolickim języku religijnym. Poza pieśniami nie mamy rozpowszechnionych form pobożności pozwalających przeżywać zmartwychwstanie. Od paru dekad gdzieniegdzie promowane jest, co prawda, nabożeństwo Drogi Światła – to odpowiednik Drogi Krzyżowej, tyle że poszczególne stacje to nie przystanki w drodze na Golgotę, lecz biblijne spotkania uczennic i uczniów ze Zmartwychwstałym. Daleko jednak Drodze Światła do popularności Drogi Krzyżowej.

Ta różnica wynika chyba nie tylko z tradycji i przyzwyczajenia, lecz także z doświadczenia życiowego. Po prostu wiemy wszyscy, i to aż za dobrze, co znaczy cierpieć. Nie wiemy zaś, co to znaczy powstać z martwych. Doświadczenie pasji jest nam dane, ↦

Guercino „Niedowiarstwo świętego Tomasza" (fragment), 1621 r. Ze zbiorów National Gallery w Londynie.

HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

↦ doświadczenie zmartwychwstania – nie. O wiele łatwiej zatem „wejść" w „znane" przeżywanie cierpienia niż w „nieznane" zmartwychwstawanie.

Wiara i światło

Czasem nadzieja przychodzi zupełnie spoza cierpienia i męki, oświetlając życie w nowy sposób. Niekiedy da się jednak znaleźć ją w miejscu, gdzie mało kto by jej poszukiwał – na samym dnie czyjegoś bólu, cierpienia, trudu lub krzywdy.

Od wielu lat uczestniczę we wspólnocie ruchu „Wiara i Światło" skupionego wokół osób z niepełnosprawnością intelektualną. Z podziwem patrzę na rodziców naszych niepełnosprawnych przyjaciół, którzy przez kilka dekad żyją w duchu codziennej cichej wierności i oddania swoim dzieciom. To oni są dla mnie źródłem nadziei, że i w moim przypadku wierność nie stanie się pustą obietnicą.

Ostatnimi czasy mam natomiast wiele okazji do spotkań i głębokich rozmów z osobami skrzywdzonymi wykorzystaniem seksualnym we wspólnocie Kościoła. Ich cierpienie jest szczególne – krzywdzicielem był w takich sytuacjach człowiek reprezentujący na ziemi Boga i Jego Kościół, a zarazem obdarzany ludzkim zaufaniem, które przewrotnie wykorzystał w relacjach najbardziej intymnych, pozostawiając piekące rany w psychice i w duszy skrzywdzonej osoby.

W takiej sytuacji samo wytrwanie w wierze i Kościele jest już dokonaniem heroicznym. Miałem możliwość spotkania wielu takich osób, dawałem im w różny sposób wsparcie, ale jeszcze bardziej jestem ich dłużnikiem. Obserwowałem, jak walczą o akt świeckiej czy kościelnej sprawiedliwości nie dla zemsty, lecz w celu przywrócenia właściwego ładu świata i odzyskania własnej godności. Uczyłem się od nich zmartwychwstawania – ciągłego podnoszenia się, choć sił stale brakuje.

A najbardziej byłem zaskoczony, że można się było od nich uczyć także nadziei. Doświadczenia z Kościołem instytucjonalnym dodatkowo ich sponiewierały. Takie przejścia, wydawałoby się, powinny rozbić w pył resztki nadziei. A oni jednak wciąż ufali, nawet wbrew nadziei.

Z miłości

Skąd czerpali siłę? Najczęściej, jak mi się wydaje, z miłości, której mogli doświadczyć od swoich najbliższych i którą sami mogli dawać innym, choćby dzieciom, jeśli mąż jednak odszedł.

> Skoro apostoł potrzebował dowodu w postaci śladu włóczni, to i moje wątpliwości Pan zrozumie i pobłogosławi. Bo po zmartwychwstaniu najważniejsze jest pytanie: „Czy ty Mnie kochasz?".

To ważny trop do refleksji o nadziei dzisiaj. Ludzka relacja miłości może mieć znaczenie paschalne, zwłaszcza ta, która się objawia w przepaści męki. Może otwierać ku czemuś więcej i ku Komuś Większemu, kto jest Miłością.

Przecież to właśnie miłość, rankiem po szabacie, przyprowadziła uczennice i uczniów Jezusa do Jego grobu. Biegli tam, przezwyciężając lęk, który przeżyli na Golgocie i którego z pewnością się nie pozbyli. Ale miłość okazała się silniejsza. Bo miłość usuwa (czasem tłumaczą: rozprasza) lęk, jak pisał św. Jan w Pierwszym Liście.

„Umiłowani, miłujmy się wzajemnie, ponieważ miłość jest z Boga, a każdy, kto miłuje, narodził się z Boga i zna Boga" (1 J 4, 7). Skoro każdy, kto miłuje, zna Boga i narodził się z Boga, to każdy, kto miłuje po doświadczeniu wejścia w przepaść męki, ma szansę własnego wstania z martwych.

To działa też z drugiej strony – ten, kto obdarzy miłością ludzi dotkniętych cierpieniem, może nie tylko zacząć ich wyprowadzać z przepaści męki ku nowej nadziei, ale i dla samego siebie otworzyć nowe źródła życia. Czasem taka miłość może wyrazić się w zwykłej życzliwej bezinteresowności – takiej jak w przypadku Nikodema i Józefa z Arymatei, którzy namaścili i pogrzebali Jezusa. Albo takiej jak u naszych rodaków przyjmujących pod swój dach ukraińskich uchodźców.

Wątpili i nie rozumieli

Szkoda, że Biblia nic nie mówi o dalszych losach Nikodema i Józefa. Bardzo by mnie to interesowało zwłaszcza w kontekście tego, jak ewangeliści opisują spotkania uczennic i uczniów z Jezusem po zmartwychwstaniu. Wspomniane nabożeństwo Drogi Światła pozwala odkrywać, jak bardzo każde takie spotkanie było nieoczywiste, pełne lęku, niepokoju i niedowierzania.

Gdy kobiety wracały od pustego grobu, ich słowa wydały się apostołom „czczą gadaniną i nie dali im wiary" (Łk 24, 11). Jezus ukazywał się kolejnym osobom, ale one Go nie rozpoznały. „Zatrwożonym i wylękłym zdawało się, że widzą ducha" (Łk 24, 37). Nawet „z radości jeszcze nie wierzyli" (Łk 24, 41). „Niektórzy jednak wątpili" (Mt 28, 17) i wciąż nie rozumieli.

Wędrówka Drogą Światła jest doświadczeniem wyzwalającym. Skoro oni wątpili i nie rozumieli, to i nam wolno. Skoro apostoł Tomasz potrzebował dowodu w postaci śladu włóczni w boku Jezusa, to i moje wątpliwości Pan zrozumie i pobłogosławi. Bo po zmartwychwstaniu najważniejsze jest pytanie zadane Piotrowi: „Czy ty Mnie kochasz?".

Nadzieja jest zaufaniem

Wiara jest relacją, spotkaniem, zawierzeniem Bogu. Taki akt to osobista decyzja każdej osoby. Nawet pełne zawierzenie Bogu nie oznacza jednak absolutnej pewności na co dzień. Nadzieja nie jest pewnością, inaczej przecież przestałaby być nadzieją. Nadzieja jest zaufaniem. Na niektóre pytania odpowiedzi nie znajdziemy, a – jak mawiał Tadeusz Mazowiecki – „rozwiązujemy je nie przez wyjaśnienie ich, ale przez postawę wobec nich".

Inni ludzie okazują się w tej drodze niezbędni, ale oni są tak samo słabi jak ja – więc czasem zawodzą. Ale Bóg jest większy od swoich proroków, pasterzy i przewodników. Wierząc, nie trzeba pokładać nadziei w człowieku.

Bóg jest także większy od despotów i złoczyńców współczesnego świata. Oni prędzej czy później upadną z hukiem i wstydem, tak jak upadali im podobni w wiekach minionych.

A miłość pozostanie. I choć wyraża się w drobnych gestach, to może nas trwale zmienić. Gdy zatem brakuje nadziei, warto ją odnajdywać przede wszystkim przez miłość. Na końcu życia będziemy przecież sądzeni z miłości.

© ZBIGNIEW NOSOWSKI

Autor jest redaktorem naczelnym kwartalnika „Więź". Opublikował cykl głośnych reportaży śledczych o wykorzystywaniu małoletnich w Kościele katolickim.

ANASTASIA VLASOVA / GETTY IMAGES

Wolontariusze pomagają przy pieczeniu i pakowaniu chleba w piekarni „Dobry chleb od dobrych ludzi", Kijów, 25 marca 2022 r.

Budzik zamiast syreny

O. JAKUB GONCIARZ OP, PRZEOR KLASZTORU DOMINIKANÓW W KIJOWIE:

W codzienności na wiele rzeczy przestajemy zwracać uwagę. Dopiero wobec ich braku albo gdy zaczynają kosztować o wiele więcej niż zwykle – możemy dostrzec, jak są ważne.

ARTUR SPORNIAK: Opowiedz o wypieku chleba.

O. JAKUB GONCIARZ OP: Pomysł się pojawił, gdy w pierwszych dniach agresji Rosji na Ukrainę nie było wiadomo, czy w Kijowie nie zabraknie pieczywa. Sklepy szybko pustoszały. Jeden z braci przypomniał sobie, że kiedyś piekł chleb. Udało się kupić mąkę i drożdże. Pierwszy bochenek wyszedł zakalcowaty. Drugi był już całkiem w porządku.

W swoim dzienniku wojennym publikowanym w mediach społecznościowych napisałeś: „Ale jest jeden minus takiego działania: chleb jest zbyt smaczny i znika błyskawicznie".

Kiedy chleb pojawił się z powrotem w sklepach i mieliśmy do wyboru oba rodzaje: sklepowy i domowej roboty, ten drugi cieszył się o wiele większym powodzeniem. Ciekawe, że osoby, które wcześniej unikały jedzenia pieczywa, nie mogły się powstrzymać przed zjedzeniem domowego chleba.

Przypomniał mi się Twój wpis, gdy w telewizji zobaczyłem radość mieszkańca wyzwolonego Irpienia, który wiózł kilka bochenków chleba – pierwszych od kilku tygodni. Piszesz też o innych zwyczajnych rzeczach: popołudniowym spacerze, dźwięku porannego budzika...

...budzącym zamiast dźwięku syren. W codzienności, która jest zwyczajna, szara, powtarzalna, do bardzo wielu rzeczy się przyzwyczajamy. Nie zwracamy na nie uwagi, uznajemy, że one po prostu mają się wydarzyć, że do nich mamy prawo. To wszystko jest tak oczywiste, banalne i proste, że nie ma się czym cieszyć, co doceniać. Dopiero wobec braku tych rzeczy oczywistych, codziennych, trudniejszej ich dostępności albo gdy zaczynają kosztować o wiele więcej niż zwykle – możemy dostrzec, na ile są ważne i na ile ich potrzebujemy w codzienności.

„Sytuacje nienormalne ukazują wartość normalności" – napisałeś, gdy przez dwie godziny obserwowałeś pożegnania na kijowskim dworcu. „Wiele gestów i słów, takie miałem wrażenie, czyniono i wypowiadano jakby po raz pierwszy w życiu. Dla kogoś może też po raz ostatni".

Moje doświadczenie jest takie, że wielu ukraińskim mężczyznom trudno docenić coś takiego jak dotyk, objęcie kogoś, przytulenie. To zjawisko kulturowe – na przykład gdy mężczyźni się witają, podają rękę tylko sobie nawzjem, kobiety są niezauważane. Na dworcu widać było, że ludzie tych gestów bardzo potrzebują. Odjeżdżających dzieci nie można było oderwać od pozostających w Ukrainie ojców. Czas pożegnania okazywał się za krótki, by przekazać to, co chciałoby się przekazać. Pomyślałem, że jeśli tych gestów na co dzień jest mało, stajemy się ubożsi o coś bardzo ważnego.

Wojna niesie poczucie olbrzymiej straty. Gdy zastanawiasz się, jak sobie z tym radzić, piszesz: „Dobre, piękne, miłe wspomnienia z przeszłości są teraz naszym bogactwem. One potwierdzają nam, że miłość, prawda, dobro i piękno istnieją".

Jesteśmy zanurzeni w czasie. Może być tak, że zaczynamy na siebie samych i na rzeczywistość patrzeć tylko w kontekście wojny. Bolesnych wydarzeń i emocji związanych z docierającymi informacjami czy z tym, co widzimy, albo w czym uczestniczymy, jest tak dużo, że może się zacząć wydawać, iż cała rzeczywistość składa się z ciemnych rzeczy. Może się stać tak, że zaczniemy się definiować w kontekście tego, czego nam teraz brakuje. To wszystko z jednej strony jest prawdziwe, z drugiej – zupełnie nieprawdziwe, bo jest w nas także wspomnienie dobra.

Ojcowie Kościoła przestrzegali, żeby w czasie pomyślnym nie zapominać o biedzie, aby nas powodzenie nie wbijało w pychę, natomiast kiedy jest ciężko, nie powinniśmy zapominać o czasie, kiedy było pięknie. Bo to źródło nadziei i siły. Historia, którą niesiemy ze sobą, dobro, które się wydarzyło w naszym życiu, w czasach trudnych okazuje się czymś bardzo cennym. Skarbem, zasobem, pieniędzmi zgromadzonymi na rachunku, z którego możemy korzystać wtedy, gdy przychodzi płacić za trudne rzeczy.

Twoim zdaniem lepiej pozwolić sobie na żałobę po tym, co straciliśmy, ↦

↦ **by móc zacząć nowe życie. Ono jest możliwe?**

Psychologia jest w stanie nazwać proces, przez który przechodzimy, gdy chcąc nie chcąc coś lub kogoś tracimy. Może to być również utracony pozytywny obraz siebie, gdy okazujemy się dla samych siebie inni niż nam się wydawało – mniej wytrzymali, twardzi, mniej skłonni do pomocy, do współczucia. Żałoba wydaje się dobrym rozwiązaniem, żeby nie zatrzymać się tylko na samym momencie straty. Z drugiej strony mówienie, że nic się nie stało, jest wchodzeniem w fałszywy świat. Bo stało się.

Napisałeś: „Zapobiegliwość niesie ze sobą pokój i ma swoją miarę. Zamartwianie się rodzi wewnętrzne napięcie i nigdy nie zostanie nasycone".

Bo tak jest. Już w starożytności odkryto, że cnota jest pośrodku. Każdy niedomiar czy nadmiar jest dla nas szkodliwy. Cnota zapobiegliwości pozwala wybiec myślami do przodu i zatroszczyć się o dobro. Można tu zagrożenie zlekceważyć albo przecenić.

Do 24 lutego informacje o zbliżającej się wojnie wydawały mi się medialną grą – trudno mi było wyobrazić sobie rozpoczęcie działań wojennych w nowy sposób i na niespotykaną dotychczas skalę. Byli bracia, którzy to przewidywali – ich cnota zapobiegliwości zadziałała lepiej.

Świat zmienił się w ciągu jednej nocy.

I to był szok. Najtrudniejsza stała się nieprzewidywalność najbliższych godzin i dni.

Religia wtedy pomaga?

Religia – nie bardzo, natomiast wiara – tak.

Czym się one różnią?

Religia związana jest z różnego rodzaju obrzędami wykonywanymi na sposób mniej lub bardziej świadomy, mniej lub bardziej związany z doświadczeniem żywej więzi z Bogiem. Czasem mogą w niej dochodzić do głosu elementy magiczne. Natomiast wiara zakłada relację – wierzę, że jest ktoś, kto jest prawdą, dobrem, miłością, dla kogo ja jestem ważny. W sytuacji totalnej nieprzewidywalności jutra taka wiara daje stały punkt oparcia. Moment wiary to odniesienie do kogoś, kto powiedział: „Czyż może kobieta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie".

> Wobec tego, kto krzywdzi mnie i moich bliskich, pojawia się we mnie uczucie nienawiści – w postaci gniewu czy wściekłości. To zdrowa reakcja. Pytanie, co dalej chcę z tym zrobić.

Chodzi o świadomość bliskości Boga?

Której też doświadczaliśmy.

W czym?

Chociażby w dobroci ludzi. W słowach, gestach, w kolejnych przesyłkach, które do nas docierały z Ukrainy czy z Polski. To sprawiało, że nie musieliśmy się za bardzo martwić, czy sklepy będą zaopatrzone, czy będzie prąd (po uruchomieniu otrzymanego z Polski agregatu prądotwórczego okazało się, że można przy jego pomocy np. zagotować wodę). Naszą miłość do Boga wyrażamy przede wszystkim przez nasze relacje z ludźmi – Bóg objawia swą miłość do nas przede wszystkim przez dobroć, która przychodzi do nas od ludzi.

Wiara chrześcijańska powoduje dziś też pewną trudność. Pokazują ją słowa papieża: „My zgubiliśmy drogę pokoju". W tym „my" znika podział na ofiary i agresorów.

Modlitwy Franciszka przypominają mi modlitwy biblijne. Chociaż to lud zgrzeszył, a nie Mojżesz, wstawia się on za całym ludem do Boga, mówiąc: „Zgrzeszyliśmy przeciwko Tobie". Podobnie modli się w imieniu ludu Daniel i wielu sprawiedliwych ze Starego Testamentu. Nasi wodzowie, królowie, kapłani zawiedli – to myśmy Ciebie odrzucili, to myśmy o Tobie zapomnieli, to myśmy czynili nieprawość. Ostatecznie można powiedzieć, że do tej modlitwy grzesznego ludu dołącza się sam Jezus. Staje po naszej stronie – stronie grzeszników. Paweł naucza, że Chrystus stał się dla nas grzechem, choć sam nie znał grzechu. Jezus na krzyżu woła: „Ojcze przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią!".

Jest jednak różnica między tym, kto bombarduje szpital dziecięcy, i tymi, którzy w nim giną, między ofiarą gwałtu i gwałcicielem.

Zgadza się. Pierwsza perspektywa obejmuje naszą relację z Bogiem, druga – nasze relacje międzyludzkie, gdzie należy nazywać konkretne czyny takimi, jakie są. Wobec Boga stajemy jako ci, którzy – wszyscy – potrzebują zbawienia. Jako ludzkość możemy wołać do Niego: Przebacz nam! Zmiłuj się nad światem! W modlitwie siostry Faustyny prosimy o miłosierdzie dla nas i świata całego. Nie tylko dla zatwardziałych grzeszników i nie tylko dla Rosji. Natomiast w relacjach między nami jesteśmy w stanie nazywać konkrety: kto za co bierze odpowiedzialność i rozróżniać, kto jest katem, a kto ofiarą. Dzięki temu jest możliwa sprawiedliwość. To są dwa wymiary naszego Boga, który jest miłosierny i który jest sprawiedliwy.

Piszesz: „Sekretarz generalny Światowej Rady Kościołów wyznaje w niedawnym liście, że bolą go wykorzystywane przez strony wojennego konfliktu słowa demonizujące przeciwnika i zmuszające świat do opowiedzenia się po którejś ze stron". I ironizujesz, że ludzie z Mariupola, Irpienia, Buczy i setek innych miejscowości winni przeprosić sekretarza za zadany mu ból.

Boli go, że musi podjąć decyzję wyboru między dobrem a złem. To przykre.

Pokusa znienawidzenia wroga jest jednak całkiem realna.

Myślę, że tu trzeba rozróżnić uczucie nienawiści i postawę nienawiści. Pojawia się we mnie uczucie nienawiści wobec tego, kto krzywdzi mnie i moich bliskich – w postaci gniewu czy wściekłości. To bardzo zdrowa reakcja. Dziwiłbym się, gdyby takiej reakcji na poziomie emocjonalnym nie było – świadczyłoby to o tym, że mamy do czynienia z kimś, kto nie reaguje adekwatnie na rzeczywistość. Pytanie, co dalej z tym uczuciem chcę zrobić. W jaki sposób moje czyny będą za nim szły? Czy pojawi się chęć zemsty za wszelką cenę?

Czy też będę umiał znaleźć sprawiedliwy umiar w swoim postępowaniu?

Jak to ma zrobić żołnierz trzymający karabin w ręku i stojący naprzeciw wroga, który do niego strzela? Uczucie nienawiści, gniewu, złości pozwoli mu oddać celny strzał i ochronić siebie, swoją rodzinę, przyjaciół, ojczyznę.

Dramat wojny polega też chyba na tym, że ogromnie trudno w trakcie jej trwania trzymać w ryzach uczucie nienawiści, by się nie przeradzało w postawę nienawiści. Opowiedz jeszcze o windzie...

W dominikańskim klasztorze na Służewie w Warszawie, gdzie chwilowo mieszkam, jest winda, przydatna zwłaszcza starszym ojcom. W momencie startu wydaje ona specyficzny dźwięk przypominający świst działek obrony przeciwlotniczej. Przez pierwsze dni moje ciało reagowało na niego lękiem. Trudno mi sobie wyobrazić stan ludzi, którzy przez wiele dni żyli pod bezpośrednim ostrzałem zagrażającym życiu.

Czy ta świadomość coś zmienia w Twoim duszpasterstwie?

Trzeba bardziej liczyć się ze słuchaczami czy rozmówcami. Może być tak, że bezmyślnie wykorzystując pewne kaznodziejskie schematy czy sformułowania zasłyszane w innych warunkach, mogę bardziej zaszkodzić niż pomóc.

Wiele złego może zrobić moralizowanie?

Nie tylko moralizowanie, ale również nieumiejętna próba wsparcia. W niektórych kontekstach zachęty: „Weź się w garść! Nie pękaj!" – zamiast dawać wsparcie, mogą narzucać dodatkowe obciążenie. I jednocześnie być znakiem nieprzyjęcia i niezrozumienia tej osoby.

Powiedzenie „Jezus ci pomoże" też niewiele daje?

To może być cenne, ale zwykle nie jako pierwsze słowo. Czasem zaakceptować trzeba czyjeś milczenie. Zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z ludźmi, którzy przeżyli silną traumę i noszą w sobie przekonanie, że nikt nie jest w stanie ich zrozumieć.

Wtedy pozostają proste gesty, jak podanie chleba?

Tak.

ARCHIWUM PRYWATNE

O. JAKUB GONCIARZ (ur. 1970) jest duszpasterzem i rekolekcjonistą, przeorem klasztoru dominikanów w Kijowie. W tej chwili czasowo pracuje duszpastersko w Warszawie wśród uchodźców z Ukrainy. Prowadzi dziennik pod adresami #Wawa_da_się_lubić i #czyżby_w_Kijowie.

Zauważasz, że uchodźcy – wyrwani ze swoich domów – tkwią w stanie zawieszenia. Czy tę metaforę można odnieść do religijnej kondycji człowieka?

W naszym życiu możemy jednak trochę więcej przewidzieć i zaplanować. Przed uchodźcami stoją decyzje, które zaważą na dużej części ich życia, np. czy rezygnować z pracy w Ukrainie, zrywając umowę, i układać sobie życie w Polsce, czy zakładać, że po kilku tygodniach wrócę.

Mieszkając w Kijowie, a teraz pomagając przez jakiś czas ukraińskim uchodźcom w Warszawie, piszesz, że doświadczyłeś poczucia życia w dwóch światach. „Ten tu jest pełen optymizmu, bezpieczeństwa, przyjęcia i planów na przyszłość. Są w nim znajomi uśmiechnięci ludzie, gesty życzliwości i wsparcia. Jest modlitwa uwielbienia, lekka, śpiewna, przejmująca. Ten tam jest naznaczony bólem, śmiercią, zniszczeniem i niepewnością każdej godziny. Niektórym znajomym trudno zdobyć się na coś innego niż poczucie nienawiści i pragnienie zemsty wobec tego, co okazało się tak nieludzko złe. Z rzadka można usłyszeć wołanie o miłosierdzie dla nas i świata całego, a głośniej brzmi przekleństwo i życzenie piekła". Oba są prawdziwe. Jak w nich żyć?

Taki jest świat wokół. On nie jest idealny. Wykluczanie któregoś z elementów tej rzeczywistości, w której jesteśmy, będzie oznaczało życie w jakiejś fikcji. Oczywiście, o wiele przyjemniej byłoby żyć tylko w tym pierwszym świecie, gdzie można by było powiedzieć, że wszyscy jesteśmy braćmi, a przed nami świetlana przyszłość – pogodna, zdrowa, długa i ekologiczna. Niestety nasz świat nie jest tylko taki.

Skazani jesteśmy na to rozdarcie, bez nadziei?

Na życie z wewnętrznym napięciem, ale też z nadzieją: przyjdzie czas, kiedy ten świat się skończy. Czekamy na nowe niebo i nową ziemię, gdzie będzie tylko ten element pozytywny. Ci, którzy przynależą do Chrystusa, mają nadzieję, że z Nim będą przez całą wieczność i już nie będzie łez, cierpienia, choroby i zła. Natomiast mówienie, że już teraz możemy to osiągnąć – np. przez rozwój technologiczny, kulturalny czy dojrzałość religijno-moralną – to złudzenie, utopia.

Piszesz, że połączenie (może bardziej przekroczenie?) obu światów udało się tylko Jezusowi. Tym jest Zmartwychwstanie?

W pierwszej kolejności jest tym Wcielenie, bo w nim nieskończona Miłość spotkała się z naszą ludzką biedą. Zostały one połączone i niezmieszane w nadziei na przemianę. Przemiana – czyli przebóstwienie tego, co ludzkie – nastąpiła w życiu, śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. I ma się dokonać także w nas.

Co Ci daje pisanie wojennego dziennika?

Spodziewałem się, a rzeczywistość to potwierdziła, że po 24 lutego znajomi i rodzina będą pytali, co się u mnie dzieje. Żeby więc nie opisywać po kilka razy tego samego, zacząłem umieszczać krótkie informacje na FB z dostępem dla znajomych. Potem zauważyłem, że zaciekawienie jest większe, ludzie mówili, że zaczęli się w tym odnajdywać, więc wpisy udostępniłem szerzej. W którymś momencie zrozumiałem, że jest to ważne także i dla mnie. Dzięki zapisywaniu tego, w czym uczestniczyłem, mogę zdobyć dystans do swoich przeżyć. A kiedy się ma dystans, to sytuacja jest zdrowsza.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Bezsiła Mesjasza

PIOTR SIKORA

Nowotestamentowa opowieść o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa wcale nie jest łatwa do przyjęcia dla ludzi doświadczających przemocy.

Wielkanoc może mieć dzisiaj dla nas – a jeszcze bardziej dla naszych sióstr i braci z Ukrainy – dwie strony. Pierwsza jest jasna i daje nadzieję. Święta Paschalne niosą bowiem przesłanie, że życie jest mocniejsze od śmierci. Jak śpiewamy w wielkanocnej sekwencji: „Śmierć zwarła się z życiem i w boju, o dziwy, choć poległ Wódz życia, króluje dziś żywy".

Nadzieja i smutek

Widzimy relacje – niektóre niemal na żywo – jak na ukraińskie miasta spadają bomby, docierają do nas wiadomości z zaciekłych walk, w których giną ludzie. Wielu z nas gości uciekinierów z miejsc, w których rozpanoszyła się śmierć i zniszczenie, a których bliscy zostali tam i walczą – w każdej chwili ryzykując życie. Czujemy: śmierć zwarła się z życiem i wielu żywych w tym zwarciu umiera. Wielu doświadczającym tego zwarcia – i cierpiącym z jego powodu – paschalne przesłanie, które mówi, że pomimo śmierci życie zwycięży, może dać siłę i nadzieję.

Wielkanocne przesłanie ma jednak i drugą stronę, która sprawia, iż paschalna nadzieja na zwycięstwo życia nad śmiercią prowadzi – wśród pytań, na które niełatwo znaleźć odpowiedź – wąską ścieżką, biegnącą w inną stronę (tak przynajmniej się zdaje) niż kierunek właściwego postępowania wobec atakującego imperium.

Ta druga, trudna – szczególnie dzisiaj – strona Wielkanocy ujawnia się, gdy tylko uważnie czytamy zapisaną w świętych Księgach źródłową opowieść. Widać ją nawet we fragmencie, który dzieje się już po zwycięstwie życia, a który usłyszymy w świąteczną niedzielę – po dramacie piątku i pustce soboty. Znamy dobrze tę historię: Oto dwóch uczniów zmierza w wielkanocny poranek do wsi Emaus pod Jerozolimą. Rozmawiają o tym, co się wydarzyło, a w pewnym miejscu drogi przyłącza się do nich Jezus. Nie poznają Go, a zapytani o temat rozmowy „zatrzymują się smutni". Przyczyną ich smutku jest zaś „to, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu; jak arcykapłani i przywódcy wydali Go na śmierć i ukrzyżowali". Oraz (to kluczowe zdanie): „A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela" (por. Łk 24, 19-21).

Zawiedzione oczekiwania

Opowieść wielkanocna to fragment historii ludzi, która może się nam dzisiaj wydać bliska: mały kraj w cieniu wielkich, bezwzględnych imperiów. Społeczeństwo, które w tamtym, opowiadanym dziś czasie, nie może się odnaleźć po przegranej wojnie, mierzy się z traumą, żyjąc pod okupacją najeźdźcy. Jego niewielka, właściwie pozorna, wewnętrzna polityczna autonomia nie wynika z dobrej woli obcych panów – lecz z ich czysto pragmatycznej kalkulacji, by jak najmniejszym kosztem zneutralizować możliwy ruch oporu.

Ruch oporu jednak istnieje. Jest niewielki, ale w sercach większości mieszkańców podbitej krainy pała też pragnienie wolności i nadzieja na przyjście Mesjasza – wyzwoliciela, który przywróci nie tylko niepodległość, lecz więcej: boski, sprawiedliwy porządek świata. I oto – mówi nasza opowieść – On się pojawia.

I gdy się wydaje, że historia się obraca – po długim czasie – na swą jasną stronę, w opowieści pojawia się zgrzyt i pęknięcie: „Zaczął ich pouczać, że Syn Człowieczy musi wiele cierpieć, że będzie odrzucony przez starszych, arcykapłanów i uczonych w Piśmie; że będzie zabity, ale po trzech dniach zmartwychwstanie. A mówił zupełnie otwarcie te słowa. Wtedy Piotr wziął Go na bok i zaczął Go upominać. Lecz On obrócił się i patrząc na swych uczniów, zgromił Piotra słowami: »Zejdź Mi z oczu, szatanie, bo nie myślisz o tym, co Boże, ale o tym, co ludzkie«" (Mk 8, 31-33).

Nietrudno zrozumieć Piotra, który upomina Jezusa. Miało być bowiem tak: Przyjdzie Mesjasz, król i wojownik. Mały ruch oporu zmieni się w niezwyciężone oddziały obrońców sprawiedliwości, wyzwolicieli prześladowanych, słabych i bezsilnych. Uderzymy na Rzymian i zdrajców, na ciemiężycieli. Bój może i będzie krwawy, lecz wygramy dzięki boskiej pomocy, bo przecież oni są źli, a nasze intencje czyste; Bóg, sprawiedliwość i wszelkie inne moralne cnoty są po naszej stronie.

Inna historia

A nie były to wcale oczekiwania nieuzasadnione. W tradycji, w której urodzili się i wychowali bohaterowie wielkanocnej opowieści, był to jeden z głównych wątków, może nawet wątek podstawowy.

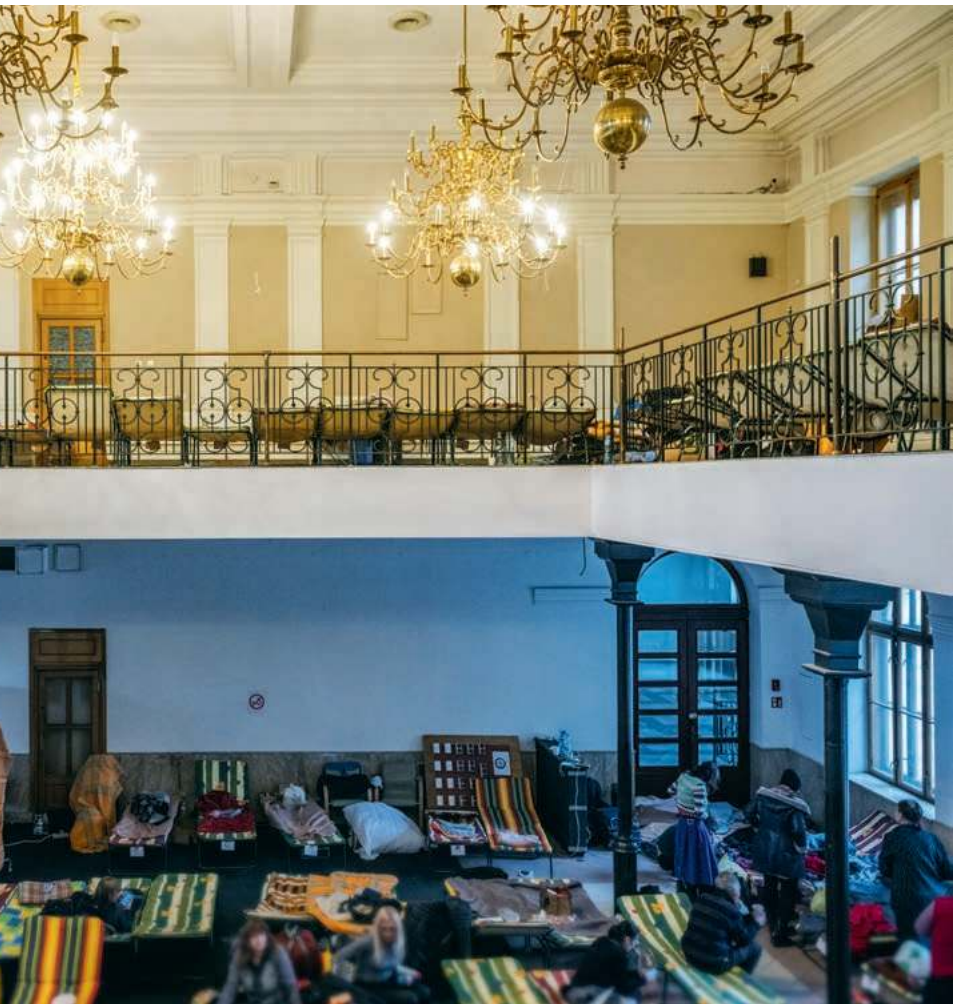

TOMASZ GOTFRYD

Miejsce noclegowe na Starym Dworcu Głównym w Krakowie, 4 marca 2022 r.

Czyż bowiem historia Izraela jako narodu nie zaczęła się od tego, że anioł JHWH przeszedł przez Egipt, zabijając pierworodnych Egipcjan, a potem zatrzymał koła rydwanów faraona i utopił jego wojsko w morzu, aż stało się całkiem czerwone? Czyż nie o tym właśnie jest Pascha? Pascha, którą właśnie zamierzają świętować, dopiero co rozpoznawszy w rabbim z Nazaretu (jak wyznał Piotr) Mesjasza.

Czyż ich przodkowie – uczniowie Jezusa pamiętają dobrze historię swojego ludu – nie boską mocą pokonali Amalekitów dzięki wyciągniętym do nieba rękom Mojżesza? I czyż nie za boską sprawą przed zbrojnymi prowadzonymi przez Jozuego runęły mury Jerycha i wszelkich innych miast kananejskich, zaś ziemia między Jordanem a morzem została dana Izraelowi? I o tym też jest Pascha.

A potem w historii wspólnoty zgromadzonej przez Boga nastali sędziowie, Gedeon boską mocą pobił Madianitów i obalił kult Baala. A jeszcze później – w kulminacyjnym momencie chwalebnych czasów – rudowłosy Dawid, właśnie dlatego, iż był pomazańcem JHWH, zwyciężył Filistynów, w jednym królestwie zjednoczył Izrael i stał się prototypem Tego, który miał przyjść i w świętej walce pokonać zło już raz na zawsze.

Teraz zaś – mógł Piotr pomyśleć ze zrozumiałą goryczą – gdy nowy brutalny Goliat trzyma za gardło Boży lud, ten, który ma być doskonalszym następcą Dawida, mówi o swojej śmierci, nie chce wziąć do ręki procy, każe schować miecz. Pozwala się złapać jak przestępca, osądzić skorumpowanemu Sanhedrynowi, poddaje się wyrokowi tchórzliwego zdziercy Piłata, nie reaguje, gdy rzymscy żołnierze wyśmiewają nie tylko Jego, ale i samą ideę króla Izraela.

Jeszcze ciemniej

Opowieść, w swej najstarszej, najbardziej pierwotnej, bliskiej wydarzeniom wersji (czyli według Marka) idzie nawet dalej. Spisana została prawdopodobnie dla chrześcijan w Rzymie – stolicy kultury, w której liczyło się męstwo żołnierza albo gladiatora, sprawność mięśni, siła. Pierwsze akty opowieści chętnie przedstawiają moc Jezusa – potrafi przetrwać czterdzieści dni na pustyni, z magnetyczną siłą powołuje uczniów, wypędza demony. Lecz gdy przychodzi czas Paschy – moc pryska. Podczas procesu szybko przestaje odpowiadać sędziom i oskarżycielom. Nie ma siły nieść krzyża. Umiera, rozpaczliwie krzycząc: „Eloi, Eloi, lema sabachthani" (por. Mk 14-15).

Jęk opuszczonego nawet przez Boga – to ostatnie słowa Mesjasza w pierwotnej wersji opowieści. Druga, jasna jej strona, ta o zwycięstwie życia, nie przynosi żadnej wyraźnej odpowiedzi, żadnego rozwiązania, które dałoby się pojąć. Kobietom, które przyszły do grobu, tajemniczy młodzieniec w bieli mówi: „Nie bójcie się! Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego; przebudził się, nie ma Go tu. Zobaczcie miejsce, gdzie Go położyli" (Mk 16, 6). Ogarnia je wówczas drżenie, lęk i ekstaza, które odbierają mowę.

Cóż po tej historii ludziom w schronach Mariupola i Charkowa albo dziewczynie, która – widziałem w internecie nagranie wideo – po walce o wieś Łukiwianka musiała powiedzieć towarzyszom broni: „Ali dwieście" – co w wojennym slangu znaczy, że Ali nie żyje? Co oni wszyscy mogą zaczerpnąć z opowieści o Mesjaszu, który głosił miłość do wszystkich, z nikim nie chciał walczyć i umarł na krzyżu? Czy może to być jakiś wzorzec dla nas, którzy na bój tamtych patrzymy z bliskiego daleka?

Czyż nie są dla nich i dla nas bardziej odpowiednie starsze przekazy, kształtujące oczekiwania jezusowych uczniów, np. o pierwszej Passze, gdy JHWH walczył z Egipcjanami? Czy dzisiaj nie są im i nam od Jezusa bliżsi: Jozue, Gedeon, Dawid albo Judyta pod osłoną nocy odcinająca głowę dowódcy armii najeźdźców?

Pewnie są bliżsi, ale wielkanocna pieśń o zwycięstwie życia ma innego bohatera. Gdy zaś patrzę na ten świat z punktu widzenia leżącego niedaleko miasta Oświęcim, obejmując wzrokiem kikuty bloków Aleppo i Mariupola, i pełny dom rodziny, która przyjęła uciekające z Ukrainy kobiety z dziećmi, i gdy słyszę, jak te dzieci się śmieją, a kobiety w gardle duszą łzy, to jeszcze bardziej przestaję być pewien: Czy Bóg z nami, wszystko będzie dobrze i zwyciężymy? Czy krzyk, drżenie i bezsłowna ekstaza zanurzona w wielkim pytaniu? ©℗

Tam i z powrotem

RYSZARD KOZIOŁEK

Na pobyt w otchłani Chrystus ma około trzydziestu godzin. W ich trakcie zapadają najbardziej kontrowersyjne decyzje w jego biografii. Decyzje niebywale ryzykowne z punktu widzenia dalszych relacji Boga i człowieka.

Oto bowiem jako martwy dołącza do umarłych, a jednak przybywa tam już jako Bóg. Sam nie jest jeszcze zmartwychwstały, ale już nie umarły. Jest paradoksalny, niepojęty.

Nie do pomyślenia

Niepojmowalny cel odwiedzin w krainie umarłych polegałby na tym – mówiąc słowami Giorgia Agambena – że „Jezus powinien poświadczyć w historii i w czasie obecność rzeczywistości ponadhistorycznej i wiecznej" („Piłat i Jezus", przeł. M. Surma-Gawłowska i A. Zawadzki). To jest nie do pomyślenia. A jeszcze bardziej – moralny sens tego, co tam robi.

Najstarsza wersja Credo, czyli Skład Apostolski mówi, że przed zmartwychwstaniem Chrystus „zstąpił do piekieł". Powód podaje Piotr w Pierwszym Liście. Chrystus odwiedza umarłych z zapowiedzią, że nieszczęśnicy ze Starego Testamentu, którzy nie doczekali jego przyjścia, mogą także liczyć na ratunek przed śmiercią i potępieniem, bo „przecież także umarłym została ogłoszona Dobra Nowina, aby, jeśli nawet zostali osądzeni po ludzku w ciele, żyli jednak w duchu po Bożemu" (1 P 4, 6; Biblia Ekumeniczna). Wcześniej jednak Piotr zwraca uwagę, że nie wszyscy starotestamentowi bohaterowie są równie mili Chrystusowi, który „poszedł i ogłosił ocalenie duchom zamkniętym w więzieniu, nieposłusznym wówczas, gdy Bóg wyczekiwał cierpliwie za dni Noego, kiedy była budowana arka. W niej tylko niewielu, to jest osiem dusz, zostało uratowanych przez wodę" (1 P 3, 18-20; Biblia Ekumeniczna). Widać zatem, że co najmniej osiem osób zasługuje, aby nie czekały na Drugie Przyjście, zostały ułaskawione i trafiły od razu do nieba. Wkrótce będzie ich więcej, ale to już zasługa apokryfów, czyli literatury.

Tymczasem reszta umarłych dostaje informację, że dla człowieka Bóg zniósł karę śmierci, a tym sprawiedliwszym złagodzono wyrok, dzięki czemu będą czekać na Drugie Przyjście, zmartwychwstanie i właściwy Sąd, nie cierpiąc straszliwych kar piekielnych. W „Godzinkach księcia du Berry", wspaniale iluminowanym modlitewniku z przełomu XIV i XV w., widzimy ilustrację tych wierzeń. Chrystus uwalnia uwięzionych grzeszników z płonącego budynku niczym strażak. Będą żyli. Ale nie od razu w ciele.

Dwa enigmatyczne fragmenty Listu św. Piotra oraz lakoniczne zdanie z Credo musiały w umyśle wierzącego powodować straszliwy bałagan. Chrystus odwiedza otchłań na jeden dzień jako duch, a następnie odchodzi zmartwychwstać w ciele, zabierając ze sobą część umarłych do Raju. To jak wizyta w wiecznym obozie koncentracyjnym, podczas której więźniowie dostają obietnicę, że przeżyją, na razie jednak patrzą, jak część współtowarzyszy niedoli wychodzi na wolność. A co z pozostałymi? Co z nami, mniej lub bardziej grzesznymi?

Inne priorytety

Właściwie nie mamy nic przeciwko
czyśćcowi, reinkarnacji, rajowi.
Skoro tak musi być, proszę bardzo!
Jednakże na razie
mamy inne priorytety.

(Hans Magnus Enzensberger
„First things first", przeł. R. Krynicki)

Rozwiązywanie zagadek teologicznych może się wydawać irytującym luksusem, kiedy piekło mamy za bliską granicą, a uciekinierów i wyprowadzonych z otchłani wszędzie wokół siebie. A jednak nie rezygnowałbym z majstrowania w tekstach świętych, próbując ich użyć niczym dobrych jeszcze części z porzuconej, nieużytecznej maszynerii. Po to m.in., aby dać oparcie myśleniu o rzeczach nie do pomyślenia, jak np. o tym, że śmierć nie ma władzy nad ludźmi.

A myślą się takie myśli od ponad miesiąca, kiedy każdy ranek zaczynamy od sprawdzenia, czy żyją, czy się bronią, czy uciekli, gdzie są? Kiedy tłumaczymy sobie, że przecież nie można zabrać ich wszystkich; że jest tyle piekieł i prawie żadnego raju, tylko przeludniony kawałek Europy i daleka Ameryka, i jeszcze dalsza Australia... Wówczas okazuje się, że lęki wojenne i eschatologiczne obejmują się ciasno, a komiczne piekło z średniowiecznych rycin odzyskuje grozę. Na wojnie bowiem wszyscy są potencjalnie umarli, gdyż nic bardziej niż wojna nie uświadamia nam, że „śmierć żyje ludzkim życiem" (Hegel).

Patrząc na ludzi ogarniętych wojną, rozpaczliwie chcemy, żeby żyli; nie chcemy, żeby umarli. Fundamentalna oczywistość tego pragnienia usuwa dywagacje o tym, jak niby miałoby się to stać. Nieważne, chcę dla siebie i dla nich przeżycia teraz, i to dla wszystkich – wieczność zostawiam Bogu i teologii.

Kiedy człowiek projektuje wieczność, najczęściej robi to z prefabrykatów doczesności. I praca ta wiele mówi o tym, co dla nas najważniejsze, a na co poradzić nie potrafimy, ale mierzyć się z tym musimy. Wymyślanie zaświatów przypomina opracowywanie technologii kosmicznych: jest tworzeniem materiałów i urządzeń, które wytrzymać muszą krańcowe przeciążenia egzysten-

GLOBAL MEDIA GROUP / SIPA / EAST NEWS

XV-wieczna figura Chrystusa ewakuowana z ormiańskiego kościoła prawosławnego we Lwowie, 4 marca 2022 r.

cjalne. A skoro najbardziej ekstremalnym stanem ludzkiego umysłu jest świadomość śmierci, to badanie i opracowywanie antidotów okazuje się naszą najpilniejszą potrzebą. W tych 30 godzinach wizyty Chrystusa w piekle boskie i ludzkie pragnienie przywrócenia umarłych do życia spotykają się. A także rozpacz, że nie można uratować wszystkich.

Skoro tak, to i Chrystus, i lekarz, i żołnierz muszą podjąć decyzję, które życie w pierwszym rzędzie zasługuje na ocalenie. Dla moralisty oczywiście każde. Ale łatwo o radykalizm moralny na ambonie lub przed kamerą, kiedy jednak jest za mało szczepionek, respiratorów, kamizelek kuloodpornych, miejsc w samolocie, w arce..., to wybierać trzeba. I to szybko. Jest wszak tylko 30 godzin na wyłonienie nielicznych spośród milionów lub miliardów. A chodzi przecież o całą ludzkość utopioną w potopie!

W tym rozczulającym bałaganie eschatologicznym kryje się straszliwe pytanie, kogo uratować, kiedy nie można uratować wszystkich. Najpierw siebie, wiadomo, w samolotach nas nauczyli, że aby skutecznie pomagać, trzeba samemu żyć. Pierwszy punkt Jezus wypełnia. Przeżył ukrzyżowanie.

Kogo zabrał?

Tradycja apokryficzna ma więcej czułości dla realizmu psychologicznego chrześcijanina. W nieprzeliczonym folklorze teologicznym Chrystus zwykle uwalnia wielu sprawiedliwych starotestamentowych mężów i kobiety, wreszcie samego Adama, wraz z którym symbolicznie wyprowadzona zostaje z otchłani cała ludzkość. W dalszym ciągu pozostaje tam jednak rzesza zmarłych, z którą wyobraźnia chrześcijańska musi sobie jakoś poradzić. W niezwykłej Ewangelii Nikodema, greckim apokryfie z IV w., wszyscy umarli zmartwychwstają „na próbę", aby poczuli, jak to jest, i uwierzyli Chrystusowi, że śmierć została pokonana.

Opowiadają o tym niejaki Karinus i Leucius: „Nam zaś nakazał Michał archanioł iść za Jordan, na miejsce bogate i żyzne, gdzie znajduje się wielu, którzy z nami zmartwychwstali na świadectwo zmartwychwstania Pańskiego. Tylko jednak na trzy dni otrzymaliśmy pozwolenie powstać z martwych, aby obchodzić uroczyście Paschę Pańską z żyjącymi rodzicami naszymi na świadectwo zmartwychwstania Chrystusa Pana".

A zatem jednak nie wszyscy i nie od razu. Wczesne chrześcijaństwo głosiło pokonanie śmierci przez Chrystusa, ↦

czego on sam był dowodem i w tej roli przyszedł okazać się umarłym w otchłani. Nie oznaczało to jednak likwidacji piekła. Ono jest nadal potrzebne, co Jezus objaśnia u Mateusza w wizji powtórnego przyjścia i Sądu Ostatecznego, gdzie potępieni wylądują w ogniu piekielnym. Zatem najpierw piekło czasowe, do czasu Drugiego Przyjścia, a potem wieczne po Sądzie? Surowe kalwińskie objaśnienie mówi, że po to, abyśmy zdali sobie sprawę, jakiej ceny wymagało nasze zbawienie. Obecność Chrystusa w piekle jest bowiem końcowym epizodem kary, jaka Go spotkała za nasze grzechy. Do piekła zszedł więc człowiek, ale wyszedł już z niego Bóg. Zgodnie z refleksją Piotra Augustyniaka zmarłych w piekle zostawiałby już ten drugi. Boskość obecna w Chrystusie to siła, która „bez żadnego sentymentu odrzuca ich i oddala się w swoją nieodgadnioną i niedostępną ciemność" („Jezus Niechrystus"). Niech sobie na tym zęby łamie pospołu teolog z filozofem. My dziecinnie protestujemy: jak można było ich tam zostawić!?

Z wahania teologii i naszej egzystencjalnej niezgody na nicość rodzi się literatura, a ta rządzi wyobraźnią bez porównania lepiej niż teologia i nauka. Dante wiedział, że piekło samo w sobie nie może być równe i są w nim z pewnością miejsca lepsze oraz gorsze, co z sumiennością pierwszego encyklopedysty sklasyfikował i więźniów stosownie w odpowiednich kręgach umieścił. W pierwszym, najłagodniejszym przebywa sam Wergiliusz, który tłumaczy Dantemu klarownie to, co teologia niepotrzebnie zaciemnia. Kim mianowicie jest „gromada mężów i niewiast, i dzieci".

Bezgrzeszni oni są, ale z tej miary
Jeszcze się zasług zbawienia nie bierze:
Stanowi o nim chrzest, brama twej wiary.
Chociaż w pogańskiej przyszli na świat wierze,
Czci potem Bogu nie złożyli winnej;
Do ich gromady oto sam należę,
Dla tej usterki, nie dla winy innej.

(„Boska komedia" Pieśń IV,
przeł. E. Porębowicz)

A następnie wymienia tych, którzy zostali zbawieni podczas wizyty Chrystusa w piekle:

Krótko przed moim rozstaniem z ziemiany
Mocarz tu zstąpił niebiańskiego lica,
Znakiem zwycięstwa uhonorowany.
On z państwa tych wywiódł pierwszego rodzica,
Abla, Noego; pośród innych wiela
Abram posłuszny, Mojżesz, praw krynica,
Dawid stąd wyszedł i ród Izraela
Stary; to jest on i ojciec, i syny,
I wysłużona pasterstwem Rachela
Ich wyprowadził w niebieskie krainy;
I wiedz, że przed tym dostojnym wyborem
Żaden nie zaznał zbawienia człek iny.

Dante nie kieruje się wyłącznie sprawiedliwością teologiczną, ale także poetycką, stąd w łagodnym pierwszym kręgu mieszkają Homer i Wergiliusz, niemniej na żadne osobiste sentymenty poeta Chrystusowi nie pozwala.

Kolejne wieki będą bardziej ludzkie. Nie mamy wątpliwości, kogo wyprowadziłby z zaświatów Kochanowski, kiedy zrozpaczony zaklina zmarłą córkę: „Gdzieśkolwiek jest, jesliś jest, lituj mej żałości". A wydana mniej więcej w tym samym czasie co „Treny" i również w Krakowie, „Historyja o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" Mikołaja z Wilkowiecka panoszy się w zaświatach swobodnie, rozdając zbawienie na prawo i lewo. Jezus woła do odwiedzanych umarłych:

Pódźcież teraz za mną wszytcy,
Moi mili miłośnicy.
Nie bójcie się tych złych wrogów,
Bomci im już utarł rogów.
Odeślę was do onego
Jasnego raju ziemskiego,
A stamtąd dnia czterdziestego
Do królestwa niebieskiego.

Łączy nas pamięć

19 kwietnia mija kolejna rocznica Powstania w Getcie Warszawskim. Dla jego upamiętnienia do tego wydania „Tygodnika" dołączyliśmy naklejki – żonkile, symbol tej rocznicy.

Ks. Adam Boniecki jest ambasadorem akcji „Żonkile", organizowanej przez Muzeum POLIN, a „Tygodnik" towarzyszy jej od wielu lat.

Obszerny dodatek poświęcony powstaniu znajdziecie na: ***powszech.net/pamietamy***

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

19 IV 1943

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. KAJUS W. PYRZ

Pódźcież za mną, miłośnicy moi,
Już przeciw wam żaden wróg nie stoi,
Boście wy moi.

Misteryjna śpiewogra mogła nieść ulgę i rozrywkę umysłowi na eschatologicznej diecie serwowanej przez oficjalną teologię, ale właściwego dramatu śmierci własnej (i drugiej własnej, w postaci ukochanej osoby) nie rozwiązywała.

Chrystus przynosi do piekła obietnicę unicestwienia śmierci na swoim przykładzie. Przenikliwy autor Ewangelii Nikodema wiedział, że to za mało, że inni też muszą to poczuć, choć na chwilę. Bo skoro niektórych uratował, to dlaczego nie wszystkich? Za mało mocy? Nawet Bóg nie ma na to dość miejsca ani czasu. Całkowita interwencja w nieodwracalność śmierci byłaby końcem historii; „końcem świata". Dlatego jest epizodyczna, trwa krótko, a nieliczni zbawieni idą do raju bez tranzytu przez ziemię, nie odwracają naturalnego biegu rzeczy, nie naruszają historii. Zmarli pozostają zmarłymi.

Zagadki teologiczne mogą się wydawać irytującym luksusem, kiedy piekło mamy za granicą, a wyprowadzonych z otchłani wszędzie wokół. Trzeba jednak myśleć o rzeczach nie do pomyślenia, np. o tym, że śmierć nie ma władzy nad ludźmi.

A jednak, mimo demograficznej ostrożności (zmarłych jest więcej niż żywych), teologia sprowokowała nas do pragnienia niemożliwego, czyli pojednania czasu i wieczności; do pragnienia tu na ziemi doświadczenia „wieczności, która mija" (Jean Genet). Dlatego nie chcemy czekać na koniec wojny czy śmierci, na Sąd Ostateczny czy w Hadze. Chcemy drogich zmarłych z powrotem w domu, a nie wyobrażać sobie odchodzących za kolejną granicę, do lepszych miast, mieszkań, ubrań, lepszego jedzenia, braku trosk materialnych, do innych wymiarów.

Z miłości

To przecież tylko nicość. Jakże takie nic
ma stanąć między nami. Na złość, na zawsze zapiszę
tę kreskę na tęczówce, zmarszczkę w kącie ust

(Stanisław Barańczak „Grażynie")

Jak poucza nauka o naszej psychice, tylko miłość własna (narcyzm) i miłość do innego (idealizacja) skutecznie chronią umysł przed paraliżującym natręctwem śmierci. Nieprzypadkowo więc kultura chrześcijańska tak bardzo upodobała sobie Orfeusza, który z miłości do zmarłej żony, nie godząc się z jej śmiercią, ruszył do Hadesu, gdzie muzyką i śpiewem oczarował Persefonę, która zgodziła się, aby zabrał Eurydykę na ziemię.

Wielki teolog Klemens Aleksandryjski zobaczył w nim poprzednika Chrystusa, z tą jednak różnicą, że Orfeusz uwodzi swoją muzyką i śpiewem, a słowo Chrystusa uwalnia od grzechu. Zapomniał jednak, że kiedy Eurydyka umiera po raz drugi, pieśń Orfeusza trwa. Jak mówią mity, jego odcięta głowa nie przestała śpiewać. Podobnie do wielu platońskich teologów, Klemens nie docenił sztuki, która dla coraz bardziej świeckiej ludzkości stanie się pokrzepieniem w trwających przez wieki wizerunkach lub czystych fikcjach. Sztuka zastąpi religię ludziom nowoczesnym, poszukującym mądrości i pocieszenia wobec nicości. Łatwiej nam uwierzyć w duchy, przekonując się, jak długo są z nami widma Hamleta czy Julii.

Żadna opowieść o niezgodzie na śmierć nie porusza mnie bardziej, niż ta opowiedziana w „Eposie o Gilgameszu". Ten starosumeryjski poemat heroiczny z połowy II tysiąclecia p.n.e. opowiada o przyjaźni, wspólnych przygodach i walkach Gilgamesza oraz jego przyjaciela Enkidu. Po śmierci Enkidu Gilgamesza ogarnia lęk, bowiem – jak pisał Jan Kott – odkrył przy okazji własną śmierć. Znękanego strachem bohatera nawiedza sen, w którym pojawia się zmarły przyjaciel:

Skoro tylko w ziemi otwór otworzył,
duch Enkidu z ziemi jako wiatr wyszedł.
Myśmy się w objęcia wzięli, ucałowali,
w smutku i westchnieniach wszczęli
ze sobą rozmowę.

Powiedz, przyjacielu mój miły, powiedz mi to prawo ziemi, któreś był ujrzał!

Nie powiem ci przyjacielu miły, nie powiem! Gdybym ci powiedział prawo ziemi, którem był ujrzał, siądziesz i zapłaczesz!

Niech siądę i płaczę!

Mój przyjacielu, otóż ciało moje, któregoś dotykał serce swe ciesząc, robak je pożera jak starą szmatę. Ciało Enkidu, któregoś dotykał, serce swe ciesząc, zmieniło się w glinę, jest pełne prochu.

(przekład niesygnowany)

Prawda snu utwierdza lęk. Śmierć ukochanego przyjaciela dotyka Gilgamesza bardziej niż jakakolwiek inna, ponieważ umarły jest lustrem, które pokazuje Gilgameszowi jego własne martwe odbicie. I wtedy przychodzi nadzieja, istnieje bowiem ziele dające nieśmiertelność. Gilgamesz je zdobywa, ale nie zjada od razu. To moment zwrotny opowieści, nagła decyzja, w której widać, jak rodzi się humanizm, o którym André Malraux napisał, że powstał, kiedy pierwszy człowiek widząc martwego towarzysza zapytał: „dlaczego?".

Gilgamesz postanawia podzielić się nieśmiertelnością ze swoim ludem.

To zioło, (...) to kwiat niezwykły, który leczy z niepokoju, człowiek może dzięki niemu życia dostąpić. Do Uruku warownego wezmę to zioło, lud nim nakarmię i mocy doświadczę.
To zioło zwie się starzec znowu młody, jak ja. Jeśli to się spełni, sam go zażyję i młodość odzyskam.

Nic takiego się nie stanie. Kiedy Gilgamesz się kąpie, ziele zjada wąż i nadzieja nieśmiertelności przepada. Gilgamesz płacze nad sobą, a następnie rusza budować miasto.

↦

Mój niesłabnący zachwyt nad tą opowieścią wynika z ruchu refleksji, który wykonuje umysł Gilgamesza. Od narcystycznej bezmyślności i zatroskania wyłącznie o siebie, przez odkrycie miłości i straty przyjaciela, aż po narodziny współczucia, czyli chęci obdarzenia nieśmiertelnością innych ludzi, a nie tylko siebie. Odkrycie własnej śmierci się dokonało, praca żałoby nad sobą i przyjacielem została wykonana. Powstał człowiek pełny, w którym pracuje niezamierające wahadło współczucia, zrodzone przez miłość, a po jej utracie kompensowane przez twórczość i pracę.

Miłość, tworzenie, naprawa świata – banalne, ludzkie, zawsze nieskuteczne antidota na śmierć. Cóż, kiedy innych nie ma.

Potem zaczęła się wojna

Drugiego dnia wojny zaczęliśmy szukać naszych ukraińskich studentów. Zebrało się nas na ekranie komputera ponad 120. Niektórzy byli tu, w Polsce, inni jeszcze w Ukrainie, bo nie wrócili z przerwy międzysemestralnej. Rozmawialiśmy online, ale niektórzy z nich byli już naprawdę na linii ostrzału. W jakimś bezradnym zawstydzeniu pytaliśmy, jak możemy pomóc? Jak to znoszą? Wśród wielu odpowiedzi i pytań jedno było paraliżujące. Chłopak, który był u nas na miejscu w akademiku, zapytał, czy po wojnie będzie mógł wrócić z powrotem na studia, bo teraz jedzie tam walczyć. A potem zobaczyłem go jeszcze raz w wierszu Serhija Żadana o parze zakochanych studentów w wynajętym mieszkaniu; wierszu boleśnie zwodniczym, pełnym obrazów młodości, miłości i beztroski, które nagle zwijają się w gorzką grudkę puenty.

To jedyne zdjęcie, na którym jesteśmy razem
– mówi ona –
Jestem tu na niego obrażona,
Widzisz, nawet patrzę w inną stronę,
Nie rozmawiam z nim.
Potem zaczęła się wojna.
Poszedł.
I to wszystko.

(przeł. Bohdan Zadura)

Wielu przyjaciół, znajomych i nieznajomych już drugiego dnia wojny ruszyło na granicę własnym transportem, aby zabierać uciekinierów, wkrótce już tylko starszych, kobiety i dzieci. „I jak pan wybiera z tych kilku tysięcy ludzi tych, których zabierze pan do granicy? To jakiś koszmarny »wybór Zofii«" – pytała jednego z tych kierowców, Andrzeja Stasiuka, Dorota Wodecka. „W ogóle tego nie robię – odpowiedział. – Powiedziałem Ukrainkom, które z nami współpracują po drugiej stronie, że tylko będę jeździł, a kogo mam wieźć, to już ich sprawa. Bo co mam powiedzieć? Że to dziecko mi się bardziej podoba i je biorę? Dlatego to się samo dzieje. Nawet nie patrzę, kto wsiada, odwracam wzrok albo podnoszę oczy do góry, żeby mi łzy nie poleciały".

© RYSZARD KOZIOŁEK

Prawdziwie zmartwychwstał

OLGA SOLARZ, ETNOGRAFKA, UKRAINISTKA:

Wielkanoc na Ukrainie jest świętem bardziej radosnym niż w Polsce. Tanecznym zabawom przypisuje się magiczne znaczenie: pląsami i podskokami pobudza się świat do wirowania, czyli do życia.

ARCHIWUM PRYWATNE

OLGA SOLARZ jest etnolożką, ukrainistką, badaczką pogranicza polsko-ukraińskiego oraz elementów magicznych w przestrzeni społeczno-politycznej Ukrainy. Prezeska Fundacji Magia Karpat, autorka bloga „Magia ludowa Karpat".

MAŁGORZATA NOCUŃ: Pamięta Pani opowieści swojej ukraińskiej babci na temat Wielkanocy?

OLGA SOLARZ: Dużo z jej wspomnień odnalazłam w tekstach źródłowych, studiując etnografię. Ale mówiła także o rzeczach rzadko występujących w literaturze. Np. o „kołodkach", czyli huśtawkach. Wieszano je na grubych gałęziach drzew. We wsi huśtali się wszyscy: staruszkowie, dorośli i dzieci. Wierzono, że ten szybki ruch, w górę i w dół, pobudza przyrodę do życia. Czym wyżej ku niebu uniesie się huśtawka, tym urodzajniejsze będą plony. Obrodzą pszenica, proso, len. W kulturze agrarnej obfite zbiory oznaczają nie tyle powodzenie, co pełnię szczęścia.

Magiczny rytuał.

Tak. Na Ukrainie wiele z nich się zachowało. A niektóre obecnie się odradzają, co z ciekawością obserwuję podczas swoich podróży.

Moja rodzinna wioska także kojarzy mi się z krainą magiczną, baśniową. Leży na sumszczyźnie, to północno-wschodni rejon Ukrainy. Przy jej granicy płynie Desna – najdłuższy lewostronny dopływ Dniepru. Jest tam nie tylko pięknie. Rejony te zamieszkują niezwykle otwarci i gościnni ludzie, przekonuję się o tym podczas każdego pobytu.

Obiecałam sobie, że kiedy tylko moja wieś zostanie wyzwolona, odwiedzę ją. Dokonam wielkanocnego rytuału – zapalę świeczkę na grobie babci, pradziadków i prapradziadków. Kiedy na ziemi moich przodków zatrzymał się

YURII RYLCHUK / FUTURE PUBLISHING / GETTY IMAGES

Tradycyjna paska, Wielki Piątek we wsi Kosmach w obwodzie iwano-frankiwskim (Zachodnia Ukraina), 17 kwietnia 2021 r.

front, nagle poczułam, że wojna może odebrać mi możliwość odwiedzania cmentarza. Nie pogodziłabym się z tym. Na szczęście rosyjskie wojska właśnie się wycofują z tych terenów.

Na Ukrainie świętuje się Niedzielę Palmową?

Używa się określenia „werbna nedila", czyli niedziela wierzbowa. Zamiast palm święci się przystrojone kokardkami gałązki wierzby. To drzewo symbolizuje odrodzenie. Witalną moc. Korzonki puści nawet malutka, wysuszona i niestarannie urwana gałązka. Wystarczy umieścić ją w wodzie i odrodzi się. Wielkanoc jest świętem zmartwychwstania Pańskiego, ale to także czas, w którym do życia budzi się świat przyrody. Odradza się, jak wspomniana gałązka. Zima w tradycji ludowej nazywana jest „czasem śmierci". Celebruje się jej odejście.

Poświęconymi gałązkami wierzbowymi ludzie się uderzają.

I mówią albo śpiewają przy tym: „Nie ja biję, a wierzba bije / Za tydzień Wielkanoc / Już wkrótce czerwone jajko / Bądź wesoły jak wierzba / Bogaty jak ziemia / Zdrowy jak woda".

Ten rytuał jest radosny. Ma budzić dobrą energię. Po jego zakończeniu każdy domownik zjada przynajmniej jeden „kotek" z gałązki. Mówi się, że to pomaga „odgonić" choroby gardła. Może to zresztą być prawda. Wierzba posiada działające antyseptycznie salicylany.

Poświęcone gałązki zatyka się za ikony. W Karpatach, kiedy tylko niebo ciemnieje i rozlegają się zwiastujące burzę grzmoty, wrzuca się wierzbową witkę, albo choć wierzbowego „kotka", do pieca. Ufa się, że to ochroni dom przed uderzeniem pioruna. Poświęconych gałązek nie wolno wyrzucać do kosza na śmieci. Należy je spalić albo położyć na leśnej ściółce.

Jako etnografka obserwowała Pani przygotowania do świąt w karpackich wsiach.

W 2012 r. spędziłam tam kilkanaście dni. Przemieszczałam się z miejsca na miejsce, przeprowadzałam wywiady, robiłam zdjęcia. Oczywiście dziś nie wszystkie obyczaje się kultywuje. Kilkadziesiąt lat temu praktykowano np. zwyczaj „czystego czwartku". Współcześnie przez cały tydzień poprzedzający Wielkanoc gotuje się i sprząta: bieli się ściany domu, maluje futryny okien, a nawet szoruje drzwiczki kuchennego pieca. Niegdyś w „czysty czwartek" zażywano także odświętnej kąpieli – dla higieny i zdrowia. Bo woda – według ludowych wierzeń – jest jego źródłem.

Każdy wielkanocny rytuał ma swoją symbolikę i znaczenie.

Widać to podczas analizy źródeł, ale także w trakcie badań terenowych, zresztą nie tylko w kontekście Wielkanocy, ale także Bożego Narodzenia. Np. w Karpatach nie wolno wylać wody, w której gotuje się jajka do święcenia. Taki krok byłby równoznaczny z świętokradztwem. W rejonie turczańskim (obwód lwowski) młode kobiety obmywają sobie nią twarz. Wierzą, że to przyniesie im urodę i pomoże na długo zachować świeżą cerę.

Do kosza na śmieci nie trafiają nie tylko gałązki wierzby – nie wyrzuca się także skorupek jajek. Można je spalić albo wysypać w ogrodzie – użyźnią ziemię, odgonią szkodniki. Choć w niektórych miejscowościach zachował się archaiczny obyczaj polegający na wrzucaniu skorupek do wody. Czyni się to dla „Rachmanów", czyli pobożnego ludu mieszkającego głęboko pod ziemią. Daje się Rachmanom sygnał, że skończył się post i mogą zacząć świętowanie.

A co to jest „paska"?

Okrągła drożdżowa babka, która symbolizuje słońce. Są też paski serowe, ale ich nie wypieka się na Wielkanoc. Tradycyjna paska jest piękna. Przystrojona wyplecionymi z ciasta warkoczami i kwiatami.

Paska to jeden z najważniejszych pokarmów w wielkanocnym koszu. Dlatego rytuałem jest zagniatanie drożdżowego ciasta na nią. W tym czasie w domu musi panować dobra atmosfera. Wierzy się, że to wpływa na ciasto, które szybko rośnie i nie opada po wyjęciu z pieca. A jeśli w trakcie wypiekania paski króluje pokój, to utrzyma się on przez cały rok. I znów: gospodyni nie wolno wylać wody, którą obmyła ręce po wyrobieniu ciasta. Należy ją umieścić w szklanym naczyniu i schować. Posłuży do odczyniania uroków.

Dawniej wiejskie gospodynie brały udział w konkursie na największą paskę. Zachowały się teksty mówiące o babkach tak wielkich, że nie dało się ich wyciągnąć z pieca, który trzeba było rozbierać. Współcześnie paski można kupić w sklepie. Są pieczone hurtowo i oczywiście nie tak ładne jak te tradycyjne. Zamiast ręcznie, dekoruje się je kolorową posypką.

W koszyczku oprócz paski znajdą się jajka i sól.

To nie są wielkanocne koszyczki. To są kosze! Na świąteczny stół nie trafi nic, co nie zostało poświęcone. Do cerkwi niesie się więc: tuziny jajek, pęta kiełbasy, sało (czyli plaster słoniny w posypce z papryki), a także masło. Szczególne znaczenie przypisywane jest soli; jej nie może zabraknąć, bo pełni funkcję ochronną. W Karpatach posypuje się nią kąty domu, wsypuje do studni – ufa się, że dzięki temu przez cały rok będzie z niej biła czysta woda. Solą posypuje się też próg, by złe siły go nie przekroczyły. ↦

SERGEI CHUZAVKOV / SOPA / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

Liturgia Wielkiej Soboty w katedrze św. Włodzimierza w Kijowie, 27 kwietnia 2019 r.

↦ Wszystkie te rytuały wykonuje najstarsza osoba w rodzinie. Czyni to z odpowiednim namaszczeniem i wiarą, że zapewnia domostwu ochronę. Oczyszcza jego przestrzeń.

Jajka gotuje się w łupinach z cebuli.

To kraszanki. Malowane na pisankach wzory przypominają hafty z ludowych bluzek. One także miały znaczenie „kreujące" – miały pomagać światu odradzać się po zimie. Jest to oczywiście element przedchrześcijański. Nie tylko wpisał się w obrzędowość chrześcijańską, ale wręcz stał się nieodzownym elementem świąt Wielkiej Nocy.

Czy święconką wciąż dzieli się z ubogimi i bezdomnymi?

W kulturze ludowej osoby wędrujące od wsi do wsi uważano za obdarzone magiczną mocą. Przybywały z zewnątrz, z jakiegoś „innego świata". A bezdomni i ubodzy byli właśnie takimi wędrowcami. Dzielono się z nimi nie tylko jedzeniem, otwierano przed nimi także drzwi domów.

Dziś obdarowywanie posiłkiem bezdomnych pozostaje w sferze gestów symbolicznych, podobnie jak pusty talerz przy wigilijnym stole. Jestem jednak pewna, że gdyby na ukraińskiej wsi rzeczywiście znalazła się osoba w potrzebie, zostałaby ugoszczona. Badania terenowe prowadzę tam od 1997 r. Przeprowadzałam dziesiątki wywiadów, odwiedziłam setki miejscowości. Kiedy

> Obiecałam sobie, że kiedy tylko moja wieś zostanie wyzwolona, odwiedzę ją. Dokonam wielkanocnego rytuału: zapalę świeczkę.

późnym wieczorem pukałam do czyjegoś domu, zawsze mnie zapraszano. Jeśli ktoś nie miał miejsca u siebie w izbie, szedł do sąsiadów i prosił, by udzielili mi schronienia. Nawet na demonizowanym często wschodzie kraju było podobnie. Ludzie pozostawali otwarci. Ciepli i dobrzy.

Wielkanocne jajko służyło wyznawaniu miłości.

Ten zwyczaj mógł się zachować w niektórych karpackich miejscowościach. Polegał na wręczeniu dziewczynie kraszanki, czyli wspomnianego czerwonego jajka. W tej zabawie brali udział młodzi, jeszcze niezaręczeni chłopcy i dziewczęta. Czerwony ma ważną symbolikę. Jest kolorem życia. Witalności.

A czym jest „bitwa na jajka"?

Przy wielkanocnym stole lub jeszcze pod cerkwią, zaraz po zakończeniu liturgii, każdy bierze do ręki jajo. Wszystkie jajka kolejno się „biją". To znaczy, dołem uderza się w czubek. Wygrywa jajko najsilniejsze, które się nie stłucze. Jego posiadacz dostaje w prezencie jajka pokonane.

Dzieci chyba uwielbiają tę zabawę.

Trzeba pamiętać, że Wielkanoc na Ukrainie jest o wiele bardziej radosna niż w Polsce. W niektórych rejonach urządza się zabawy przed cerkwią. W Karpatach, we Lwowie (w skansenie Szewczenkowski Gaj) prowadzi się „haiwki", czyli korowody. Przychodzą tysiące osób, by wziąć udział w tanecznej zabawie, której przypisuje się magiczne znaczenie: ruchami ciała, pląsami, podskokami pobudza się świat do wirowania, czyli do życia.

Tańczenie „haiwek" przywodzi skojarzenie ze ślimakiem – ludzie trzymają się za ręce i wiją jak ślimacza muszla. Niektóre zabawy przypominają hiszpańskie fiesty. Mężczyźni tworzą figury geometryczne. To znaczy, np. sześciu panów stoi rzędem, obejmują się, na ich ramionach staje pięciu panów, „piętro" wyżej czterech. Te figury mają odzwierciedlać porządkowanie świata. Z chaosu rodzi się kosmos, a ten jest zawsze uporządkowany. Posiada strukturę. Ludowe hafty też symbolizują kosmos, dlatego również mają geometryczny kształt.

W czasie wielkanocnym rzadko usłyszymy „dzień dobry".

Witając się, mówimy „Chrystos woskres" („Chrystus zmartwychwstał"). W odpowiedzi usłyszymy: „Woistynno woskres" („Prawdziwie zmartwychwstał"). Nie sposób oddać tego w tekście, ale to powitanie wypowiadane jest z prawdziwym entuzjazmem. Jest w nim szczęście, radość ze spotkania.

Zresztą na ukraińskich wsiach w dzień powszedni do dziś usłyszymy zamiast „dzień dobry": „Sława Isusu Chrystu", czyli „Niech będzie pochwalony".

Nabożeństwo wielkanocne może trwać nawet całą noc.

Kilkadziesiąt lat temu nabożeństwa odprawiano nocą, ponieważ ludzie – po zakończonym dniu pracy – schodzili z gór do cerkwi. Brałam udział w liturgii, która rozpoczęła się o godzinie 23.00 i skończyła jutrznią. O 5.00 rano usiedliśmy do stołu. Na Ukrainie świąteczne śniadanie

spożywa się zaraz po poświęceniu pokarmu.

Kosze święci się przed cerkwią, nie wolno ich wnieść do środka. W przestrzeni sakralnej nie może być krwi, a ta jest przecież w wędlinach. Dawniej bardzo restrykcyjny był także okres postu. Nie jedzono nie tylko mięsa, ale także nabiału. Mleko zlewano do beczek, przerabiano na śmietanę i twaróg. Wielkanocne posiłki cieszyły ciało i duszę. Wreszcie można było poczuć się sytym.

Rytuały wykonywane na cmentarzu podczas Niedzieli Wielkanocnej albo tydzień po niej (zależnie od regionu) przypominają dziady.

W tradycji ukraińskiej i polskiej wierzenia chrześcijańskie mieszają się z przedchrześcijańskimi. Rytuały na grobach wywodzą się właśnie z czasów pogańskich. W Wielką Niedzielę oddaje się kult przodkom, to ukraiński odpowiednik Wszystkich Świętych. Odwiedza się groby i zostawia na nich pisanki. W Karpatach i na Huculszczyźnie na cmentarzu spożywa się nawet symboliczny posiłek. Ukraińcy wierzą, że ich dusze łączą się z duszami przodków. Zostają otoczeni ich opieką.

W tym roku także spędzi Pani Wielkanoc na Ukrainie.

Pamiętam, jak w 2015 r. byłam na Ługańszczyźnie. W Niedzielę Wielkanocną objechałam z pisankami i paską pierwszą linię frontu, czyli „zerówkę". W tym roku chcę odwiedzić południowo-wschodni odcinek frontu. Żołnierze, którzy tam stacjonują i walczą, pochodzą z różnych części Ukrainy. Są daleko od domu. Nie mogą celebrować świąt z rodzinami. Uczyńmy to więc z nimi. Choćby symbolicznie.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

RDC POLSKIE RADIO

MAŁGORZATA NOCUŃ będzie gościć w programie Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC w środę 13 kwietnia o godzinie 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Najlepsza cząstka

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Odruch Marty z Betanii odzwierciedla to, co w nas najbardziej ludzkie. Przekonujemy się o tym także w ostatnich dniach.

Łatwo przegapić ten obraz w Królewskim Muzeum Sztuk Pięknych w Brukseli, bo pędzi się już wtedy do sali z Brueglami. Ale jeśli zwolni się kroku, po prawej stronie napotka się zmęczone oczy. Należą do skubiącej ptactwo kobiety o krępych przedramionach i krótkich palcach. Obok niej spoczywa upozowana szynka lśniąca od warstw tłuszczu, kosz z kaczką i marchwią, dwie bułki, dzban. Za nią są jeszcze dwie kobiety: jedna dzierży żelazny rożen z nadzianym nań połciem mięsiwa i oskubaną już kurę, druga, w fartuchu, przysiadła tyłem do widza przy palenisku, dając odpocząć opuchniętym dłoniom.

Na obrazie Joachima Beuckelaera „Chrystus w domu Marii i Marty" (1565) ewangeliczna scena ulega odwróceniu – widać ją głęboko w tyle, ledwo majaczącą w odcieniach szarości. Marta stoi tam w dali, pomiędzy Mistrzem a kuchnią, jakby mediowała między przedstawionymi na malowidle światami. Jej siostra Maria spoczywa na poduszkach u stóp Jezusa, któremu flamandzki malarz kilkoma dotknięciami pędzla odmalował taką minę, jakby właśnie on spostrzegł, że tam, w kuchni, poza wygodną przestrzenią kontemplacji, coś się dzieje. A pierwszy plan to życie, z jego barwami, mięsistością, sokami, codziennym doświadczeniem i zmęczeniem.

Kto choć okazjonalnie gotuje, ten pewnie nieraz poczuł ukłucie na wspomnienie sceny w Betanii, gdzie Marta za całe swoje starania słyszy – i z tym będzie musiała przejść do historii – że to jej siostra obrała lepszą cząstkę.

Ta „lepsza cząstka" stanie się potem wygodną wymówką, zaś Marta zostanie sprowadzona do roli patronki czynności potrzebnych wprawdzie, ale jakoś nieszlachetnych, kuchennych i, a jakże, kobiecych. W najlepszym wypadku – dopiero wiodących ku doskonałości *vita contemplativa*.

A tymczasem odruch Marty odzwierciedla to, co w nas najlepsze. W rzeczy samej – najbardziej ludzkie.

Zupa dla Ukrainy

„Oho, będą głodni" – pomyślała wtedy na wieść o uchodźczyniach i uchodźcach z Ukrainy przybywających na krakowski dworzec. Teraz dyżuruje na tyłach budynku, w którym od XVIII w. składowano wielicką sól czekającą na spławienie Wisłą. Wiosną 2022 r. jest tu skład litrowych słoików z zupą. Całe to miejsce pulsuje: ktoś wchodzi, ktoś wychodzi, przynosi słoiki bądź sięga po nie z pełnych regałów, ktoś się nieśmiało wita, ktoś raportuje coś koordynatorce, ktoś dziękuje. Wszystko w otoczeniu przedziwnych barwnych instalacji – bo przestrzeni tej użycza Centrum Sztuki Współczesnej Wiewiórka.

– Wyszło stąd już 60 tys. zup – mówi znad laptopa Katarzyna Pilitowska, koordynatorka akcji. Prowadzi w mieście dwa lokale, napisała wraz z córką Zofią dwie książki kucharskie, jest animatorką kultury kulinarnej – i wolontariuszką. Gotowała m.in. w „Zupie na Plantach", inicjatywie karmiącej osoby bezdomne, a pomagając jesienią na granicy polsko-białoruskiej, zetknęła się z warszawską kooperatywą „Zupa na granicę". Gdy więc pomyślała, że uchodźcy będą głodni, z miejsca – wraz z literaturoznawczynią Anną Chromik, która wpadła na identyczny pomysł – założyła facebookową grupę „Zupa dla Ukrainy Kraków".

– Odzew był natychmiastowy, nie upłynęło nawet pół godziny – opowiada Pilitowska. Zupę dla Ukrainy ruszyło gotować blisko 4,5 tys. osób.

W grupie organizatorki alarmują, gdy kończą się zapasy, i instruują, że ↦

GRAŻYNA MAKARA

KATARZYNA PILITOWSKA *(w żółtej czapce): „Odzew był natychmiastowy. W takim jedzeniu jest coś więcej niż pożywienie". Akcja „Zupa dla Ukrainy", Dworzec Główny w Krakowie, 8 marca 2022 r.*

↦ zupa ma być wegańska (Pilitowska, która sama nie je mięsa, tłumaczy: – Bo taka lepiej się przechowuje, każdy może ją zjeść i dbamy w ten sposób o dobrostan zwierząt) i objaśniają, jak ją pasteryzować. A członkowie grupy koordynują się też sami: skrzykują się na dowóz porcji zup do Składu Solnego albo ogłaszają, że mają słoiki do oddania. Są też tacy, co proszą o porady dla początkujących, bo specjalnie dla tej akcji uczą się gotować.

– Zupę gotują seniorzy z centrum aktywizacji i koło gospodyń wiejskich, grupa mam z dzielnicy Podgórze i kilka krakowskich restauracji – wylicza Pilitowska. – Jest nawet wolontariat turystyczny: ludzie z zagranicy odwiedzający Kraków przychodzą pomagać na kilka dni. Wolontariusze wydawali zupę na dworcu, słoiki od początku trafiały na wszystkie przejścia graniczne, ale też do Lwowa, Kijowa, Charkowa.

Z zupą jest tak, że wymaga zaangażowania, przemyślenia, dania od siebie czegoś ekstra, ale ugotować może ją właściwie każdy. Także ktoś, kto nie ma w sobie śmiałości aktywisty albo po prostu czasu. – W takim jedzeniu jest coś więcej niż pożywienie – mówi Pilitowska.

– Zupa jest konkretna – dodaje Piotr Żyłka, jeden z twórców „Zupy na Plantach" i szef organizującej ją fundacji ZUPA, autor wywiadów-rzek z praktykami duchowości i dobroczynności. – To szybka, realna pomoc. I taki rzeczywiście był pierwszy odruch wielu ludzi: mam siły, zdrowie i zasoby, mogę pomóc. To chyba naturalne?

Żyłka kontynuuje: – Ale nawet my byliśmy zaskoczeni skalą chęci pomagania. Wpływ na masowe zaangażowanie w pomoc dla Ukraińców może mieć to, że po raz pierwszy od dawna doświadczamy ludzkiej krzywdy z bardzo bliska, bo to nie dzieje się gdzieś daleko w Syrii czy Sudanie, ale u naszych sąsiadów, i z taką intensywnością. Nie da się jej nie widzieć. I to jeszcze wyrządzanej przez Rosję, z którą nasze społeczeństwo też ma różne trudne doświadczenia. Może pojawił się w nas, obok współczucia i solidarności, także lęk. Gdy działasz, nie masz czasu na rozmyślanie o swoich obawach, tylko pomagasz ludziom, którzy są w potrzebie, i doświadczyli tego, czego ty sam też się boisz.

Na drugiej szali

– Tak, można popatrzeć na rzucenie się w działanie jako pewnego rodzaju mechanizm obronny – mówi Natalia de Barbaro, psycholożka i socjolożka. – Gdy działam, nie kontaktuję się z zamętem we mnie, jakbym mówiła sobie: „teraz nie mogę czuć tego, co czuję". Ale to wcale nie unieważnia samego tego działania ani

JACEK TARAN

Centrum Sztuki Współczesnej Wiewiórka w dawnym składzie solnym. Teraz w tym miejscu wydawana jest zupa dla uchodźców z Ukrainy, Kraków, 7 kwietnia 2022 r.

motywów, z których ono płynie – tłumaczy.

Od miesiąca sama więcej gotuje. – Zauważyłam, że w gotowaniu splatają się trzy wartości: po pierwsze, gdy słyszę o wojnie, dostarcza ono kojącej świadomości, że w ogóle mam jedzenie – wylicza. – Po drugie, daje ono okazję do skupienia. I po trzecie, najważniejsze, sprawia, że mogę coś dać.

De Barbaro także wspomina tamtą drugą granicę, białoruską. – Patrzyliśmy na to, a część z nas ciągle na to patrzy, i w zbiorowej podświadomości rodzi się wyrzut sumienia – mówi. – Sama tego doświadczyłam. Wtedy ograniczyłam swoją pomoc do przekazywania datków. A teraz, pomagając konkretnym ludziom, na przykład robiąc tak podstawową rzecz, jak dzielenie się jedzeniem, możemy sobie pokazać, że jednak jesteśmy dobrymi ludźmi. Nie po to, żeby wyrzut sumienia zagłuszyć, tylko żeby położyć coś na drugiej szali. Próbować uzbierać przeciwwagę dla całego tego zła. Możemy nie być bezsilni.

> Z zupą jest tak, że wymaga zaangażowania, przemyślenia, dania od siebie czegoś ekstra, ale ugotować może ją właściwie każdy. Także ktoś, kto nie ma w sobie śmiałości aktywisty.

Ten odruch karmienia odczuło mnóstwo ludzi, którzy nie tylko zabrali się za gotowanie zup, ale też zaczęli przywozić na dworce kanapki i składniki na nie, słoiczki dla dzieci i batony energetyczne. Zadbanie o posiłek to coś, co każdy potrafi zrobić. I co może zrobić.

– Bo nie ma ludzi, którzy nie jedzą – mówi Katarzyna Pilitowska.

A odruch karmienia zatacza kręgi i wyraża coraz więcej. U rodziców Natalii de Barbaro znalazła gościnę Maria ze Lwowa wraz z dwójką dzieci, informatyczka. – Najpierw zrobiliśmy dla niej zakupy, potem poszłam do restauracyjki w sąsiedztwie z propozycją, że Maria z dziećmi będą się tam stołować, a my za to zapłacimy. Ale właściciele lokalu powiedzieli, że zapraszają ich serdecznie i nie chcą pieniędzy – opowiada psycholożka. – Maria jednak wolała sama gotować swoim dzieciom, a do tego nalegała, żeby choć raz ugotować coś także dla nas. Zrobiła barszcz ukraiński, wareniki, czyli pierogi, w sosie grzybowym, i strudel – wspomina. – Wszyscy wszystkich pragnęli karmić.

↦

↦ W karmieniu de Barbaro widzi coś absolutnie pierwszego. Może rodzicielskiego, a może po prostu ludzkiego. – Karmiąc głodnego, jesteśmy w bliskim kontakcie ze swoim człowieczeństwem – mówi.

Możliwe, że nawet w bardzo ścisłym, biologicznym sensie.

Hipoteza paleniska

Inne zwierzęta też się karmią. Przede wszystkim, gdy w grę wchodzi opieka nad potomstwem. Niektóre, jak kruki, papugi, mewy czy dzięcioły, dzielą się też pożywieniem, gdy starają się o względy partnera. W jednym i drugim socjobiolodzy, jak Desmond Morris, upatrują zresztą źródła naszych pocałunków. Niektóre zwierzęta dzielą się też jedzeniem z innymi członkami stada, ale to zawsze ściśle się wiąże z pokrewieństwem i pozycją w grupie. Ale czy jakieś inne zwierzęta dzielą się jedzeniem z niespokrewnionymi głodnymi, słabszymi, chorymi?

– Rzeczywiście, wydaje się, że to coś unikalnego dla nas, ludzi – mówi „Tygodnikowi" prof. Richard Wrangham, światowej sławy prymatolog i antropolog biologiczny. I wspomina, że jego mentorka Jane Goodall bodaj tylko raz w całej karierze zaobserwowała taki gest u małp, i to spokrewnionych: jeden szympans przyniósł pokarm swojemu choremu na polio, niemogącemu chodzić bratu. – Ponadto u szympansów pewne zachowania społeczne występują w kontekście polowania i dzielenia zdobyczy, ale to zawsze się wiąże z rywalizacją i agresją – dodaje. – Jak odległe od tego są nasze kolacje! Ludzie, poprzez gotowanie, zmienili cały proces pozyskiwania pokarmu i jedzenia z czegoś indywidualnego w społeczne.

Wrangham jest autorem koncepcji, w świetle której to właśnie gotowanie odegrało kluczową rolę w ewolucji człowieka: przenosząc obróbkę żywności poza swój organizm, homininy zaoszczędziły czas i energię potrzebne na żucie i trawienie oraz zasilanie energochłonnych tkanek układu pokarmowego. Wszystko na rzecz innej energochłonnej tkanki: mózgu. Pociągnęło to, obok rozwoju jego samego, masę innych konsekwencji. Bo gotowanie gromadzi, a ugotowaną żywnością łatwiej się dzielić. Także z tymi, którzy nie mogą jej sami zdobywać, czy wręcz nie potrafiliby poradzić sobie z surowym pokarmem: osobnikami chorymi i starymi. Paleoantropolodzy znają takie znaleziska, jak kości leciwego neandertalczyka z La Chapelle-aux-Saints, który stracił większość zębów, ale kość w ich miejscu zdążyła się zaleczyć, co znaczy, że utraciwszy możliwość żywienia się samodzielnie, pożył jeszcze, zapewne objęty opieką. Czy gotowanie przyczyniło się do tego, że ludzkość stała się bardziej ludzka?

JACEK TARAN

NATALIA DE BARBARO: Próbujemy uzbierać przeciwwagę dla całego tego zła. Możemy nie być bezsilni.

JACEK TARAN

PIOTR ŻYŁKA: Gdy działasz, nie masz czasu na rozmyślanie o swoich obawach.

RICK FRIEDMAN

RICHARD WRANGHAM: Wspólny posiłek tworzy więź znacznie głębszą niż wdzięczność za udostępnienie kilku kalorii.

– Dokładnie tak – zgadza się Wrangham. – Opisaliśmy ze współpracownikami „hipotezę paleniska", według której fakt, że ludzie nauczyli się kooperować przy posiłku, ściśle się wiąże z potrzebą poskromienia potencjalnej agresji. Otóż gotowanie trudno ukryć i długo ono trwa, ściąga więc złodziejaszków i wystawia kucharza na niebezpieczeństwo. Potrzebny był zatem system społeczny przemieniający ryzyko wybuchu agresji w porozumienie.

Przy tamtych paleniskach powstał potężny symbol. Prof. Wrangham uśmiecha się, słysząc o słoikach z zupą, kanapkach i odruchu karmienia.

– To niezwykle mocno widać właśnie w przypadku dzielenia posiłku z obcymi – podchwytuje. – Wspólny posiłek tworzy więź znacznie głębszą niż wdzięczność za udostępnienie kilku kalorii. Bo oto stajemy się częścią jednej społecznej sieci.

– Dla mnie posiłek jest czymś, co łączy totalnie i pomaga się poznać – Pilitowska mówi w gruncie rzeczy to samo. – Wspólny stół dla ludzi wokół niego może być namiastką tego, co właśnie stracili. Gdy poszliśmy pierwszy raz z zupą na dworzec, był właśnie barszcz ukraiński. Jedna z pań się rozpłakała, mówiąc, że przypomina jej dom.

■■■

Natalię de Barbaro złoszczą pytania o to, kiedy ten odruch karmienia wygaśnie, a zapał przejdzie. – Przejdzie czy nie, ale to wszystko, co teraz się dzieje, po prostu się liczy i nie ma co gadać – mówi. – Może takie pytania biorą się stąd, że trudno na dłuższą metę wytrzymać z założeniem, że ludzie są dobrzy. Bo to chwiejne założenie, podatne na zranienia, bezpieczniej się osadzić w przekonaniu, że świat jest okropny. Ale może warto zaryzykować i zobaczyć, że nie tylko wielkie zło, które się dzieje, jest realne, ale że dobro, którego jesteśmy częścią, też jest prawdziwe?

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Nasi bracia mniejsi

BEATA SZADY

W wielu miejscach obrzęd święcenia zwierząt zupełnie zanikł. W Mikstacie trwa, a nawet nabiera znaczenia.

Kolejność od wieków jest ściśle ustalona: najpierw pod kropidło podchodzą konie, później krowy, świnie (jeżeli są, bo już dawno nie było) i owce. Później drobnica. W 2021 r. pierwsze są dwie dystyngowane chabety: jedna siwa, druga kara. Na głowach mają czerwone fikuśne ozdoby. Zwierzęta na procesję w Mikstacie przychodzą wystrojone jak na prawdziwy bal. 16 sierpnia każdego roku to one są tutaj najważniejsze.

Tak więc i tym razem najpierw są jeźdźcy na koniach. Później zaprzęgi – wozy i bryczki. Jeszcze kucyk i – w tym roku po raz pierwszy w historii – alpaki (trzy białe z czerwonymi chustkami na szyi). Potem nadjeżdża traktor z rudą krową na przyczepie. Krowę przywykłą do tak zwanego zamkniętego cyklu hodowlanego (nie chodzi po pastwisku, tylko stoi w oborze) trudno przyprowadzić, dlatego na procesję przyjechała. Podobnie jak trzy cielaki. Ale tuż za rudzielką idzie jej koleżanka! Idzie! Niektóre krowy potrafią jeszcze chodzić.

Biskup Damian Bryl przyjechał do Mikstatu specjalnie na odpust św. Rocha połączony z obrzędem błogosławieństwa zwierząt – w 2015 r. wpisano je na Krajową Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Stoi na podwyższeniu obok bramy cmentarnej, święci i komentuje. Właśnie przyszła kolej na drobnicę. Najpierw psy ras wszelakich: owczarki, yorki, jamniki, kundle, nowofundlandy, polskie owczarki nizinne. Biskup uczy się nowych nazw: – Golden retriever... ojejku, jakie skomplikowane.

Teraz kot Mruczek, królik Pysio, zakonnica Beata niesie małą kocinę – Iskierkę. Nie widać psa Beryla, który w poprzednich latach robił furorę. Jednego razu miał na sobie szyty na miarę garnitur, rok później nosił się na sportowo – w niebieskim dresie i czapce z daszkiem. Reszta psów, kotów, królików, kurczaków, kur, gęsi, gołębi, żółwi jest dla mnie bezimienna. Prowadzą je kobiety i mężczyźni w różnym wieku, ale przede wszystkim dzieci. Jedni po święceniu się żegnają, inni pochylają głowę, jeszcze inni po prostu przechodzą.

Trzy wieki

Wszystko dzieje się poniżej małego drewnianego kościółka św. Rocha, który mieszkańcy Mikstatu wybudowali przed wiekami jako wotum wdzięczności za uratowanie przed epidemią cholery. A że Roch jest też opiekunem zwierząt (pies był jego pomocnikiem w czasie niedoli i choremu przynosił chleb w pysku) – wprowadzono zwyczaj ich święcenia. Mikstat, miasteczko w południowo-wschodniej Wielkopolsce, to jedyne miejsce w kraju, gdzie ten zwyczaj trwa nieprzerwanie od trzystu lat (najstarszy dokument, który potwierdza jego kultywowanie, pochodzi z 1705 r.). Na przeszkodzie nie stanęły mu ani komunistyczna władza, ani koronawirus. A niewiele brakowało.

Pewnego razu w latach 60. zeszłego wieku Jezus jechał na odpust taksówką, bo władze nie zgodziły się na procesję z kościoła farnego przy rynku do kościółka św. Rocha, który stoi na obrzeżach miasteczka (mikstaczanie mówią, że mają „mały odpust w dużym kościele i duży odpust w małym"). W 2020 r. przed odpustem Mikstat znalazł się w epicentrum pandemii i wszedł do czerwonej strefy. Uroczystości odwołano. Jednak w dzień odpustu przybyli panowie na koniach – nie wyobrażali sobie, żeby błogosławieństwa zwierząt miało nie być. Na dokładkę pojawiła się pani spod Warszawy ze swoim kotem. Przyjechała go poświęcić, jak to zwykła robić od kilku lat. Poszli do księdza i powiedzieli: „My jesteśmy". – No i jak można było nie poświęcić? – wspomina ksiądz proboszcz Krzysztof Ordziniak.

Tak oto udało się zachować ciągłość obrzędu.

Zwierzyniec

Wiele elementów święta trwa bez zmian od trzystu lat. Na przykład data: zawsze w imieniny patrona, czyli 16 sierpnia. Nieważne, piątek czy świątek. Obrzęd błogosławieństwa zwierząt jest też od zawsze częścią uroczystości odpustowych. W trakcie celebracji odmawia się te same modlitwy, na przykład nowennę do św. Rocha.

A co się zmienia? Dawniej odpust miał charakter lokalny. Dziś coraz więcej osób przyjeżdża z zewnątrz, z całej Polski. Wśród gości są pielgrzymi, ale też turyści, którzy obrzęd święcenia zwierząt traktują jako osobliwość niemającą dla nich nic wspólnego z religią.

Przede wszystkim jednak zmieniły się zwierzęta. Hodowlane wypierane są przez te domowe. Na początku XX w. „Przewodnik Katolicki" pisał: „W dniu tym [16 sierpnia] rano przed wotywą pędzą z miasta konie i krowy na wzgórze do lasku pod kościółkiem św. Rocha i kolejno przeprowadzają przed bramę, w której miejscowy proboszcz, stojąc z kropidłem w ręku, pokrapia każdą sztukę mimo idącą święconą wodą". Mowa więc tylko o koniach i krowach. Według Bolesława Januszkiewicza, który zbierał materiały w Mikstacie w latach 60., „w roku 1969 przypędzono pod kościółek około 60 krów, 40 koni, 6 owiec i 2 psy. W roku następnym było natomiast około 80 krów, 45 koni i 15 owiec". Wtedy jeszcze prawie nie święcono psów i kotów (choć przecież pies był wiernym towarzyszem św. Rocha).

Dopiero w latach 80. XX w. obok zwierząt gospodarskich pojawiły się domowe: prócz psów i kotów chomiki, króliki, świnki morskie. Na procesji można również zobaczyć papugi, kanarki, żółwie, legwana, jaszczurkę, patyczaki, świnki wietnamskie. Istne zoo.

– Spotykamy się nieraz z zarzutem, że nie ma zwierząt hodowlanych. To mówię: proszę mi pokazać, ile teraz w Mikstacie jest gospodarstw z krowami? Jeżeli będziemy się upierać tylko przy inwentarzu, to obrzęd niebawem zaniknie. Jeśli ludzie chcą przyprowadzać swoich pupili, niech to robią – tłumaczy ks. Ordziniak.

W ten sposób Mikstat uwspółcześnia tradycję. ↦

Prekursor

Zmienił się też nasz stosunek do zwierząt. Mało które pracuje dziś w polu i jest żywicielem rodziny. – Święcenie to szansa zwrócenia się ku stworzeniu – mówi ks. Ordziniak. „Żebyśmy otoczyli zwierzęta taką dobrą troską, bo one bardzo tego potrzebują” – powiedział podczas uroczystości bp Bryl.

Badania prowadzone przez Ludwika Stommę potwierdzały, że już w XIX i XX w. „powściągliwość w biciu bydła motywowana była właśnie ich »świętorochowym poświęceniem«. Sacrum łagodzi obyczaje...”. Mam tylko problem z pewną modlitwą: „Boże, hojny Dawco wszelkich darów, Ty dałeś ludziom zwierzęta, aby im służyły pomocą w pracy i w zaspokajaniu potrzeb duchowych i życiowych. Za wstawiennictwem św. Rocha pokornie prosimy Cię, aby te zwierzęta, konieczne do podtrzymania życia ludzkiego, dobrze służyły naszym potrzebom”. A co, jeżeli nasze potrzeby są nieludzkie?

16 sierpnia 2004 r. do Mikstatu przyjechali Antoni Gucwiński, wieloletni dyrektor ogrodu zoologicznego we Wrocławiu, i jego żona Hanna. W rozmowie z Krzysztofem Juszczakiem Gucwiński zwracał uwagę na aspekt wychowawczy obrzędu: „Tutaj podniesiono zwierzęta do godności członków rodziny. Ludzie strasznie to przeżywają i na pewno zwierzęta, które tu dzisiaj przyszły, po takim dniu będą miały dużo lepiej niż te, które żyją w miejscach, gdzie czegoś takiego nie ma”.

Abp Stanisław Gądecki daje nowoczesny komentarz teologiczny: „Jeżeli przez trzysta lat coś jest pielęgnowane, to znaczy, że ludzie tutaj podchodzą do tego poważnie. (...) Rozumieją, że są rodziną nie tylko w wymiarze międzyludzkim (...), ale że istnieje ta rodzinność poszerzona i o zwierzęta, i o wszystkie byty stworzone. (...) To wydaje mi się orędziem i przesłaniem Mikstatu najbardziej oczywistym i ubiegającym to, co dopiero ostatnio zostało powiedziane przez papieża Franciszka w encyklice »Fratelli tutti«”.

Można więc powiedzieć, że Mikstat wyprzedził swój czas.

Teatr

Obrzęd święcenia zwierząt staje się coraz bardziej teatrem. I to kolejna zmiana. Dbałość o wygląd pupilów ma też walor estetyczny, jak kostiumy czy scenografia w spektaklu teatralnym. Zmiana zwierząt z hodowlanych na domowe, a także uczestnictwo w procesji dzieci (dawniej ich udział, podobnie jak kobiet, był zakazany) również wpłynęły na widowiskowość obrzędu.

Hanna Gucwińska mówiła w 2004 r. tak: „Widać, ile troski włożono, żeby zwierzęta przyszły na paradę czyste, piękne, mają kokardki i inne ozdoby, są zadbane, a co najważniejsze, w ogóle nie są zestresowane... Zestresowani są raczej właściciele, bo każdy by chciał, żeby jego zwierzę wypadło jak najlepiej, żeby to jego przyjaciel był najpiękniejszy”. Brzmi trochę jak relacja z konkursu piękności, a zastąpienie słowa „procesja” – „paradą” nie jest bez znaczenia.

Jak podkreśla kulturoznawca Sylwester Łysiak, „ceremonialność cechująca współczesne obrzędy to głównie pokaz, formy zabawowe ujęte w odpowiedni scenariusz. Nie ma w niej nic z dawnego rytualnego porządku i znaczeń uświęconych sacrum. Zatem gdy funkcja magiczno-symboliczna obrzędu przestaje dominować, na pierwszy plan wysuwają się walory artystyczno-estetyczne”. Tak jest w wielu przypadkach święcenia zwierząt. Wraca się do tej tradycji bądź inicjuje ją w miejscach, w których dawniej nie istniała. Robią to franciszkanie, kościoły pod wezwaniem św. Rocha czy muzea. Muzeum w Ciechanowcu w Dniu Chleba zorganizowało obrzęd błogosławieństwa zwierząt, który miał charakter czysto widowiskowy.

– Tak, ten obrzęd coraz częściej przybiera formę wyłącznie teatralną – przyznaje Małgorzata Strzelec, rodowita mikstaczanka, wykładowczyni na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach. – Jednak nie w Mikstacie.

Błogosławieństwo

Zmieniają się zwierzęta i nasz stosunek do nich, ale cel obrzędu pozostaje ten sam – poświęcić, żeby ochronić, pobłogosławić, żeby zwierzęta były zdrowe i mogły żyć w przyjaźni z ludźmi. Tak przynajmniej wynika z badań Małgorzaty Strzelec prowadzonych w tutejszej szkole, trzy razy, co pięć lat – w 2005, 2010 i 2015 r. Opublikowane zostały rezultaty dwóch pierwszych. Wynika z nich, że około 40 proc. dzieci mikstackich przyprowadza do poświęcenia swoje zwierzątka (75 proc. psa, 40 proc. kota, 20 proc. królika). Co dziesiąte dziecko przychodzi z koniem, co dwudzieste z krową. Niegdyś tak ważna krowa dziś zrównała się z gołębiem.

– Zadałam pytanie, dlaczego to robią – opowiada Strzelec. – I dzieci mówią, że chcą, żeby ich zwierzęta nie chorowały. Że św. Roch jest opiekunem zwierząt i przyprowadzają swoich pupili, bo chcą ich mu powierzyć. Żeby długo żyli i żeby dzieci mogły się nimi cieszyć. Czyli dominuje uzasadnienie o charakterze religijnym.

Padło też pytanie, czy w przyszłości należy kontynuować obchody odpustowe. 96 proc. odpowiada twierdząco. – Uważają, że to piękna tradycja, że bez niej bylibyśmy biedniejsi, że to wyróżnia Mikstat i że tak od pokoleń się dzieje.

Według etnografa Jana Stanisława Bystronia obrzęd błogosławieństwa zwierząt znany był w Polsce już w XVI w., a szczególną popularnością cieszył się na Mazowszu i Podlasiu. Jednak, na co wskazuje Oskar Kolberg, w wielu parafiach zaczął zanikać już pod koniec XIX stulecia. Dlaczego? Jak twierdzi Elżbieta Dąbrowska, powodem były „zmiany cywilizacyjne, rozwój kultury mieszczańskiej, powolna desakralizacja życia, a co za tym idzie – odejście od światopoglądu magicznego i przekształcenie obrzędu w ceremo-

OGŁOSZENIE

W tym trudnym czasie pamiętajmy o jasności, jaką przynosi Wielka Noc. Życzmy sobie, naszym Siostrom i Braciom z Ukrainy, i wszystkim ludziom dobrej woli Pokoju, Nadziei i Miłości.

Jezus Zmartwychwstał! Alleluja!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Kluby Tygodnika Powszechnego

MAREK LAPIS / FORUM

Święcenie zwierząt w dniu św. Rocha, Mikstat, Wielkopolska, 2014 r.

nię steatralizowaną, rozgrywającą się na planie społecznym o dominujących funkcjach ludycznych".

Dlaczego więc w Mikstacie ten obrzęd przetrwał? Najprawdopodobniej dlatego, że nie stał się tylko i wyłącznie teatrem.

Narodowy Instytut Dziedzictwa przyznaje, że celebrowanie błogosławieństwa zwierząt w wielkopolskim miasteczku jest niezwykłym widowiskiem, zachowującym jednak „głęboką wymowę religijną". Dla Małgorzaty Strzelec wymiar religijny tego święta jest najważniejszy: – Tutaj kładzie się silny nacisk na to, żeby to nie był tylko i wyłącznie folklor.

W jednym z tekstów pisze: „Wielokrotnie w środowisku można spotkać się ze stwierdzeniem, że w kulcie św. Rocha dominuje folklor. Zrealizowane wśród młodych mikstaczan badania oraz obserwacja zaangażowania parafian w uroczystości odpustowe zaprzeczają tym opiniom". I tak: 56 proc. dzieci i młodzieży uczestniczy w porannej mszy świętej odprawianej w intencji gospodarzy (tuż przed święceniem), 30 proc. natomiast w sumie odpustowej.

Teatralizacja pewnych obrzędów przyczyniła się do utraty przez nie wymiaru religijnego. Wyodrębniono je z kontekstu święta, sprowadzono do rangi tylko i wyłącznie widowisk. Mieszkańcy Mikstatu dbają, by u nich do tego nie doszło.

Mieszkańcy

Parafianie w obrzędzie uczestniczą, ale na temat religii mówią niewiele. Florian Kołodziej w procesji idzie z końmi, jego żona dawniej chodziła z krowami.

– Tradycja. Tu z dziada pradziada – mówi Kołodziej. – Teraz to tylko parę koni idzie. No i psy, koty, świnki morskie, króliki, kury. W okolicy nikt krów nie trzyma. Tylko sąsiad, na mleko. Ale na procesję nie chodzi.

Konie to hobby pana Kołodzieja. Ale też pomoc w gospodarstwie. Dawniej wszystko robił koniem (orka, bronowanie pól, koszenie łąk), teraz zwozi nim jedynie drewno z lasu. – Nie potrzebuję transportu najmować.

– A wierzy pan, że św. Roch pomaga zwierzętom? – pytam.

– No może i tak. Ludzie wierzą.

Jerzego Pieca w domu nie zastaję. Krótką pogawędkę ucinam z jego żoną. – Jurek z początku nie jeździł. Teraz jeździ, tak z kilka lat. Bo konie u nas były zawsze. Ja to na obrzęd nie chodzę. Później w domu trzeba być, coś zrobić, jak ktoś przyjedzie.

Do rozmowy dołącza wnuczka Gabrysia. Ma siedem lat i dziadek zabiera ją na święcenie bryczką, co jej się bardzo podoba. Ona z kolei zabiera swojego psa Chrupka. A po święceniu rzecz obligatoryjna – budy, czyli jarmarki odpustowe.

I jeszcze pytanie do Piecowej:

– A czy wy się modlicie do św. Rocha?

– Modlę się.

Modli się także Urszula Brylewska, która jako jedyna przyznaje: – Kultywujemy obrzęd święcenia zwierząt ze względu na tradycję, ale też religię. Jedno i drugie.

– Modli się pani do św. Rocha?

– Oczywiście! Zresztą ja mam całą listę świętych, od każdej potrzeby. Mój najstarszy brat miał na imię Roch.

– A u nas w oborze Rożek wisi – dodaje córka Aleksandra. – Przed naszą agroturystyką, Chlebową Chatą, też. Jak przyszła pandemia, wystawiliśmy go i Rożek ma nas w opiece. Mamy nawet rzeźbioną kapliczkę św. Rocha, która już kilka lat przeleżała na strychu, tylko jeszcze nie znaleźliśmy dla niej odpowiedniego miejsca.

Rożek tu, Rożek tam. Tak o św. Rochu mówią Brylewskie.

Dawniej odpust to było wielkie święto. Obie panie są zgodne: – W PRL-u każdy dostał wolne, kiedy chciał, teraz nie, a odpust w zwykły dzień. Jednak coraz więcej przyjeżdża obcych ludzi, żeby zobaczyć, więc nie jest pusto. Najwięcej ludzi jest na święceniu. Kiedyś suma była gwoździem programu. Dziś obrzęd. ↦

Dziedzictwo

Z księdzem Ordziniakiem siedzimy na plebanii i popijamy herbatę.

– Ksiądz widzi to powiązanie kultu św. Rocha, odpustu i obrzędu, ale my, zwykli ludzie, nie bardzo je dostrzegamy. Ten obrzęd jest dla nas przede wszystkim widowiskiem folklorystycznym.

– Dlatego dziesięć lat temu powołaliśmy do życia Szkołę św. Rocha. To zajęcia z dziećmi. Odkąd odpust z obrzędem zostały wpisane na Krajową Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO, tłumaczymy dzieciom, co to jest dziedzictwo. I one w pewnym momencie, poprzez na przykład burzę mózgów, dochodzą do wniosku, że my jesteśmy dziedzicami. A że jesteśmy dziedzicami, to musimy się troszczyć o dziedzictwo. I teraz jest szansa, że one od skorupki nasiąkną tym myśleniem. Kiedy już jako dorośli powrócą do chwil dziecięcych, będą rozumieć sens tego odpustu.

– Dlaczego odzieramy świat z sacrum?

– To bardzo proste – jest próba wyłączenia wiary z życia społecznego. Wiara jest pojmowana jako zniewolenie. Trochę jak twierdził socjalizm – że to opium dla mas. A proszę zobaczyć, że w przestrzeni, w której żyjemy, krzyże czy kapliczki przydrożne są oznaką wiary. Stawiano je, bo ktoś w dowód wdzięczności chciał o tym powiedzieć.

Proboszcz przypomina scenę z Ewangelii: – Pan Jezus przychodzi w odwiedziny. Marta troszczy się, żeby przyjąć go godnie, biega koło niego, a Maria sobie siada i słucha. Marta mówi: „Powiedz, żeby mi pomogła", a Jezus odpowiada: „Nie. Ona wybrała najlepiej". No więc właśnie – kwestia wykorzystania tego czasu sacrum. My tu biegamy, żeby się ładnie pokazać, a zapominamy o istocie sprawy.

– A po co nam takie obrządki jak święcenie zwierząt, potraw, samochodów?

– Poprzez obrzędowość wyrażamy również naszą wiarę. Proszę zobaczyć – obrzęd wigilijny. To nie jest tak, że sobie siadamy do stołu i jemy. Jest wspólna modlitwa, a później dzielenie się opłatkiem. To jest nam potrzebne, żebyśmy uzmysłowili sobie wartość tego, co przeżywamy. Poświęcenie wielkanocnych potraw to także przypomnienie, że Pan Jezus po zmartwychwstaniu spożył posiłek ze swoimi uczniami.

– A święcenie samochodów?

– Przy tym obrzędzie mówimy o odpowiedzialności. Tam jest w modlitwie powiedziane, by ci, którzy korzystają z tych pojazdów, bezpiecznie dotarli do celu, ale też, by umiejętnie z nich korzystali i nie byli zagrożeniem dla innych ludzi. Tak samo tutaj – przyprowadzamy zwierzęta, żeby św. Roch je chronił, ale też żebyśmy do zwierząt odnosili się z szacunkiem.

Plakat

Do Mikstatu trafiłam za sprawą plakatu Ryszarda Kai ze znanej serii „Polska". Plakat wygląda jak wielki koronkowy obrus w stonowanych kolorach: bieli, czerni i szarości. W centralnym miejscu stoi zwalisty czarny byk. Na jego grzbiecie usadowiła się tłuściutka świnka z czarnymi plamkami, na nią wskoczył dumny pies, na psa kotek, na kotka kaczka, na głowę kaczki myszka, później ślimak i motylek. Na samą górę wzbił się gołąb. Na dole plakatu duży, szary napis: MIKSTAT.

Ryszard Kaja zamieszczał na Facebooku notki na temat swoich plakatów. W tym przypadku napisał: „Uroczystości w Mikstacie są sprzeciwem wobec codziennej brutalności człowieka w stosunku do zwierząt, są nie tylko świętem religijnym, lokalną tradycją, ale i wydarzeniem z pogranicza teatru, to jakby mistyczny performance w koronce odpustowej oprawy, dlatego nawiązanie w mym plakacie do współczesnej sztuki, do »Piramidy zwierząt« [Katarzyny Kozyry – B.Sz.] nie jest oczywiście przypadkowe".

Małgorzata Strzelec: – Przy wpisie na listę UNESCO zastanawialiśmy się, jaki nadać tytuł naszemu dziedzictwu, jak nazwać to, co się tutaj dzieje. Proponowano „Błogosławieństwo zwierząt w Mikstacie". Zaprotestowaliśmy, bo to tylko jeden z elementów. I teraz nazywa się to tak: „Uroczystości odpustowe ku czci św. Rocha z obrzędem błogosławieństwa zwierząt". Brzmi zdecydowanie mniej marketingowo, ale według nas prawdziwiej.

© BEATA SZADY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich
19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM
ŁĄCZY NAS PAMIĘĆ
polin.pl
#ŁączyNasPamięć
Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy
Iceland Liechtenstein Norway grants
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej
PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY
Partnerzy:
SCREEN NETWORK
jetline
Partnerzy medialni:
zwierciadło
sens
VOGUE
wyborcza.pl WARSZAWA
ams
VIVA!
Newsweek
onet

REKLAMA

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Wieczne kapłaństwo

Arcykapłanem miał zostać Mojżesz, nie Aaron. Rabini w Talmudzie wywodzą to z wymiany zdań między Najwyższym a świeżo przezeń powołanym pasterzem Jego trzody. Mojżesz ma wątpliwości co do potoczystości własnej wymowy i mówi: „Wybacz Panie! Poszlij kogo bądź posłać chcesz" (Wj 4,13; Cylkow), ale – w domyśle – nie jego. Na to w kolejnym wersie „zapłonął gniew Wiekuistego na Mojżesza, i rzekł: »Oto Ahron, brat twój, Lewita«". Reszta jest interpretacją: kiedy „płonie gniew Wiekuistego", oznacza to nieuchronną karę. Starszy brat miał być zwykłym lewitą i pomagać w sprawowaniu kultu wywodzącym się od Mojżesza kapłanom. Jednak ostatecznie szeregowym lewitą pozostał Mojżesz (zob. 1 Krn 23, 14), kapłaństwo zaś stało się udziałem Aarona i jego męskich potomków.

Przy wprowadzaniu na urząd pierwszych kapłanów obowiązki tymczasowego arcykapłana pełnił Mojżesz: składał ofiary, ubrał brata i bratanków w kapłańskie szaty, namaścił ich olejem. Oni przynieśli ofiarę z mąki i oliwy, i odtąd taka ofiara towarzyszyła wprowadzaniu na urząd kolejnych arcykapłanów (zob. Kpł 6, 13-14). Niewykluczone też, że podobna ofiara była składana przez arcykapłana codziennie. Jednak jego najważniejszym zadaniem – o którym nie sposób zapomnieć, albowiem odczytywanie szczegółowego opisu tej ceremonii stanowi integralną część liturgii Dnia Pojednania – było wejście raz w roku, w Jom Kipur, do Świętego Świętych. Najświętsze miejsce, najświętszy czas i najświętsza osoba. Jeśli arcykapłan nie był bez skazy, nie wychodził z tego żywy. Stąd w czasach Drugiej Świątyni miał przywiązaną do nogi linę, by inni – nie wchodząc tam, gdzie nie wolno było się znaleźć żadnemu innemu śmiertelnikowi – mogli wyciągnąć jego zwłoki. W Dzień Pojednania arcykapłan przeprowadzał całą ceremonię sam. Podczas innych dni jego obowiązki były dość skromne, a gros pracy wykonywali podlegli mu kapłani.

Po śmierci Aarona arcykapłanem został starszy z jego pozostałych przy życiu synów – Eleazar (zob. Lb 20, 28), a po nim – jego syn Pinchas (1 Krn 9, 20). W nagrodę za swoją żarliwość on i jego potomstwo po nim otrzymali „wieczne kapłaństwo" (zob. Lb 25). Przez pewien czas funkcja arcykapłana była przekazywana w rodzinie Itamara, najmłodszego syna Aarona – warto tu wspomnieć Eliego (Biblia Tysiąclecia nazywa go Helim), który zawiadował sanktuarium w Szilo, gdy modliła się tam o syna Chana (BT: Anna), przyszła matka proroka Samuela. W Świątyni wzniesionej przez króla Salomona arcykapłani znów pochodzili od Pinchasa. Potomkowie Aarona po dziś dzień są kapłanami, tymczasem pałeczkę po naszym Nauczycielu przejął Jozue, a synowie Mojżesza rozpłynęli się w pomroce dziejów. Co by było, gdyby...? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Czas Kany i Golgoty

„»Zostań z nami, gdyż zbliża się wieczór i dzień dobiega końca«. Wszedł więc, aby pozostać z nimi. Gdy zasiedli do stołu, On wziął chleb, odmówił modlitwę uwielbienia, połamał i dawał im. Wtedy otworzyły się im oczy i rozpoznali Go. Lecz On stał się dla nich niewidzialny. I mówili do siebie: »Czy serce nie rozpalało się w nas, gdy rozmawiał z nami w drodze i wyjaśniał nam Pisma?«. W tej samej chwili wybrali się i wrócili do Jeruzalem" – opowiada ewangelista. To prawie schemat: Jezus po śmierci w tym samym momencie pojawiał się i znikał, stawał się widzialny i niewidzialny. Przed śmiercią również nie dawał się uziemić, osadzić w jednym miejscu. W chwili, gdy odnosił niebywały sukces, chciano obwołać Go królem, zostawiał rozentuzjazmowany tłum, by iść tam, gdzie niekoniecznie na Niego czekano, w stronę Golgoty.

Jezus opuścił niebo i łono Matki, rodzinne miasto i rodzinę, wreszcie opuścił życie i nawet grób nie zdołał Go zatrzymać. Dzisiaj dzieje się podobnie. Ledwie przez chwilę stanie się widzialny w postaci chleba i wina oraz słyszalny w ludzkim słowie, zaraz znika wśród dzielących się chlebem, sprawujących Wieczerzę Pańską. Najwyraźniej los Jego i nasz pisze ta sama ręka.

I tak Zwiastowanie Pańskie jest wydarzeniem, które powtarza się w życiu każdej kobiety, gdyż poczęte dziecko jest dzieckiem „człowieczym", ale i dzieckiem Bożym. Betlejemskie Boże Narodzenie wciąż się powtarza na każdym skrawku ziemi w narodzinach każdego człowieka. Dramat Golgoty znajduje swoje dopełnienie tam, gdzie ktokolwiek kogokolwiek fałszywie oskarża, gdy wydaje się niesprawiedliwe wyroki i na ich mocy dokonuje egzekucji.

Dlatego Palmowa Niedziela, Wielki Czwartek, Piątek, Sobota i Niedziela nie są wydarzeniami jednorazowymi, zamkniętymi, osadzonymi w określonym czasie i przestrzeni, ale wciąż się dzieją w każdym czasie i na każdym miejscu, i biorą w nich udział zarówno ludzie, jak i Bóg. Wiemy przecież od Jezusa, że najłatwiej Go znaleźć tam, gdzie jest najpodlej. Nie znaczy to, że najwłaściwszym miejscem do życia jest Golgota. Ktoś powiedział, że na Golgocie się umiera, ale żyje się w Betlejem, Nazarecie, Kanie Galilejskiej, Kafarnaum, Jeruzalem, jak też poza Galileą i Judeą, np. w Samarii i Dekapolu. Dlatego wysłannik Boga radzi, żeby ludzi, którzy opuścili „doczesne zamieszkanie", szukać wśród żywych, a nie umarłych, gdyż takowi, nieżywi, nie istnieją.

Każdy grób zawsze jest pustym grobem, nawet jeśli zawiera jeszcze czyjeś zwłoki. Dlatego Wielkanoc to nie czas śmierci i grobu, ale czas Kany Galilejskiej i Wieczerzy Pańskiej, czas dzielenia się, „łamanie chleba". Tam, gdzie są ludzie, w swoich kanach galilejskich i na swych golgotach, tam jest Bóg. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Bogami jesteście

Żydom oburzonym, że „czyni sam siebie Bogiem” (J 10, 33), Jezus mówi, by – zamiast Go kamienować za bluźnierstwo – odważyli się poszukać w samych sobie tego, co boskie. I przytacza słowa Psalmu 82: „Ja rzekłem: jesteście bogami” (Ps 82, 6; dalszy ciąg tego wersetu brzmi: „i wszyscy – Synami Najwyższego”). Skoro Słowo mówi do nas wszystkich: Jesteście bogami i Synami Najwyższego, to rzeczywiście trudno oskarżać o bluźnierstwo Jezusa, gdy ogłasza: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy” (J 10, 30).

Odwołanie się do Psalmu 82 otwiera przed nami głębszy wymiar Jezusowej wypowiedzi. Czym bowiem w owym Psalmie wyraża się boskość obecna w człowieku? Otóż przejawia się ona zdolnością prawego osądu. Bóg jest prawym Sędzią. Ten, kto sądzi właściwie – jest jedno z Bogiem. Przeciwieństwem tego co boskie jest „sąd niegodziwy” i „trzymanie strony występnych” (Ps 82, 2).

W jaki sposób sądzi Bóg? Na czym polega Jego sprawiedliwość? Otóż Bóg jest sprawiedliwy w sądzie, gdyż „ujmuje się za sierotą i uciśnionym” oraz broni praw „nieszczęśliwego i ubogiego”, „z ręki występnych” wyzwala „uciśnionego i nędzarza” (zob. Ps 82, 3-4).

Boża sprawiedliwość jest tożsama z miłosierdziem i jest ochroną tych, którzy są słabsi – cierpiący, uciemiężeni, zepchnięci na margines czy ostatnie miejsce. Bóg jest sprawiedliwy, gdyż stoi na straży ich praw powszechnie lekceważonych przez „możnych tego świata”.

Kto odnajduje w sobie takie rozumienie sprawiedliwości, kto wykonuje w świecie taką sprawiedliwość – odkrywa w sobie godność Bożego dziecka.

W ten sposób także Jezus objaśnia swoim interlokutorom „boskość” swoich czynów (gdyż ostatecznie to właśnie Jego czyny mają dowodzić Jego boskości; to refren Janowej Ewangelii: Wierzcie moim czynom – jeśli nie chcecie wierzyć moim słowom!).

Zatem czyny Jezusa są boskie – są naprawdę „dziełami Ojca” – nie dlatego, że są „cudowne” i nadzwyczajne. Są boskie, ponieważ pokazują Bożą wrażliwość i Boży wybór – tych, którzy są słabi, ubodzy i cierpiący. Jezus dostrzega tych, których nikt inny nie widzi: sparaliżowanych (J 5), niewidomych od urodzenia (J 9) – wszystkich, którzy się „źle mają”.

Taki jest Bóg.

I tacy są wszyscy, którzy „z Boga się narodzili”. ©

Im bardziej poznajemy jedność Boga, tym bardziej poznajemy Go jako wszystko.

MISTRZ ECKHART

Oby ludzie umieli dostrzegać cierpienie, obejmować je współczującą uwagą i przekształcać.

THICH NHAT HANH

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 IV)

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego: Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4 lub 1 Kor 5, 6b-8; J 20, 1-9 lub Łk 24, 13-35;
Poniedziałek: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; Mt 28, 8-15;
Wtorek: Dz 2, 36-41; Ps 33; J 20, 11-18;
Środa: Dz 3, 1-10; Ps 105; Łk 24, 13-35;
Czwartek: Dz 3, 11-26; Ps 8; Łk 24, 35-48;
Piątek: Dz 4, 1-12; Ps 118; J 21, 1-14;
Sobota: Dz 4, 13-21; Ps 118; Mk 16, 9-15;
2. Niedziela Wielkanocna – Miłosierdzia Bożego: Dz 5, 12-16; Ps 118; Ap 1, 9-11a. 12-13. 17-19; J 20, 19-31.

BRUDNA GRA

Banaś to człowiek o mentalności klanowej. Skoro uznał, że PiS nie dochował wierności „kodeksowi honorowemu", to teraz prowadzi swoją wendetę.

KAROLINA LEWICKA

O prezesie NIK-u wszyscy rozmawiają chętnie, lecz tylko nieliczni zgadzają się na publikację tych wypowiedzi pod nazwiskiem.

– Boją się pana? – pytam Mariana Banasia. Wygląda na zaskoczonego. – Ja nie jestem groźnym człowiekiem. Jako wierzący i katolik wręcz byłem zawsze przyjaźnie nastawiony do bliźnich. Komu mogłem, to chętnie pomagałem – zapewnia.

Ale bardzo dużo z tego, co prezes mówi, to tylko kreacja jego wizerunku. – Chce uchodzić za niezależnego państwowca z piękną kartą opozycyjną – ocenia poseł PO, który kilkukrotnie spotkał się z Banasiem w siedzibie Izby, bo „dziś jest on jedyną osobą w państwie spoza obozu władzy, która może uzyskać dostęp do kluczowych dokumentów". Ale według niego trudno uważać za państwowca kogoś, kto swoją obecnością w rządzie niejako żyrował systematyczne psucie tego samego państwa przez PiS. I druga rzecz: niezależność. Marian Banaś nie potrafi

RADEK PIETRUSZKA / PAP

Marian Banaś podczas inauguracji działalności Krajowej Administracji Skarbowej. Warszawa, 28 lutego 2017 r.

przekonująco odpowiedzieć na pytanie, jakim cudem Jarosław Kaczyński, ściśle realizujący stalinowską zasadę, że to „kadry decydują o wszystkim", i obsadzający swoimi pretorianami wszelkie dostępne instytucje, nagle postanowił jedną z nich powierzyć komuś, kto nie będzie „na telefon". – Proszę o to pytać Jarosława Kaczyńskiego – ucina, gdy sugeruję, że miał odgrywać w NIK-u rolę Julii Przyłębskiej. Przypomina przy tym, że nigdy nie był członkiem PiS-u.

Jest jeszcze jeden element kreowanego przez Banasia wizerunku. Na koniec spotkania prezes wręcza mi swoje memuary z lat 1970-1989. Jest w nich o poronieniu żony po wprowadzeniu stanu wojennego, własnym uwięzieniu i protestacyjnej głodówce, która odbiła się na jego zdrowiu i skończyła pobytem w szpitalu. Wówczas, jak pisze, „na Wielkanoc, zmarła moja Mamusia. Miała dopiero 62 lata, to był wylew. Ojciec mówił, że prawie codziennie płakała z powodu mego uwięzienia". W trakcie rozmowy prezes wraca do tamtych czasów, gdy pytam go o stawiane mu obecnie zarzuty. – To próba zdyskredytowania dorobku całego mojego życia. Siedziałem w więzieniu, ryzykowałem zdrowiem, życiem i majątkiem. A dziś chce się ze mnie zrobić złodzieja! – to drugi raz, kiedy podnosi głos. Bardziej wzburzony będzie tylko wtedy, gdy zapytam o jego syna. Wówczas niemal krzyczy i uderza pięścią w stół.

Długi cień syna

– To nie Jakub Banaś jest w NIK-u cieniem swego ojca. To ojciec jest cieniem swego syna – mówi mi były już pracownik Izby. Banaś junior – formalnie na stanowisku doradcy społecznego – ma być głównym kadrowym Izby. Od jesieni 2019 r. w NIK-u zatrudniono około dwustu nowych osób, ściągniętych – jak słyszę – m.in. z Banku Pekao SA, w którym młody Banaś pracował do grudnia 2019 r., oraz ze służb, np. policji. Według mojego rozmówcy do odejścia skłoniono niemal wszystkich dyrektorów. Sam Marian Banaś przekonuje, że wymienił zaledwie około jednej trzeciej kierownictwa. – Niektórzy nie mieli wyników, dałem szansę tym, którzy zrobią to lepiej – zapewnia.

Proszę o oficjalne dane rzecznika NIK-u, Łukasza Pawelskiego. Informuje mnie, że na 76 zmian personalnych na stanowiskach dyrektorskich tylko 22 to były odwołania z funkcji (w sumie 29 proc.). Pozostałym skończyła się kadencja, odeszli na emeryturę lub na własną prośbę – twierdzi Pawelski. Jednak te „dobrowolne" odejścia to, według byłego pracownika NIK-u, rezygnacje, które następowały po osobistej rozmowie z prezesem. Tak było w przypadku gen. Marka Bieńkowskiego, nadzorującego najważniejsze kontrole Izby w ostatnich latach, np. zakup Pegasusa przez CBA. Tego uznanego fachowca zastąpił na stanowisku Michał Jędrzejczyk, czyli prawa ręka prezesa.

Fakt, że nowi dyrektorzy są z powołania, a nie z konkursu, a Jakub Banaś miał bezprawnie otrzymać dostęp do tajemnic kontrolerskich, legł u podstaw zawiadomienia do prokuratury, jakie złożył na prezesa NIK-u jego zastępca, Tadeusz Dziuba (Banaś z kolei zawiadomił śledczych, że Dziuba usiłuje wpływać na wyniki kontroli, a tym samym działać na rzecz PiS-u). Na trzymanie w Izbie syna krzywią się też wszyscy moi rozmówcy. Słyszę, że nawet jeśli nie odgrywałby wiodącej roli, to jego obecność kłóci się z demokratycznymi standardami. Sam Marian Banaś nie dostrzega w tym niestosowności. – Zatrudniam syna społecznie, bo ma kwalifikacje – przekonuje. – Korzystamy z jego wiedzy tutaj, skoro służby straszą jego potencjalnych pracodawców.

Pytam o konkretne przykłady: gdzie i kiedy służby podjęły taką interwencję, ale prezes odpowiada wymijająco, wspomina jedynie o kłopotach z pracą synowej. Zarzuca rządzącym, że „ci panowie żyją z rad nadzorczych, okradają społeczeństwo", ale nie wspomina, że także jego syn zaczął robić karierę w państwowych spółkach (PGZ, Maskpol, Pekao) akurat wtedy, gdy on sam został wiceministrem finansów i szefem Krajowej Administracji Skarbowej. Dziś Jakub Banaś ma się zajmować głównie kwestią immunitetu swojego ojca. – Wykonuje pracę analityczną – śmieje się jeden z polityków, który ma z nim regularny kontakt. – Na przykład przygotowuje zestawienia tych posłów PiS-u, którzy kiedykolwiek zagłosowali wbrew klubowej dyscyplinie. Bo do tych ludzi można uderzać, gdy pojawi się w Sejmie sprawa uchylenia immunitetu Marianowi Banasiowi.

Pytam prezesa, czy ma w PiS-ie swoich stronników w tej sprawie. – Z nikim nie rozmawiam o swoim immunitecie – twierdzi. – Ale wielu polityków obozu władzy jest nieformalnie po mojej stronie. Obawiają się jedynie publicznie do tego przyznać, bo to może ich kosztować utratę miejsca na liście wyborczej.

Prokurator generalny wystąpił do marszałek Sejmu z wnioskiem o uchylenie immunitetu Marianowi Banasiowi w lipcu zeszłego roku. Śledczy chcą mu postawić kilkanaście zarzutów, w tym podania nieprawdy w oświadczeniach majątkowych (chodzi m.in. o kamienicę Banasia ze słynnego reportażu w TVN, ↦

↦ w której działał hotel na godziny). Potem jednak wyszło na jaw, że pod dokumentem nie widnieje podpis Zbigniewa Ziobry, lecz Bogdana Święczkowskiego, choć prokurator krajowy nie miał, a powinien mieć stosowne upoważnienie od Ziobry. Tym samym Banaś ma już gotową linię obrony: wniosek został złożony przez osobę nieuprawnioną. Co działo się z tym wnioskiem przez kolejnych osiem miesięcy? Niewiele. Dopiero pod koniec stycznia sejmowa komisja regulaminowa zarekomendowała Sejmowi uchylenie immunitetu prezesowi NIK-u. Stanowisko to musi być teraz zaprezentowane na posiedzeniu Sejmu, a wówczas głos ma prawo zabrać Marian Banaś.

– Dziwię się, że tego punktu jeszcze nie było w porządku obrad – mówi mi Jarosław Urbaniak, poseł PO i wiceszef komisji regulaminowej. – PiS miałby już za sobą całą procedurę i mógłby wyczekiwać momentu, w którym uda mu się uciułać potrzebną większość, by przeprowadzić głosowanie.

Termin głosowania wniosku nie jest znany. W kuluarach słychać, że PiS wciąż nie uzbierał 231 szabel, ale nawet gdyby w Sejmie doszło do odebrania immunitetu Banasiowi, to i tak usunąć go z funkcji można dopiero po prawomocnym wyroku sądu. Urbaniak ma zaś poważne wątpliwości co do siły rażenia dowodów zebranych przez prokuraturę. – Przeczytałem akta, które udostępniła nam prokurator Elżbieta Pieniążek. Moim zdaniem, prokuraturze i jej ekspertom nie udało się udowodnić, że pieniądze Banasia mają nieuczciwe źródło pochodzenia.

Wiadomo, że opozycja, w tym także Konfederacja, nie przyłożą do tego wniosku ręki. Bo to Marian Banaś jest aktualnie gwarantem, że Izba będzie działać jak należy. I to jest najważniejsze. – Jako badacz instytucji sympatyzuję z osobami, które zapewniają im niezależność, bez względu na motywacje, które im przyświecają – mówi mi prof. Andrzej Rychard z PAN i Fundacji Batorego. – Stosunek PiS-u do instytucji jest niechętny, bo one, wraz z procedurami, temperują wolę polityczną. A Jarosław Kaczyński nie chce być w swych decyzjach ograniczany. Wskutek konfliktu Banasia z PiS-em mamy do czynienia z dość paradoksalną sytuacją, że instytucja jest chroniona, by ochronić osobę nią kierującą. I przy okazji wychodzi to tej instytucji na korzyść.

Prezes NIK popełnił zbrodnię, wypowiedział posłuszeństwo liderowi PiS.
Gdyby ustąpił, dziś jadłby konfitury w ambasadzie lub w spółce skarbu państwa.

Istnieje jednak ryzyko, że używana do politycznych gier instytucja zostanie ośmieszona, zdezawuowana. Tak było przy okazji oskarżeń o rzekomo masową inwigilację urządzeń należących do pracowników NIK. Podczas kuriozalnej konferencji z anonimowym „głosem eksperta" w roli głównej nie przedstawiono żadnych konkretnych dowodów, nie skierowano też zawiadomienia do prokuratury. Od prezesa słyszę, że sprawę wciąż bada zespół Izby do spraw cyberbezpieczeństwa.

Wojna z Kamińskim

PiS ma niewątpliwie z Banasiem kłopot. Tak jak prezes NIK-u zapowiedział w jednym z wywiadów, zleca przeprowadzanie „bardzo wrażliwych kontroli, które odbiją się głośnym echem". W Izbie powstał nowy wydział koordynacji kontroli doraźnych, który ma z marszu reagować na uzyskane przez Izbę sygnały o nieprawidłowościach. Jeszcze latem 2020 r. Banaś odsunął od nadzoru nad kontrolami NIK wiceprezesa Tadeusza Dziubę, byłego posła PiS-u, którego związki z Kaczyńskim sięgają czasów Porozumienia Centrum. W efekcie w zeszłym roku NIK skontrolował m.in. organizację wyborów korespondencyjnych (i złożył zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa przez premiera, szefa KPRM-u, szefów resortów MAP i MSWiA) oraz wydatkowanie pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości, zarządzanego przez ministra Ziobrę (udowodniono, że to partyjna skarbonka Solidarnej Polski). Dziś czekamy na publikację raportu dotyczącego budowy elektrowni Ostrołęka C (wyrzucone w błoto 1,5 mld zł), na początku roku Banaś zapowiedział też – w związku z aferą Pegasusa – kontrolę nadzoru nad służbami specjalnymi. Na posiedzeniu nadzwyczajnej senackiej komisji badającej tę sprawę przekonywał, że „uprawniona jest teza o grupie trzymającej służby" i wykorzystywaniu ich do walk frakcyjnych wewnątrz obozu władzy. To oczywiście kamyczek do ogródka Mariusza Kamińskiego, szefa MSWiA oraz zwierzchnika służb. Konflikt między nim a Banasiem jest tajemnicą poliszynela. Tu jednak musimy się cofnąć do początku tej historii.

Marian Banaś zostaje wybrany prezesem NIK-u 30 sierpnia 2019 r. Klub PiS-u nagradza go owacjami na stojąco. Wcześniej, podczas debaty nad jego kandydaturą, marszałek Elżbieta Witek wyłącza mikrofon posłowi PO, Robertowi Kropiwnickiemu, który zwraca uwagę na nieprawidłowości w oświadczeniach majątkowych Banasia. Ten wątek wraca jak bumerang trzy tygodnie później w reportażu „Superwizjera" TVN. Wątpliwości budzi np. działka, która nie dość, że pojawia się i znika w kolejnych oświadczeniach, to jeszcze zasadniczo zmienia swą powierzchnię. Jednak masową wyobraźnią zawładnie kamienica w krakowskiej dzielnicy Podgórze, w której – według dziennikarzy – miał się mieścić pensjonat z pokojami na godziny, prowadzony przez osoby z półświatka. Dwa dni później, 23 września, Marian Banaś informuje w TVP Info, że udaje się na bezpłatny urlop do czasu wyjaśnienia swojej sprawy przez CBA. Akurat trwa kampania przed wyborami parlamentarnymi, więc Banaś, nie chcąc zaszkodzić wizerunkowo PiS-owi, znika na cały ten czas. Z urlopu wraca trzeciego dnia po wyborach. Ma już wtedy swoją grupę wsparcia. – Bronił go sam premier – wspomina jeden z krakowskich polityków. – Także dlatego, że to właśnie Morawiecki stał za jego awansami najpierw na szefa resortu finansów, a potem prezesa NIK-u.

Prócz szefa rządu za Banasiem ujmuje się też grupa polityków PiS-u, współpracujących z Opus Dei, co zresztą nie jest w PiS-ie dobrze widziane: Kaczyński uważa tę organizację za sektę. – To raptem kilka osób – mówi mi ten sam polityk. – Z nich najgłośniejszy w obronie Banasia będzie Jacek Żalek.

Dzwonię do posła. Jest w podróży, rozmowa jest niemożliwa. Potem już nie odbiera i nie odpisuje na SMS.

Ale obrońcy Banasia nie będą tak silni jak jego główny wróg, Mariusz Kamiński. To szef MSWiA chciał posadzić swojego człowieka na fotelu prezesa NIK-u. – Kiedy w grze pojawiło się nazwisko Banasia, Kamiński natychmiast zaczął go

dyskredytować przed prezesem PiS-u – mówi mi polityk opozycji, utrzymujący kontakt i z obozem władzy, i z samym Banasiem. – Ostatecznie Kaczyński dał się przekonać tym, którzy mówili, że to szef służb jest za mocny i stąd należy poskromić jego apetyt na kolejną instytucję (obecnie w gestii Kamińskiego jest CBA, ABW, wywiad i kontrwywiad oraz policja, Straż Graniczna i SOP).

Mniej więcej w tym samym czasie, w którym wybucha afera Banasia, Kaczyński z Morawieckim chcą „spuścić Kamińskiego po brzytwie". Dlaczego, skoro minister należy do najbardziej zaufanych ludzi Kaczyńskiego? – Natury, które mają pewną konstrukcję psychiczną, są niebezpieczne – odpowiada mi jeden z polityków. – Odbyła się z Kamińskim rozmowa o ograniczeniu jego wpływów, ale Kaczyński i Morawiecki usłyszeli od niego krótkie: „Tylko spróbujcie mnie tknąć". To, że zbiera haki na wszystkich, było tajemnicą poliszynela, ale wówczas wprost zagroził prezesowi ich użyciem.

Kamiński zachowuje pozycję, ale z Banasiem przegrywa. Stąd politycy opozycji są przekonani, że kwity, które zaczynają wypływać na nowego prezesa NIK-u w mediach, są też usłużnie kolportowane przez podległe Kamińskiemu służby. Dla samego Banasia to wręcz „bezdyskusyjne". – On zrozumiał, że w PiS-ie wydano na niego wyrok – opowiada polityk opozycji – a jednocześnie jego dymisji domagaliśmy się my. Taka walka na dwa fronty oznaczała przegraną. Zatem Banaś postanawia zneutralizować nas, czyli opozycję. A może to zrobić tylko w jeden jedyny sposób: gwarantując niezależność Izby.

Dziś opozycja traktuje Banasia jak świadka koronnego. Prezes NIK-u zabiega zresztą o dobre z nią relacje (także z Konfederacją), zaprasza na spotkania – i do takich dochodzi, choć nie na najwyższym szczeblu. Kim on teraz jest? – pytam jednego z tych, którzy z Banasiem w ostatnich miesiącach rozmawiali. – Człowiekiem, który prowadzi wendetę. Banaś to facet o mentalności klanowej. Wiedział, że gra w brudnej grze, ale uznał, że pewnych granic się w niej po prostu nie przekracza. A skoro PiS nie dochował wierności temu swoistemu „kodeksowi honorowemu", to teraz Banaś się mści. Tym bardziej że długo słał do Jarosława Kaczyńskiego sygnały, by zostawiono go w spokoju.

Opozycja nie przyłoży ręki do wniosku o odwołanie Mariana Banasia.

To on jest gwarantem, że Najwyższa Izba Kontroli będzie działać jak należy.

Namówili go do walki

Równie silne emocje są po stronie PiS-u. Słyszę, że to „zimna niechęć, jak do wroga" i że będą podejmowane dalsze próby „unicestwienia politycznego i prawno-karnego" Mariana Banasia. Kluczowe w tej historii jest to, dlaczego prezes Kaczyński, który przymykał oczy nie na takie skandale swoich podwładnych, postanowił zrzucić z sań właśnie prezesa NIK-u. Przecież mógł przeczekać sprawę. Taka zresztą była początkowa strategia partii. Po emisji reportażu Stanisław Karczewski nazywał go „kryształowym", a Ryszard Czarnecki „uczciwym". Jeszcze 27 listopada 2019 r. Elżbieta Witek powołuje na stanowiska wiceprezesów Izby kandydatów wskazanych przez Banasia, ale wybranych mu przez PiS: Tadeusza Dziubę i Marka Opiołę. Według politologa z UKSW, prof. Antoniego Dudka punkt zwrotny tej historii ma miejsce dwa dni później. To dzień, w którym PiS kolejny raz żąda od Banasia dymisji, a ten ją faktycznie składa.

Tę historię opisał „Dziennik Gazeta Prawna", a mój rozmówca (wówczas w NIK-u) potwierdza jej prawdziwość: kierowca Banasia wiezie rezygnację do Elżbiety Witek, ale marszałek Sejmu zauważa, że prezes nie wskazał w niej osoby, która – po jego dymisji – ma wykonywać obowiązki prezesa. – Kiedy kierowca zawrócił z pismem do Izby, grono najbliższych prezesowi współpracowników namówiło go już do walki. Dokument trafił do niszczarki – słyszę. Tym samym zdecydował się na otwarty konflikt.

– Gdyby Banaś ustąpił, dziś jadłby konfitury na placówce dyplomatycznej lub w spółce skarbu państwa – przekonuje prof. Dudek. – To wypowiedzenie posłuszeństwa Kaczyńskiemu było jego najpoważniejszą „zbrodnią".

Z licznych wywiadów Banasia przebija wyraźny żal do prezesa PiS-u. Pytany o to przeze mnie nie zaprzecza. – Na kilka tygodni przed tą awanturą prezes mówił mi, że należy mi się Order Orła Białego za zasługi dla państwa polskiego – opowiada. – Nic nie stało też na przeszkodzie, by skonfrontować mnie z Kamińskim, ale nie zrobiono tego w uczciwy sposób. A sam Kamiński nie miał odwagi sprzeciwić się prezesowi, gdy zaproponował moją osobę do NIK-u, tylko próbował zakulisowo mnie skompromitować.

Wojna między Banasiem a PiS-em przybrała już charakter wojny totalnej. Prezes NIK-u ma na karku CBA, ABW, prokuraturę i skarbówkę, a śledczy zajmują się też jego synem i synową (oboje mają zarzuty dotyczące wyłudzenia i podrabiania faktur, nie przyznają się do winy). Trwa konflikt w kolegium NIK-u, w skład którego wchodzi prezes, jego zastępcy i 14 członków. Część z nich jest lojalna wobec PiS, marszałek Witek blokuje z kolei powoływanie do kolegium osób wskazanych przez Banasia, stąd wakaty. – Gdyby rządzący działali racjonalnie, staraliby się prezesa Banasia obłaskawić, by nie bombardował ich wynikami kolejnych kontroli, zwłaszcza w roku wyborczym – mówi prof. Antoni Dudek. Ale jego zdaniem obie strony konfliktu zabrnęły już za daleko: – Marian Banaś, z powodu ataków na jego rodzinę, poczuł się osobiście zagrożony. Dlatego raczej nie odpuści, bo upadek tego rządu jest dla niego gwarancją jako takiego spokoju. Poza tym, to może być piękne zwieńczenie jego kariery. Zaczynał od sprzeciwu wobec władzy socjalistycznej, a kończy na walce z nieprawidłowościami pisowskiego reżimu.

– Jak się pan czuje? – rzucam na koniec naszego spotkania. – Jestem skoncentrowany na pracy – odpowiada szybko Banaś. – Oni chcą, żebym wciąż żył w napięciu, miał rozstrój nerwowy i się wykończył, któregoś wieczoru dostał zawału albo udaru. Ale ja jestem twardy.

Co do ostatniego stwierdzenia, panuje dość powszechna zgoda moich rozmówców. Były prezes NIK-u, Krzysztof Kwiatkowski, który zna Mariana Banasia od końca lat 80., mówi z przekonaniem: – Gdybym miał wskazać jedną cechę charakteru, dominującą w jego rysie psychologicznym, to byłaby właśnie twardość i nieustępliwość.

Ostateczny wynik starcia dwóch prezesów – PiS-u i NIK-u – trudno dziś przewidzieć. Na razie ewidentnie to Banaś jest górą. © KAROLINA LEWICKA

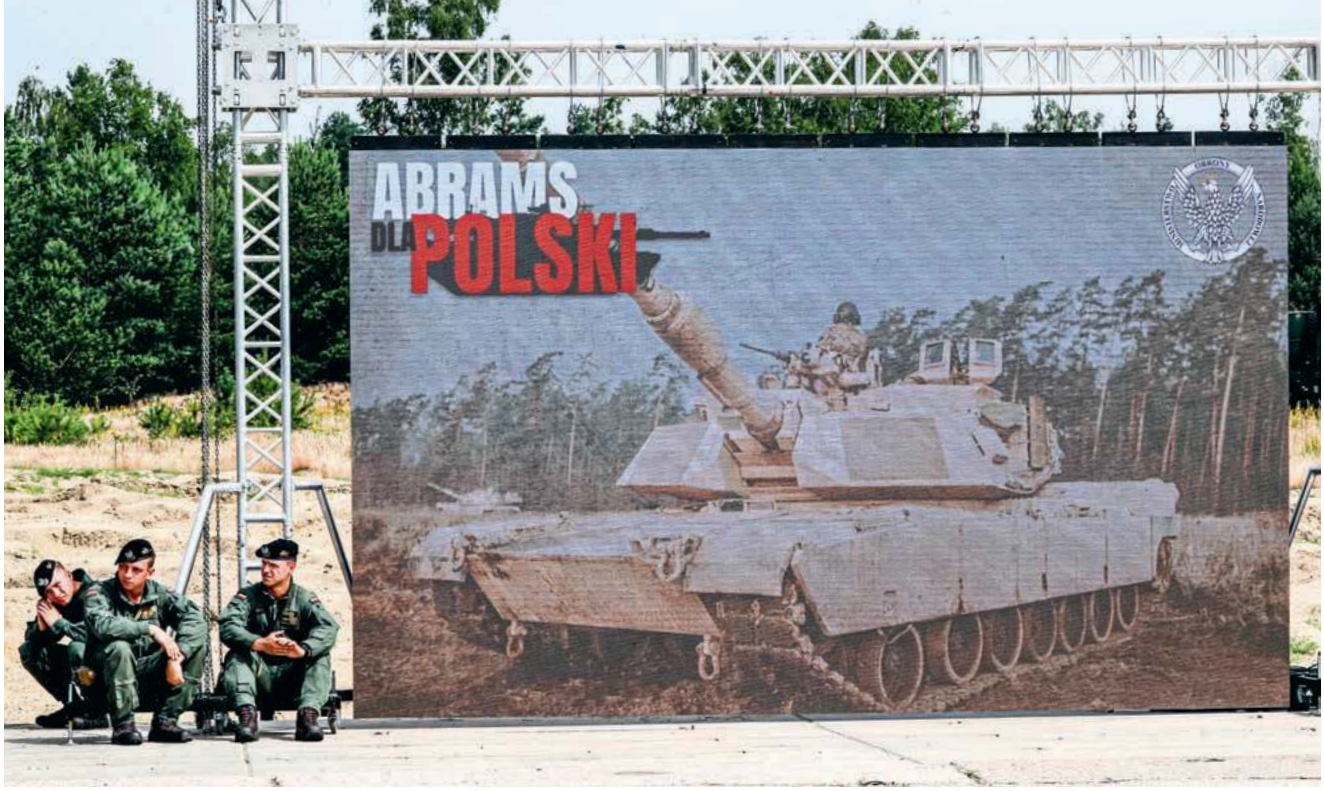

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Żołnierze Pierwszej Brygady Pancernej w Wesołej, Warszawa, lipiec 2021 r.

Bardzo polski nieład

PIOTR WÓJCIK

Rząd leje miód na serca obywateli, obniżając im podatki. Powinien ich jednak poinformować, skąd weźmie pieniądze na zapowiadane inwestycje w armię i ochronę zdrowia.

W XXI W. PODATKI NIE MUSZĄ BYĆ proste, gdyż mało kto oblicza je przy pomocy kalkulatora lub kartki papieru. Wciąż jednak powinny być przewidywalne i stabilne. W Polsce takie nie są, bo nasi rządzący zapomnieli o ważnej zasadzie cywilizowanego świata – wysokość podatków każdy obywatel powinien znać na początku roku. Niestety, zanim większość z nas w pełni pojęła zmiany wprowadzone w styczniu, nadwiślańscy politycy już przygotowali kolejną reformę podatków dla osób fizycznych.

Kluczową zmianą w Polskim Ładzie będzie obniżenie (od lipca) pierwszej stawki PIT z 17 do 12 proc. Dzięki temu wszyscy rozliczający się według skali podatkowej powinni zapłacić niższy podatek. Zdaniem rządu będzie to dotyczyć 25 mln Polaków, nie tylko pracowników etatowych i większości jednoosobowych przedsiębiorstw, ale też emerytów oraz zleceniobiorców. Szczególnie ci ostatni byli poszkodowani przy okazji Polskiego Ładu, gdyż autorzy reformy o nich zapomnieli – nie objęto ich tzw. ulgą dla klasy średniej.

Równocześnie rząd proponuje likwidację tej ulgi, bo to właśnie ona odpowiadała za większość zamieszania, który wprowadził, wbrew swojej nazwie, Polski Ład. Ulga dla klasy średniej miała zniwelować średnio zarabiającym straty wynikające z likwidacji odliczania składki zdrowotnej od podatku. Bez tej ulgi Polski Ład zwiększałby obciążenia podatkowe wszystkim zarabiającym powyżej 6 tys. zł miesięcznie. Tymczasem ulga przeniosła ten próg na poziom ponad 12 tys. zł. Problem w tym, że rozwiązanie to miało mnóstwo luk i pułapek. Autorzy ustawy nie wzięli pod uwagę nawet tego, że ludzie w Polsce często łączą dochody z różnych źródeł. Na przykład emeryci dorabiają na etacie, a pracownicy etatowi na umowach cywilnoprawnych. W takich przypadkach ulga nie miała zastosowania, co sprawiało, że po kieszeni dostawało wiele osób zarabiających mniej niż dwukrotność średniej krajowej – chociaż w założeniach Polski Ład miał być dla nich przynajmniej neutralny.

Rządzący zamierzają dziś zlikwidować ten bubel prawny, dzięki czemu system podatkowy stanie się bardziej przejrzysty, co jest oczywistą zaletą. Jednocześnie planują utrzymać dwa inne istotne rozwiązania zawarte w Polskim Ładzie. Mowa o podwyższeniu kwoty wolnej od opodatkowania do 30 tys. zł rocznie oraz podniesieniu progu drugiej stawki PIT do 120 tys. zł w skali roku. Taka kombinacja sprawi, że od lipca może nas czekać daleko idąca obniżka podatków dochodowych od osób fizycznych.

Bogatsi dostaną więcej

Problem w tym, że te korzyści zostaną nierówno rozdzielone i trafią w większości do tych podatników, którzy specjalnego wsparcia nie potrzebują. – Najwięcej zyskają ci, którzy dobrze zarabiają i których dochody są najbliżej progu drugiej stawki PIT lub ją przekraczają – zauważa dr Radosław Piekarz, doradca i ekspert podatkowy.

Potwierdzają to obliczenia Centrum Analiz Ekonomicznych CenEA. – Największe korzyści odczują osoby zarabiające powyżej 11 900 zł brutto miesięcznie.

Ci o najniższych dochodach nie zyskają w ogóle – przekonuje dr hab. Michał Myck, dyrektor ośrodka CenEA.

Nowelizacja Polskiego Ładu będzie więc bezsprzecznie ukłonem w stronę dobrze zarabiających, tym bardziej że rząd planuje także wprowadzenie preferencji dla podatników korzystających z liniowego PIT oraz ryczałtu. – Można zapytać, kto w 2022 roku wybrał liniówkę? To niemal wyłącznie osoby dysponujące bardzo solidnym dochodem i bardzo zamożne – twierdzi dr Piekarz. Dla takich osób rząd przewidział możliwość odliczenia składki zdrowotnej od podatku. Liniowcy będą mogli rocznie zaliczyć w koszty maksymalnie 8,7 tys. zł, a ryczałtowcy połowę zapłaconej składki. – Chociaż odliczenie składki nie będzie duże, to i tak zwiększy lukę w obciążeniach między etatowcem a osobą samozatrudnioną na podatku liniowym – przekonuje Radosław Piekarz. Liniowcom już w Polskim Ładzie zagwarantowano niemal o połowę niższą składkę na NFZ niż wśród pracowników etatowych (4,9 proc. zamiast 9 proc.), a teraz rząd planuje umożliwienie im odliczania części składki od podstawy opodatkowania, czego etatowcy nie mogą zrobić.

– Patrząc całościowo na ten najnowszy pakiet pomysłów, wyraźnie widać, że proponowane rozwiązania korzystnie odbiją się głównie na portfelach gospodarstw z wyższych grup dochodowych – podsumowuje Michał Myck. – Natomiast straty gospodarstw domowych należących do 10 proc. najbogatszych, choć nadal wysokie, to w porównaniu do Polskiego Ładu będą już wyraźnie niższe.

Najgorszy moment

Rządzący planują także obniżyć podatki samotnym rodzicom, dla których Polski Ład nie był przesadnie łaskawy. Od stycznia w miejsce wspólnego rozliczania się z dzieckiem samotni rodzice mogą korzystać z kwotowej ulgi w podatku o wysokości 1,5 tys. zł rocznie. To sprawia, że samotni rodzice zarabiający powyżej 9 tys. zł miesięcznie tracą względem starego systemu. Rozwiązanie to spotkało się z oburzeniem, które rząd wziął sobie do serca. Nowelizacja Polskiego Ładu zakłada przywrócenie wspólnego rozliczania się z dzieckiem samotnych rodziców, dzięki czemu będą mogli oni skorzystać z podwójnej kwoty wolnej. Co oznacza, że podatku PIT nie zapłacą samotni rodzice z dochodem poniżej 60 tys. zł rocznie.

Obniżka podatków uszczupli dochody państwa o ponad 30 mld zł.

Więcej pieniędzy zostanie w portfelach ludzi zamożnych, ale biedni na zmianach nie skorzystają.

Redukcja stawek podatkowych jest oczywiście miodem na serce podatników, problem w tym, że budżet państwa czekają ogromne wydatki. – To nie jest dobry czas na obniżanie podatków. Raczej powinno się je podwyższać ze względu na czekające nas wyzwania, czyli reformę ochrony zdrowia oraz wzrost nakładów na zbrojenia – twierdzi Radosław Piekarz.

Przypomnijmy, że w zeszłym roku parlament uchwalił ustawę o zwiększeniu nakładów na zdrowie do 7 proc. PKB. W tym roku zaś przegłosowano Ustawę o obronie Ojczyzny, która zwiększa nakłady na wojsko do 3 proc. PKB. Oznacza to konieczność znalezienia dodatkowych 60-70 mld złotych. Tymczasem Polski Ład oraz proponowana właśnie przez rząd jego nowelizacja znacznie uszczuplą wpływy do kasy państwa. – W wyniku zmian wprowadzonych w styczniu rząd ograniczył dochody sektora finansów publicznych o około 15 mld zł rocznie. Razem z resztą pakietu będzie to 31 mld zł. Ten ubytek trzeba albo sfinansować dodatkowymi dochodami z innych źródeł, albo ograniczeniem wydatków – zauważa dr hab. Myck.

W jaki dokładnie sposób zasypać tę dziurę? – Zostaje już głównie finansowanie poprzez zadłużanie się – nie ma wątpliwości dr Piekarz. – To z kolei jest bardzo lekkomyślne, gdyż pożyczany pieniądz nie jest już tak tani jak dwa lata temu – kontynuuje ekspert. Żeby się o tym przekonać, wystarczy zerknąć na papiery dłużne Polski. W maju 2020 r. oprocentowanie 10-letnich obligacji naszego kraju wynosiło ledwie 1,2 proc. i było najniższe w historii. W kwietniu 2022 r. to już 5,3 proc. Tak więc obecnie pożyczanie pieniędzy przez państwo jest ponad czterokrotnie droższe niż w pierwszych miesiącach pandemii.

Trzeba też wyraźnie zaznaczyć, że połowę opisanych wyżej strat budżetowych poniosą samorządy, które obecnie stoją przed ogromnymi wydatkami związanymi z akomodacją uchodźców oraz polityką klimatyczną. – Rząd deklaruje, że ubytek w dochodach samorządów zostanie im wyrównany, choć duża część gmin ma uzasadnione wątpliwości, czy wszystkie jednostki traktowane będą w ten sam sposób. Jeśli zmniejszenie dochodów w samorządach będzie wyraźne, to z pewnością odbije się to na ich funkcjonowaniu, a mieszkańcy mogą to odczuć przez niższy poziom lokalnych usług i mniej inwestycji – przestrzega Michał Myck.

A NBP swoje

Kombinacja wzrostu nakładów budżetowych finansowanych długiem oraz zwiększonych wydatków gospodarstw domowych, którym zostanie w portfelach 31 mld zł więcej – może przyspieszyć inflację (z którą równocześnie walczy RPP, gwałtownie podwyższając stopy procentowe). W marcu wzrosła ona do 11 proc., głównie z powodu wojny oraz rosnących cen surowców. – Z pewnością proponowane zmiany idą na przekór decyzjom podejmowanym w sferze polityki monetarnej. Są nie tylko posunięciem wbrew założeniom Polskiego Ładu, ale też pakietem niezrozumiałym z punktu widzenia walki z inflacją – zauważa Michał Myck.

Oczywiście nie pozostanie to bez odpowiedzi Narodowego Banku Polskiego i Rady Polityki Pieniężnej, które jeszcze przyspieszą podnoszenie stóp procentowych – być może nawet do poziomu 7,5 proc. w ciągu kilku miesięcy. Według niedawnej rekomendacji KNF banki, określając zdolność kredytową nowych klientów, już teraz powinny zakładać wzrost stopy procentowej do 8,5 proc. (we wrześniu 2021 r. wynosiła ona tylko 0,1 proc.). Jeśli doliczymy do tego marżę bankową – przeciętnie 2,5 proc. – to może się okazać, że jeszcze w tym roku oprocentowanie kredytów hipotecznych będzie dwucyfrowe. Dla wielu średnio zarabiających Polaków będzie to solidny cios finansowy, którego nie zniwelują obniżki podatków skierowane głównie do bogatszych.

Finalnie może się okazać, że planowana przez rząd obniżka podatków będzie nas naprawdę sporo kosztować. Biorąc pod uwagę inflację i niepewność związaną z wojną w Ukrainie, propozycje rządu stają się bardzo trudne do logicznego uzasadnienia. ©

Upadłem na raty

MAREK RABIJ

Czasem śnię, że jestem w centrum handlowym, nonszalancko przechadzam się wśród wystaw, a potem wychodzę bez zakupów. Czuję się wtedy szczęśliwy.

Dzień dobry, mam na imię Jerzy i jestem osobą uzależnioną od zakupów. Zakupoholika darujmy sobie od razu. To słowo sugeruje, że lubię kupować, tak jak „urlopoholik" nie może się doczekać wakacji. Mój stosunek do zakupów to raczej mieszanka strachu i ekscytacji, wstrętu i pożądania. Im dłużej pracuję z terapeutą, tym łatwiej oddzielić mi tę chorobę od siebie, co oczywiście nie znaczy, że przychodzi mi to już z łatwością. W każdym razie nauczyłem się tolerować siebie z nałogiem, a to naprawdę dużo, biorąc pod uwagę punkt wyjścia. Był czas, gdy czułem do siebie tylko wstręt. Co gorsza, nienawidziła mnie także Marzenka.

Do końca życia zapamiętam piątkowy wieczór, kiedy żona zorientowała się, że wbrew danej jej obietnicy, zrobiłem to po raz kolejny. Wyszła z pokoju i w milczeniu zaczęła pakować rzeczy. Próbowałem bagatelizować sprawę, przekonywałem, że przesadza, że to tylko kolejny kredyt ratalny, który spłacę tak jak poprzednie.

– A poza tym to moje hobby – wykrzyczałem.

– Człowieku – przerwała mi Marzena. – Ty nigdy nie miałeś żadnego hobby. Masz ciągle to samo uzależnienie od zakupów. Zmieniasz jedynie towar.

1 Moje hobby? Byłem już audiofilem, fotografem, nawet didżejem z profesjonalnym mikserem do muzyki elektronicznej. Jeździłem rowerami górskim w cenie niezłego używanego samochodu, co prawda głównie wokół jeziora obok naszego domu, ale zawsze w najdroższych rowerowych ciuchach. Z kolei po okresie fascynacji motocyklami została mi dziesięciocentymetrowa blizna na przedramieniu i kask za 3 tys. zł, którego nikt nie chciał odkupić po stłuczce. Drobniejszych fascynacji w rodzaju wędkarstwa spinningowego, rzeźbienia w drewnie, domowej produkcji piwa czy gry w tenisa – wliczać do rachunku nie będę. Pozostawiły po sobie stosunkowo niewielkie spustoszenie w naszym budżecie.

Zdecydowanie najgorsze było fotografowanie. Był czas, kiedy jednocześnie spłacałem kredyty ratalne za sprzęt wart łącznie ponad 27 tys. zł. W sumie na aparaty, obiektywy, lampy, statywy i inne rzeczy do fotografii wydałem chyba z 70 tys. W ratach oczywiście. Bez nich mój koszmar pewnie by się nie zaczął.

A zaczął się wiosną 2014 r.

– Wyświetla mi się pan na zielono – powiedział do mnie wtedy pracownik sklepu rowerowego.

Nie zrozumiałem o co mu chodzi.

– Ma pan w systemie zgodę na kredyt ratalny do 15 tys. zł, bo jest pan dobrym klientem – wyjaśnił. – Nie musimy czekać na odpowiedź banku, możemy od razu podpisać umowę i wydać towar.

Chciałem kupić rower za najwyżej 5 tys. zł. Wyjechałem ze sklepu prawie dwa razy droższym. Do tego wziąłem kask, ubrania, buty i parę innych drobiazgów. Łącznie na 2,3 tys. zł. Rata wyszła coś koło 470 zł miesięcznie, na trzy lub cztery lata, nie pamiętam już dokładnie. W każdym razie był to drobiazg przy moich ówczesnych zarobkach i wydatkach.

Żonie oczywiście powiedziałem, że rower kosztował 5 tys. Mogłem zdradzić, ile zapłaciłem naprawdę, ale czułem, że mnie wyśmieje.

Pół roku później miałem już rower za 17 tys. zł. Cena dla Marzeny wyniosła oficjalnie 7 tys. zł i w dodatku miała być wielką okazją. Uwierzyła, ale czemu miałaby mi nie wierzyć. Nawet się ucieszyła, że chcę uprawiać sport.

Wtedy zaczęła się moja choroba. Odkryłem drogę na skróty do nagrody, jaką dają zakupy. Trochę przypominało mi to polowanie. W dzieciństwie chodziłem z dziadkiem na kaczki. Trzeba było wstać o chorej porze i łazić po mokrych łąkach. Z dziadka

był dupa nie strzelec i rzadko wracaliśmy do domu z ptactwem, ale to mi akurat nie przeszkadzało. Uwielbiałem same podchody, tropienie. Niepewność, którą rekompensowało znalezienie zwierzyny.

Tamtego feralnego dnia w sklepie z rowerami poczułem się właśnie tak, jak z dziadkiem na łące. Dostrzegłem okazję.

2 Pochodzę z tak zwanej zwykłej rodziny. Mama uczyła biologii w szkole. Ojciec był urzędnikiem, ale pod koniec lat 80. zaczął się bawić w biznes. Z upadającego zakładu kupił maszynę do odlewania plastikowych form i zainstalował w szopie u wujka. Produkowali tam wspólnie plastikowe zabawki, które kupowali potem od nich handlarze ze straganów. Głównie karabiny. Nieźle się im to nawet kręciło aż gdzieś do Balcerowicza. Ja nie znosiłem tego miejsca, nie tylko dlatego, że śmierdziało rozgrzanym plastikiem. Nie wolno mi było się też bawić tym arsenałem. Matka uważała, że dzieci nie powinny dotykać nawet zabawkowej broni, a ojciec chyba chciał mieć spokój i nie oponował.

Ostatnio na terapii zapytano mnie, kiedy po raz pierwszy poczułem nieod-

WŁODZIMIERZ WASYLUK / FORUM

Poświąteczne wyprzedaże, Warszawa, 31 grudnia 2021 r.

parte pragnienie kupowania i wtedy przypomniałem sobie, jak na jakimś odpuście, po mszy, mijam, idąc z babcią, stragan z takimi samymi plastikowymi karabinami, jakie mój stary odlewał w swojej szopie. Mam wtedy może osiem lat, czyli jest końcówka lat 80. Babcia ciągnie mnie dalej, ja się wyrywam, wzrok mam dosłownie wczepiony w te karabiny. W końcu, zniecierpliwiona, puszcza moją rękę i znika w tłumie. Odnajduję ją, zapłakany i przerażony, po dłuższym czasie – choć pewnie tylko tak mi się wydawało, a wszystko nie trwało dłużej niż kilkanaście sekund. Babcia chyba na mnie krzyczy, ale za bardzo mnie to nie przeraża. Przed oczami mam znowu tamte karabiny.

Potem, już jako nastolatek, wyobrażałem sobie, że na ulicach nie ma nikogo poza mną. Mogę wejść do każdego sklepu i wziąć, co zechcę. Wieczorami wręcz planowałem w myślach eskapady, układając marszrutę w taki sposób, aby trwała na przykład jak najkrócej, albo tak, by najcenniejsze fanty dostarczyć jak najszybciej do domu. W głowie miałem nawet ustaloną listę łupów, sukcesywnie aktualizowaną wraz ze zmianą asortymentu. Pamiętam dokładnie zestaw stereofoniczny pewnej japońskiej marki, z frontem w gustownym grafitowym kolorze i z fajnymi pomarańczowymi lamówkami wokół potencjometrów, który uśmiechał się do mnie z wystawy salonu audio-wideo, gdy każdego dnia mijałem go w drodze do szkoły. Gdy pewnego dnia po prostu zniknął, poczułem się jak okradziony.

Ojciec uczył mnie cnoty oszczędności. Mimo że w domu niczego nam nie brakowało, nie mogłem po prostu poprosić rodziców o jakąś rzecz i ją dostać, jak niektórzy rówieśnicy. Musiałem uzbierać na udział własny, a stary wspaniałomyślnie dokładał resztę, kiedy uznał, że już wycierpiałem dostatecznie dużo. Może gdyby mnie nie przymuszał do oszczędzania, jako dorosły nie rzuciłbym się tak kompulsywnie na zakupy? To chyba nie zbieg okoliczności, że pierwsze większe pieniądze, które zarobiłem po studiach, wydałem co do grosza na sprzęt audio. Znacznie lepszy od tamtego, który mijałem w drodze do szkoły. Po trzech latach wymieniłem go na lepszy. To znaczy droższy. Rok później znów kupiłem droższy. Czyli lepszy. Sprzedałem go, kiedy wkręciłem się w rowery. Potem pozbyłem się roweru, żeby kupić sprzęt fotograficzny, ale żeby jeździć na zdjęcia w fajne miejsca wymyśliłem motocykl.

Trudno mi w to dziś uwierzyć, ale wtedy jeszcze nie widziałem, że jestem w pułapce.

3 Najgorzej było wieczorami. Żona wtedy bardzo źle sypiała. Budziła się koło drugiej-trzeciej w nocy i następnego dnia koło dwudziestej pierwszej oczywiście padała ze zmęczenia. Nieraz zasypiała na sofie. Zanosiłem ją wtedy do sypialni, kładem do łóżka w ubraniu, a sam siadywałem w fotelu z książką lub zaczynałem oglądać film. I po jakimś czasie łapałem się na tym, że już nie czytam ani nie oglądam, bo grzebię w telefonie za czymś do kupienia. Wystarczyło na przykład słowo „zdjęcie" lub „zbliżenie" w tekście i po chwili lądowałem na jakiejś stronie lub forum o fotografii, a stamtąd – w sklepie internetowym.

Reklamy kontekstowe w internecie to straszne cholerstwo, jak dealer narkotyków, którego masz w każdej chwili na zawołanie. Czy zdawałem sobie sprawę, że daję sobą manipulować? Wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Bardzo sprawnie wynajdowałem za to rozmaite samousprawiedliwienia.

Najczęściej tłumaczyłem sobie, że naprawdę potrzebuję tego, co chcę kupić. Albo że to inwestycja w przyszłość. „Może kiedyś będę musiał zmienić zawód? Fajnie byłoby robić coś, co się lubi" – wmawiałem siebie, zamawiając kolejny obiektyw.

„Czysta oszczędność paliwa w porównaniu z jazdą samochodem, nie mówiąc o czasie, który tracę w korkach" – to o motocyklu.

„Nie stać cię na tanie rzeczy" – podczas zajawki na kolarstwo i w trakcie krótkiego, ale burzliwego romansu z wędkarstwem.

W końcu nie chciało mi się już nawet wymyślać pretekstów do zakupów. „Jestem dorosły, stać mnie, mam prawo" – ten argument z czasem zastąpił wszystkie inne.

4 Nie wiem, kiedy straciłem nad tym kontrolę. Przez lata zarabiałem tyle, że bez trudności spłacałem zadłużenie. W efekcie doszedłem chyba do 17 czy nawet 19 kredytów ratalnych, łącznie na prawie 7 tys. zł miesięcznie. Marzenka długo nie miała pojęcia, co się święci. Mówimy o sobie mąż i żona, ale ślubu nie mamy, mogłem więc ↦

↦ zadłużać się bez jej zgody. Konto mamy wspólne i raty spłacałem początkowo z niego, ale kiedy kredyty zaczęły się mnożyć, nowe zlecenia przelewu zacząłem puszczać z drugiego rachunku, który założyłem oczywiście w tajemnicy przed Marzeną i zasilałem kasą z firmowego konta.

Problemy zaczęły się po wakacjach 2018 r. Holendrzy, którzy korzystali z usług mojej firmy, zerwali umowę i z miesiąca na miesiąc zyski skurczyły mi się o ponad połowę. To, co zostało, musiałem w pierwszej kolejności przeznaczyć na bieżącą działalność, pensje i podatki. W ten sposób z ponad 20 tys. zł, które bez trudu wypłacałem sobie co miesiąc jako wynagrodzenie, zrobiło się nagle najwyżej 9 tys. Na kredyty, wliczając leasing samochodu, potrzebowałem prawie 11 tys. zł.

Marzena bez słowa wyszła z domu, kiedy jej o tym powiedziałem. Wróciła po kilku godzinach, zapłakana i zrezygnowana. Gadaliśmy do świtu. W końcu oświadczyła, że zostanie ze mną, jeśli jej przysięgnę, że bez jej wiedzy nie kupię już nic na raty. Miałem też sprzedać wszystko, co do tej pory kupiłem za jej plecami, i pieniądze przeznaczyć na spłatę kredytów.

Udało mi się znaleźć kupca na mikser do muzyki i sześć wędek. Ze sprzętu foto, który trzymałem w pracy (kiedy jechaliśmy na wakacje, oficjalnie brałem sprzęt pożyczony od znajomego) zdołałem spieniężyć tylko jeden z trzech aparatów i dwa z pięciu obiektywów. Za mniej więcej 60 proc. ceny zakupu.

Cztery miesiące później kupiłem taki sam aparat, jaki sprzedałem. Oczywiście w systemie ratalnym. Marzenie nic nie powiedziałem.

5

Ten, kto wymyślił raty przez internet, powinien smażyć się w piekle. Kiedy kredytów udzielano jeszcze w sklepie, człowiek musiał się przynajmniej wyspowiadać pracownikowi przy biurku i naczekać na decyzję. Ekscytacja mieszała się z poczuciem lekkiego upokorzenia. Teraz wszystko odbywa się w kilkadziesiąt sekund, do tego z domu. Można siedzieć w brudnym dresie, chrupać chipsy, zapijać browarem i się zadłużać na tysiące.

W niektórych bankach nie musiałem nawet wpisywać kompletu danych osobowych, bo system miał zapamiętaną większość informacji. Kupując ten nieszczęsny aparat po raz drugi, zauważyłem, że w tabeli deklarowanych zarobków widnieje kwota podana jeszcze ze starych dobrych czasów. W pierwszym odruchu chciałem to poprawić, ale coś mnie powstrzymało. „Zobaczymy, co będzie, najwyżej powiem, że to przeoczyłem" – przemknęło mi przez głowę.

System gładko przełknął wniosek i kredyt dostałem. Powtórzyłem tę sztuczkę po raz drugi czy trzeci i wtedy zrozumiałem, że nikt tego nie weryfikuje, bo bankowi zależy na wciśnięciu mi tego kredytu co najmniej tak samo, jak mnie zależy na tym, żeby pożyczkę uzyskać. Mogę więc kłamać do woli. Dopóki spłacam raty, dopóty nikt nie będzie zadawać trudnych pytań.

Dzięki temu prostemu odkryciu kredyty znów zaczęły mi się mnożyć, choć z powodu żony zjechałem z ich liczbą do ośmiu. Półtora roku po rozmowie, w której przyznałem się do zadłużenia, znowu miałem ich 14 – nie licząc oczywiście raty leasingu na auto. W pracy nie szło wcale lepiej. Bywały miesiące, że na spłatę wszystkich rat musiałem wziąć kasę na VAT. Zacząłem wyprzedawać kupione niedawno rzeczy, żeby na bieżąco obsługiwać zadłużenie.

Marzena już nie ufała mi bezgranicznie. Wiedziałem, że od czasu do czasu sprawdza moją pocztę, do korespondencji z bankami założyłem więc nowe konto. Przesyłki adresowałem oczywiście na firmę. Czułem się jak świnia, ale nie umiałem się powstrzymać.

Wsypał mnie współpracownik. Zadzwonił do mnie akurat, gdy byłem w kotłowni. Telefon zostawiłem w salonie. Odebrała Marzena.

– I pani jeszcze przekaże mężowi – rzucił na pożegnanie – że ten obiektyw jednak przyszedł. Kurier go właśnie przyniósł.

6

Już drugi rok jestem w terapii. Nie wiem, czy żona mnie jeszcze kocha. Na pewno się o mnie troszczy, skoro jest nadal przy mnie pomimo tylu świństw, które jej zrobiłem. Bardzo jestem jej za to wdzięczny, kocham ją, ale już nie obiecuję niczego. Pierwszym osiągnięciem terapii było pogodzenie się z tym, że nie mam hobby, lecz problem. Jestem po prostu chory. Nie wiem, czy pewnego wieczoru znów nie poczuję pulsowania w skroniach i nie narobię głupot na raty. Chciałbym mieć poczucie, że nad tym panuję. Czasami nawet śnię, że jestem w centrum handlowym, nonszalancko przechadzam się pośród wystaw, a potem wychodzę bez zakupów. Czuję się wtedy szczęśliwy.

Znaleźliśmy jednak pewne rozwiązanie. Kiedy czuję, że jest ze mną bardzo źle, mówię o tym Marzenie. Siadamy wtedy razem do komputera, składamy zamówienie z opcją zapłaty w ratach i w ostatnim momencie rezygnujemy z zawarcia umowy. Kilka razy z rzędu w różnych sklepach i bankach. Internetowy subiekt robi się wtedy podejrzliwy wobec tak niestandardowego zachowania. „Decyzja odmowna. Wykryto podejrzaną aktywność" – odpowiada i na jakiś czas mamy spokój, bo wiadomo, że nigdzie nie dostanę kredytu.

Marzenę ten komunikat potwornie śmieszy. Najwyraźniej – mówi – podejrzany jest każdy, kto nie chce się zadłużyć.

©℗ MAREK RABIJ

PODZIĘKOWANIE

Wszystkim, którzy wzięli udział w uroczystościach pogrzebowych mojej żony

Ś.† P.

Zofii Petri

a także

księdzu Adamowi Bonieckiemu

za Mszę Świętą, przejmującą homilię i celebrę pogrzebową składam wyrazy wdzięczności

Aleksander Petri z rodziną

JACEK

Podsiadło:
Co sądzą fotografowie

Parę tygodni temu znalazłem stary karteluszek, na którym zapisałem sobie login i hasło do zapomnianej poczty. W poczcie odkryłem list, który dawno temu napisał kumpel sprzed lat. Nie literat, co ważne. Postanowił się odezwać po jakiejś mojej wypowiedzi, w której wyznałem, że od czasów szkolnych, kiedy zobaczyłem zdjęcie poddawanego torturom żołnierza i fotografie z Auschwitz, unikam tzw. drastycznych obrazów i Oświęcim też omijam z daleka.

„U mnie było trochę inaczej i moi rodzice postanowili kiedyś, gdy wracaliśmy z wakacji, zwiedzić Auschwitz. A że nie mieli co ze mną zrobić, to zabrali mnie ze sobą. Niestety, miałem wtedy pięć lub sześć lat. Niby bileterka nie chciała ich ze mną wpuścić, ale przekonali ją, że »takie małe dziecko i tak nic nie zapamięta z tego, co zobaczy«. No, prawdziwi psychologowie dziecięcy. Bileterka machnęła w końcu ręką. To był jakiś 1982 lub 1983 rok, kto by się przejmował, padał deszcz. A ja niestety zapamiętałem wszystko – zarówno na poziomie pamięci konwencjonalnej, jak i takiej podświadomej, gdzie ten cały syf wlał się we mnie na dobre. Wtedy zaczęła się moja gehenna, myślę, że liczone w grubych tysiącach noce pełne koszmarów, które zresztą nie opuściły mnie do teraz. I trauma, jaka we mnie wówczas powstała, miała wpływ na wiele moich zachowań, decyzji, wyborów życiowych, postaw [...]. Jestem teraz dorosłym mężczyzną czterdziestotrzyletnim, ale przyznam Ci się, że wciąż noszę w sobie płacz nad tamtym bezbronnym dzieckiem, bo to się na poziomie psychiki niewiele różniło od trafienia do obozu koncentracyjnego pięcioletniego dziecka w 1943 roku. Wiele bym dał za to, żeby pozbyć się ze swojego życia tej traumy, ale nie jest to już chyba możliwe. Raz poszedłem do psychoterapeutki, ale jak zacząłem pani opowiadać, to widziałem, że miała łzy w oczach i stwierdziłem, że ona jednak tego nie udźwignie. Nie jest to przeżycie, którym dzielę się z bliskimi. Radzę sobie z tym tylko poprzez wykluczenie – nie oglądam, nie czytam, nie odwiedzam niczego, co dotyczy tematu obozów koncentracyjnych".

Przejdźmy teraz do lektury artykułu red. Dawida Dróżdża w „Gazecie Wyborczej" zatytułowanego „Czy media powinny pokazywać drastyczne zdjęcia ofiar zbrodni? I kiedy tego nie robić?". Zaraz pod takim tytułem mamy, klik-klik, cztery zdjęcia pt. „Cywile zabici przez Rosjan, Bucza, 3 kwietnia". Red. Dróżdż już na wstępie wyjaśnia praprzyczynę powstania swego artykułu: „Zanim wrzucimy wstrząsające zdjęcia na Facebooka albo Instagrama, warto przeczytać, co na temat ich publikowania sądzą znakomici polscy fotoreporterzy i fotoreporterki".

Skoro warto, to przeczytajmy. Lynsey Addario sądzi, że „świat musi zobaczyć obrazy zbrodni wojennych". Po opublikowaniu fotografii zamordowanych matki i dwojga dzieci zapytała ojca i męża ofiar, czy dobrze zrobiła. „Tak, to zbrodnia wojenna" – odparł zwięźle mąż i ojciec.

Clive Myrie sądzi, że „to ważne, byśmy byli świadkami barbarzyństwa tej wojny".

Jędrzej Nowicki sądzi, że nie należy pokazywać na zdjęciach twarzy ofiar, natomiast „trzeba pokazywać ciała na ulicach czy przepełnione prosektoria. Nadrzędną wartością jest jednak szacunek dla tych ludzi". Jeśli wolno sprostować: chyba dla tych ciał?

Agnieszka Sadowska sądzi, że „gdyby nie takie zdjęcia, nie wiedzielibyśmy, co naprawdę dzieje się na wojnie, moglibyśmy ulegać propagandzie. Fotografie mogą być dowodem ludobójstwa. Im więcej dowodów, tym lepiej".

Agata Grzybowska sądzi, że „fotografowanie martwych jest ważne", ale sądzi też, „że pokazywanie zbliżeń ich twarzy jest niehumanitarne. Fotografuję wtedy, gdy wiem, że zdjęcie nie odbierze godności fotografowanemu". To jeszcze nie wszystko, co sądzi Grzybowska, gdyż sądzi ona ponadto, że „pokazywanie niektórych zdjęć martwych może być usprawiedliwione, jeśli autor lub autorka chcą przekazać odbiorcom coś istotnego". Fotografka nie boi się wskazać konkretnego przykładu: oto Marie Colvin sfilmowała dwuminutową agonię dziecka w Syrii. Film ten, sądzi Grzybowska, pokazywał coś istotnego: „Sfilmowała umierające dziecko, aby pokazać, że na wojnie śmierć jest przypadkowa i dotyczy wszystkich, także cywilów i dzieci". Nigdy bym nie uwierzył, że śmierć na wojnie jest przypadkowa i dotyczy dzieci, gdyby Colvin sfilmowała tylko grób dziecka albo syryjski pejzaż, toteż wdzięczny jestem zarówno jej, jak i „Wyborczej" od razu podsuwającej, klik-klik, link do filmu (który szczęśliwie okazuje się być „wskazany przez społeczność YouTube jako nieodpowiedni lub obraźliwy dla niektórych grup widzów").

Wojciech Grzędziński sądzi, że „Niepokazywanie ofiar jest graniem na korzyść tych, którzy doprowadzają do ich śmierci. Najważniejsze jest oddawanie na fotografiach rzeczywistości takiej, jaka ona jest".

Głębia przemyśleń Grzędzińskiego z każdym zdaniem się pogłębia. „Kilkanaście lat temu podczas konfliktu pomiędzy Hezbollahem i Izraelem redakcja odmówiła mi publikowania zdjęć ukazujących izraelskie okrucieństwo. To nie były bardzo drastyczne zdjęcia – przedstawiały tylko sytuację, która miała tam miejsce. Odmowa publikacji takich zdjęć jest *de facto* zakłamywaniem rzeczywistości".

Piotr Wójcik jest jedynym cytowanym przez red. Dróżdża fotografem, który sądzi, że „epatowanie mocnymi obrazami może wywołać odwrotny skutek – banalizowania zła. W pewnym momencie może okazać się, że na nikim te obrazy nie robią już wrażenia".

Teraz, kiedy już wiecie, co na temat publikacji wstrząsających zdjęć sądzą fotografowie, nie zapomnijcie, klik-klik, wrzucić ich na insta i na fejsa. ©

REPORTAŻ

POJECHALI

Nie byłem gotów na takie spotkanie.
Na przyjaźń z Syryjczykami.
Byli żywi, a wcześniej widziałem głównie martwych.
Inni uchodźcy. Niechciani.

ANDRZEJ MUSZYŃSKI | ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ

No i pojechali. Pociągiem. Jak ludzie, a nie przez białoruskie bagna. Z Warszawy do Berlina, a potem dalej na zachód. Byłem przekonany, że skontrolują ich na granicy polsko-niemieckiej i znów będzie to samo: do suki, mundury, przesłuchania, niekończąca się seria upokorzeń każdego człowieka, dla którego nie ma miejsca we własnym kraju. Wyczuwałem ich stres, kiedy pociąg zbliżał się do tej granicy, bo pisaliśmy do siebie. Nagle zamilkli, spodziewałem się najgorszego, ale w końcu przysłali wiadomość: „Melduję, że dotarliśmy bezpiecznie do Berlina! To było niezwykłe, przejechać z kraju do kraju bez kontroli! Chciałabym powtórzyć to tysiąc razy!". Parę dni później euforia minęła. On napisał: „Tak bardzo bym chciał być w Polsce. Zrobię wszystko, żeby jak najszybciej tam wrócić. W Tatry. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu".

POZNALIŚMY SIĘ W LISTOPADZIE, w ośrodku dla cudzoziemców Fundacji Dialog w Białymstoku. Przyjechałem na granicę pierwszy raz, kiedy w rozgwieżdżone niebo biły łuny znad cmentarzy. Od dziesięciu lat obsesyjnie śledziłem wydarzenia w Syrii, największy kryzys humanitarny po II wojnie światowej. Trudno było przestać o tym myśleć po obejrzeniu

takich filmów jak „Aleppo. Notatki z ciemności" Wojciecha Szumowskiego czy „Dla Samy" Waad al-Kateab. Na mapie nocnego globu Syria z każdym miesiącem coraz bardziej znikała. Pozbawiona prądu stawała się czarną plamą. Z tej plamy uciekali ludzie i wsiadali na gumowe pontony.

Przez kilka lat próbowałem tam wjechać, bez powodzenia. W mojej wsi zorganizowałem zbiórkę pieniędzy dla Aleppo, pomagał ksiądz – wieś była niezwykle hojna. Więc kiedy jesienią 2021 Syryjczycy przyszli niemal pod mój dom, pomyślałem, że powinienem tam być. Spędziłem trochę czasu w lesie, ale spotykałem tylko Kurdów. Do ośrodka Fundacji Dialog nie wpuszczano już dziennikarzy, bo w Białymstoku było wtedy kilkaset ekip z całego świata, a straumatyzowani uchodźcy po wydarzeniach w lesie potrzebowali spokoju. Kiedy jednak opowiedziałem dyrektorowi Fundacji Michałowi Gawłowi o swoich intencjach, zaproponował mi kilkudniowy wolontariat. Poznałem Syryjczyków.

Siedzieli stłoczeni w jednym pokoju. Otworzyłem drzwi, przywitałem się i poczułem, jak coś chwyta mnie za gardło, bo ich widok urealnił grozę, która na ekranie telewizora przypominała fikcyjną wojenną opowieść. Przybyli z miejsca, w którym wojna wybuchła tak dawno (2011), że o niej prawie zapomniano. Wypytywałem czasem znajomych, czy oglądali jeden z tych filmów, które wspomniałem, albo czy czytali nową ważną książkę o Syrii. Odpowiadali zwykle: „Nie mam na to siły...". Znajoma redaktorka znanego wydawnictwa powiedziała, że książki o Syrii wybitnych autorów nie wzbudziły u nas żadnego zainteresowania. Ludzie są zmęczeni Polską i nie mają już siły na inną biedę.

W Fundacji poznałem T&T – tak będę ich nazywał ze względów bezpieczeństwa. Rodzeństwo z Syrii, ona 28 lat, on 24. Ona późnym wieczorem stała na zewnątrz w czerwonej kurtce. Ktoś szepnął mi, że jest artystką. Zaczepiłem ją, zdjęła kaptur i przywitała się płynną angielszczyzną. Chwilę później dołączył jej brat, młody fan techniki. Wyglądali dobrze, bo mieli na granicy sporo szczęścia – nikt ich nie złapał i nie wyrzucił na Białoruś. Spędzili w lesie nie więcej niż tydzień, zmarznięci i głodni, ale w porównaniu z innymi Syryjczykami w ośrodku, którzy ledwo uszli z życiem, byli w niezłej formie. Uśmiechali się. Nie chcieli stawiać się w roli ofiar. W zasadzie rozmawialiśmy, jakbyśmy właśnie poznali się w pubie. Przez to zupełnie zniknęła relacja tutejszy–uchodźca; po prostu spotkałem bratnie dusze i przegadaliśmy pół nocy. O sztuce – bo ona jest świetną artystką-ilustratorką, absolwentką sztuk pięknych; o górach – bo jej młodszy brat opracował jako samouk system ratowania ludzi z lawin, który, jak twierdzi, pozwala natychmiast zlokalizować ofiarę pod śniegiem.

– Dlaczego nawialiście dopiero teraz? – zapytałem. – Stary, jak ci przystawiają lufę do głowy, to już nie ma wyjścia – powiedział chłopak. Przed decyzją o ucieczce pracował w bibliotece. Nagle usłyszał huk i wyszedł przed budynek. W jego samochód uderzyło inne auto, policjanta, jak się okazało. Zaproponował gliniarzowi ugodę. Policjant miał jednak inne zdanie na ten temat. Jego wrzask mógł doprowadzić do linczu na chłopaku. Wtedy pomyślał, że tak dłużej się nie da.

Mimo że regularna wojna w tej części kraju przygasła, to społeczeństwo jest nieprzewidywalne. Strzelanie z karabinów w powietrze, mówił, to codzienność. Czasem ktoś ni stąd, ni zowąd rzuci na ulicę granat. Głowy szwankują. Jego siostra pokazała mi krótkometrażowe filmy ilustrujące życie miasta, które kochali ponad wszystko. Wyjechali jako ostatni, ich przyjaciele zrobili to dużo wcześniej. Ale zostawili mamę, tatę, rodzeństwo – siostrę, która niedługo będzie rodzić. Nie uprzedzili ich. Sprzedali wszystkie cenne rzeczy. Wykupili wycieczkę u pośrednika.

– Skąd się o tym dowiedzieliście? – zapytałem. – Wszyscy o tym gadali, w mediach społecznościowych. – Ale nie ↦

↦ wiedzieliście, że tu w lesie jest taki hardcore? – Wiedzieliśmy, ale nie że aż tak – odpowiedziała. Pomyślałem, jak trudno wyobrazić sobie odległe miejsce, nawet mając do dyspozycji internet.

No bo jak my przygotowalibyśmy się do forsowania granicy, powiedzmy, iracko-irańskiej? Zupełna abstrakcja, jak dla nich Puszcza Białowieska. Obca wilgoć i mrok, którego się bali, bo nawykli do światła pustyni. Tylko jedno się zgadzało – pomyślałem pewnej nocy, wędrując przez las w kierunku grupy migrantów – gwiazdy, na Podlasiu widoczne niemal jak na pustyni.

Młody wynalazca z Syrii zabrał ze sobą kompas, i dobrze, bo telefony im padły, a karta SIM się zniszczyła. Jeszcze zdążyli wysłać do matki informację, gdzie są. Rodzice wpadli w szał. Przez dziesięć lat patrzyli, jak dzieci dorastają w czas wojny, i gdy wydawało się, że ta zmierza ku końcowi, one zniknęły. To rodzina architektów, w żaden sposób niepowiązana z reżimem, w której ceniło się solidną edukację. Chłopak mówi płynnie w trzech językach. O takich mówi się, że pochodzą z „dobrego domu", choć nie mam pewności, czy spodobałoby im się to określenie.

PRZYBYWALI Z PIEKŁA. Nie byłem gotów na takie spotkanie. Na przyjaźń z Syryjczykami. Byli żywi, a wcześniej widziałem głównie martwych. Przez dziesięć lat Syria stała się moją intymną kwestią. Dziwną obsesją. Powtórki filmów dokumentalnych. Nagrania na YouTubie, gdy w domu wszyscy już śpią. Syria powracająca w snach. Pełna bohaterów na pograniczu jawy, którego, pozbawiony możliwości wyjazdu, nie mogłem przekroczyć, ale oni, półzjawy, zrobili to za mnie. Nigdy nie czułem tak mocno zmarnowanego ludzkiego losu jak tam, w mrozie Białegostoku, kiedy rozmawialiśmy, trzęsąc się z zimna. Oni też nie mogli tam spać, w wieloosobowych pokojach. Wysłałem jej zdjęcie Krakowa. Odpisała: „O Boże, jak w bajce". „To zostańcie" – odpowiedziałem. Następnego dnia znów byłem z nimi.

10 dni obowiązkowej kwarantanny w ośrodku minęło dość szybko. Było co robić, T&T tłumaczyli dla rodaków. Ona nagrywała mi się niemal codziennie na telefonie. Raz powiedziała: „Znów słyszę swoje imię. Ktoś mnie znów woła, sorry. Nie ma chwili wytchnienia, ale co my tu możemy zrobić lepszego niż pomagać?". Potem zabrała się za gotowanie dla wszystkich podopiecznych ośrodka. Kolejne nagranie: „Eh, ci arabscy mężczyźni. Właśnie przyjechali tu jacyś nowi i próbują mi udowodnić, że tylko faceci potrafią przyrządzić kurczaka". Dodała: „Nie potrzebuję opieki mężczyzny, jestem samodzielna".

Ośrodek był pełen ludzi. Wszyscy spacerowali po korytarzu do późnej nocy, zupełnie jak na Bliskim Wschodzie. Dzieci kładły się spać o pierwszej w nocy. Byli tam tacy, których historie znalazły się na pierwszych stronach gazet, i tacy, którzy łaknęli, żeby ktoś ich wysłuchał. Wulkanizator spod Aleppo, którego wieś bomby zamieniły pewnej nocy w ruinę. Lajus, budowlaniec, który po ucieczce z Homs miał całkiem dobrą robotę w Libanie, ale tam gospodarka się załamała i stracił pracę. Nie zapomnę Syryjczyka w średnim wieku, do którego nigdy nie zagaiłem, jakbym podświadomie nie chciał zakłócić mu rytualnej wędrówki z jednego krańca korytarza w drugi. Trzymał tacę daktyli, którymi wszystkich częstował.

Wyobrażałem sobie, jak upokarzające dla rodzeństwa było to, co ich spotkało w lesie na granicy, kiedy nocowali pod lichym białoruskim namiotem kupionym w Mińsku. Oni – zdolni, ambitni, wykształceni. Zaszczuci jak psy. Zebrani potem w jednym budynku z ludźmi, z którymi w normalnych warunkach pewnie nie mieliby wielu wspólnych tematów. Dziennikarka Olga Goździewska, która czasem odbierała uchodźców od Straży Granicznej, opowiadała mi, że został jej na zawsze jeden obraz. Rodzina Kurdów z dziećmi złapana przez pograniczników. Mężczyzna był w Iraku dyrektorem szkoły. Spotkała go w starannie zawiązanym krawacie i marynarce. Ten krawat był ostatnią rzeczą, która przypominała mu o własnej godności. Rodzeństwu z Syrii pomagał ją zachować szkicownik i dziennik, w którym siostra zaczęła spisywać swoje przeżycia.

Mieli więcej szczęścia niż inni. Komunikatywni, wybitnie inteligentni. Od początku opiekowała się nimi aktywistka Beata Siemaszko z Siemiatycz, która była dla nich pierwszym kontaktem w Polsce. Od razu otrzymali niezbędną pomoc, prawników. Fundacja Dialog objęła ich opieką instytucjonalną, zapewniając środki na wynajem mieszkania, jedzenie, transport. W końcu, będąc ze mną w regularnym kontakcie, przenieśli się do Warszawy, gdzie pojawiły się opcje zatrudnienia. Ona, z profesjonalnym warsztatem artystki, przeszła pomyślnie testy w dużej firmie i otrzymała propozycję pracy, na szczęście zdalnej, bo dzięki temu mogli ruszyć na południe, czyli do mnie.

Odebrałem ich z dworca w Zawierciu. Musiałem się pilnować, żeby ich nie zgnieść z radości. Wiedząc o mojej pasji do kultury arabskiej, wyznali mi wcześniej, że w Syrii na czułość pozwalają sobie tylko krewni. Polacy, którzy chcieli im oddać serce, ściskali ich bez umiaru. No cóż, sam się zapomniałem. Jechaliśmy do Krakowa przez Jurę serpentynami w Dolinie Prądnika. Siostra zamilkła, wpatrzona w fantazyjne skały. Z bratem nawijaliśmy w kółko o lawinach. Zjedliśmy obiad i pokazałem im Kraków. – Zobacz, ta ulica wygląda jak nasze miasto – powiedziała siostra, a on jeszcze długo obracał się za siebie. Czułem, że mówią mniej niż zwykle – jak sami przyznali – zwyczajnie zmęczeni Warszawą i tysiącami nowych bodźców chwilę po wyjściu z lasu.

– Wiesz, Andrew, czasem czuję się tu taki mały – powiedział młodszy brat. – Wszystko jest zautomatyzowane. Czasem boję się ośmieszyć. Nie masz pojęcia, jak my jesteśmy do tyłu. – Stary, chrzań to. Ty myślisz, że ja wiem, jak wszystko działa? Nieraz patrzę w jakieś urządzenie jak szpak w dziuplę. Pytasz się ludzi i już – starałem się go pocieszyć, wcale nie kurtuazyjnie, ale chwilę po tym pomyślałem: gdzie my, technologicznie, byliśmy w 2011 roku? Jakie telefony były wtedy, a jakie są dziś? U nich czas się nie tyle zatrzymał, co zaczął biec w przeciwną stronę.

Pojechaliśmy w Tatry na chwilę przed świętami Bożego Narodzenia. Zarezerwowałem dwie noce w Murowańcu. Młody czekał na to od tygodni. Był mróz jak diabli. Odczuwali go silniej niż ja. Do schroniska dotarliśmy w śniegu po łydki, już po ciemku (ona: „jak następnym razem zapytasz, czy mam formę, to odpowiem, że mam, ale po mieście"). Dzień później wyszliśmy w góry. Złote światło przebiło szare chmury i zalało dolinę.

Czułem się z nimi szczęśliwy, nowi przyjaciele nie pojawiają się już często. Weszliśmy z młodym na Kasprowy, uczyłem go posługiwać się rakami i czekanem, potem podeszliśmy granią w kierunku Świnicy, a on chciał dalej i dalej. Popołudniami, leżąc w łóżkach, rozmawialiśmy do późnej nocy. Zwierzałem im się trochę. On podniósł się wtedy z piętrowego łóżka i powiedział: – Dopiero teraz, jak o tym opowiedziałeś, czuję, jak to ze mnie wszystko schodzi. Czuję się tu bezpiecznie.

Ten wyjazd był im potrzebny, żeby się odciąć od wydarzeń na granicy, z którą kojarzyło się wiele widoków. Na Hali Gąsienicowej mieli w końcu dużo ciszy i wszystko to, co dają góry. Pragnęli po prostu poczuć się jak kumple, a nie uchodźcy. Tam dostrzegłem, że teraz mają tylko siebie, choć potrafią na siebie naskoczyć. – Bez niego bym nie dała rady na granicy – powiedziała wprost siostra. – Kiedy doszliśmy do tego drutu, byłam przerażona. Chciałam natychmiast wracać, ale za nami byli Białorusini z bronią. Trzymałam się cały czas brata i błagałam w modlitwach Boga, żeby nas nie rozdzielili.

Pojechaliśmy w Tatry na chwilę przed świętami. Był mróz jak diabli. Odczuwali go silniej niż ja.

Przez długie lata religia była dla niej obojętna. – Tam, w lesie, coś się zaczęło zmieniać. Jeśli dobrze patrzysz, to w przyrodzie zawsze Go spotkasz – powiedziała przy kolacji w schronisku. Jej światopogląd nie pasował do żadnego popularnego pakietu oferowanego przez polską lewicę bądź prawicę. Była z innych wymiarów. Arabska feministka. Singielka, która za jazdę na rowerze po swoim mieście była wyśmiewana. Dwa razy ktoś ją specjalnie potrącił. Je mięso, ale tylko halal, z pewnego źródła i z humanitarnego uboju. Wierząca. To mnie przyciągało, ta odrębność przekonań. Ale oni też obserwowali nas, Polaków. Siostra opowiadała mi o osobach spotkanych w Warszawie, które usilnie próbowały przekonać ją do weganizmu, na co zwyczajnie nie miała ochoty. Albo pytanie pewnej dziewczyny, która na koniec długiej rozmowy zatrzymała ją i zapytała: „Słuchaj, ale czy ty naprawdę wierzysz w Boga? Tak na serio?”.

ROZSTALIŚMY SIĘ Z TAKĄ MYŚLĄ: ogarną sprawy w stolicy i poszukam dla nich mieszkania w Krakowie. Powiedzieli, że miasto oczarowało ich i dobrze się w nim czują. Przypomina im dom. Mijały tygodnie, byliśmy na łączach. T&T nie wyzbyli się arabskiego poczucia czasu, o którym wiele opowiadali. Pozwalali dziać się rzeczom, nie napierali. Już sama przeprawa z Syrii do Polski była dla nich brawurą. Mogli liczyć na wszelką moją pomoc poza jednym: radą, co zrobić. Zostać w Polsce czy wyjechać tam, gdzie zmykali wszyscy migranci?

W Polsce mieli „poduszkę”. Opiekę. Przyjaciół. Mogli złożyć wniosek o azyl, po roku z okładem otrzymać decyzję, a w razie powodzenia ruszyć potem legalnie na zachód. Teoretycznie. Bo wydarzenia na granicy pokazały, że procedury były u nas martwe, nieprzystosowane do skali kryzysu. Prawnicy gubili się, nadążali tylko nieliczni doświadczeni, a trzeba było nieraz działać natychmiast. Inni znali przepisy, ale nie wiedzieli, jak zadziałają w praktyce. Bo co powiedzieć takim ludziom? Tak, możecie liczyć na azyl w Polsce, czy wręcz przeciwnie?

Syryjczycy byli bombardowani sprzecznymi komunikatami. Zostańcie. Macie tu robotę. Przyjaciół. Przecież wy nikogo na zachodzie nie znacie – mówili jedni. Jedźcie. To najlepsze, co możecie zrobić. To nie jest kraj dla obcokrajowców – przekonywali drudzy. W końcu, ponagleni przez prawników, sami musieli podjąć decyzję. Posłuchali tych drugich. Trafili do obozu na prowincji w jednym z krajów zachodnich.

Dobrze wyczuwamy własne nastroje. Wiem, jak jest. Raczej nie za dobrze. Spotkali tam uchodźców, którzy spędzili w tym obozie nawet pięć lat bez szans na normalne życie. To może być też ich perspektywa. Wiem, że walczą z myślami, w szczególności brat, którego raz próbowałem telefonicznie, na jej prośbę, postawić do pionu, kiedy załamał się tuż po wyjeździe z Polski. Nie zdążyłem mu wręczyć książki o lawinach. Wyślę ją pocztą. Siostra napisała mi, że nie przepracowała jeszcze tego, co się wydarzyło. Samej ucieczki. Granicy. Potrzebuje czasu. Powinna teraz walczyć o siebie, a nie ma siły. Polska jest już daleko. Są znów sami.

Ostatnio rozmawialiśmy o wydarzeniach w Ukrainie. Napisałem: „Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie miałem śmiałości, żeby zapytać cię o wojnę w Syrii”. Odpowiedziała: „Nie mogę słuchać o wojnie ani oglądać wiadomości na ten temat. Ściska mnie wtedy w brzuchu”. Ale za chwilę sama dodaje: „Cały czas słyszę ten świst rakiety, drżenie w powietrzu, kiedy wszyscy uciekają, a ja stoję i nie mogę się ruszyć”.

Wyjechali z Polski jak wcześniej z Syrii, prawie nikomu o tym nie mówiąc. Byłem wściekły na tych, którzy obrzydzili im mój kraj, ale przecież sam pamiętam strach, gdy zostawiłem ich na noc w Krakowie. Moją znajomą z Jordanii ktoś opluł pod teatrem Bagatela. Bardzo nie chciałem, żeby to się powtórzyło.

Dlaczego nie mogli zostać w kraju, w którym otrzymali pomoc, na jaką nie mogą liczyć tam, w ośrodku nabitym migrantami? Czy w Polsce, z przyjaciółmi, nie byłoby lepiej? Dlaczego teraz czytam od rodzeństwa taką wiadomość: „Cholera, jak tęsknię! Ale wrócimy. Jak najszybciej się da. Może już latem. Pójdziemy znowu w Tatry? Mam nadzieję”. Jak nie przyjadą, to ja pojadę do nich, *inszallah*.

© ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Autor jest pisarzem, reportażystą i podróżnikiem, ostatnio opublikował „Dom ojców” oraz „Bez. Balladę o Joannie i Władku z jurajskiej doliny”.

ŚWIAT

ŻYCIE UCHODZI

Osiem lat temu wojna zaczęła się w Słowiańsku i Kramatorsku. Teraz wraca do obu tych miast. Kto może, próbuje się z nich ewakuować.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KRAMATORSKA I SŁOWIAŃSKA

Jest piątek, 8 kwietnia, przed południem. Przy dworcu kolejowym w donbaskim Kramatorsku, skąd od wielu dni trwa ewakuacja mieszkańców z obwodu donieckiego, leżą ciała. Gdzieniegdzie ciągną się smugi krwi.

Przechodzi kobieta. Zapłakana, szuka swoich bliskich. Emerytka Ludmiła, gdy walnęła rakieta wystrzelona z systemu Toczka-U, była na dworcu. Jej mąż Wołodymyr akurat poszedł do łazienki i trafił go odłamek.

Teraz siedzą we dwójkę w autobusie. Jednym z tych, które mają wywozić ludzi z Kramatorska, bo pociągi ewakuacyjne zostały wstrzymane. W ciągu ostatnich dni tory prowadzące z Donbasu w stronę obwodu charkowskiego kilkukrotnie były ostrzeliwane przez Rosjan. Nie wiadomo, jak długo pociągi będą jeszcze kursować.

Od razu po ataku Wołodymyrowi nałożono bandaż. Cały zdążył już nasiąknąć krwią. – Nie, nie ma po co jechać do szpitala – mówi spokojnie. – Zrobię to już wszystko na miejscu, jak dojadę.

Wołodymyr i jego żona Ludmiła chcą jak najszybciej wyjechać z Kramatorska po tym, co przeżyli. Odłamek w nodze i sączącą się krew to za mało, by ich powstrzymać.

On mówi, że już był opatrywany i nie ma dyskusji. Wyjeżdża byle dalej od domu, byle gdzieś w głąb Ukrainy.

Bransoletki

Niemal pośrodku placu przed dworcem leży korpus rakiety z wysprejowanym napisem „Za dzieci". Nie wiadomo, co miał na myśli rosyjski żołnierz, który to napisał. Pewnie wymyślił, że będzie to zemsta za pociski, które spadają także na miasta kontrolowane przez Rosjan i separatystów. Ta konkretna rakieta z napisem „Za dzieci" zabiła – według wstępnych danych – 39 osób, w tym co najmniej dzieci. Około 100 ludzi odniosło rany, wielu ciężkie, włącznie z utratą kończyn.

Ciało dziewczynki – może kilku-, a może kilkunastoletniej, nie sposób tego ocenić – złożono już na folii, przykryto białą płachtą. Wystają spod niej fragmenty ubrań: dżinsy, lekka kurtka, a także bransoletki. Gdy wojskowi medycy podnoszą płachtę, by przenieść ciało do samochodu, który zapchany jest już zwłokami aż po dach, mężczyźni z trudem wstrzymują łzy.

Oni wiedzą, że to dopiero początek. Dwa miasta – 150-tysięczny kiedyś Kramatorsk i sąsiadujący z nim 110-tysięczny Słowiańsk – dziś są zagrożone kolejną, dużo straszniejszą odsłoną obecnej wojny: nową rosyjską ofensywą, której celem ma być podbój całego Donbasu.

Traf chce, że doniecka wojna, która zaczęła się dokładnie osiem lat temu, w kwietniu 2014 r., swój początek miała właśnie w tych dwóch miastach.

Broń niezupełnie precyzyjna

Kilka dni przed tym, jak Rosjanie ostrzelali tutejszy dworzec, w nocy słychać było ryk silnika odrzutowca lecącego nad Kramatorskiem. Następnie rozległ się głośny wybuch. Wcześniej 38-letni Witalij udał się spać na korytarz, gdzie jest bezpieczniej. Zrobił to, bo wyrwał go ze snu dźwięk syreny ostrzegającej przed atakiem z powietrza. Gdy teraz ponownie się obudził, stwierdził, że cały blok się rusza, a lustra drżą. Wybiegł na balkon i zobaczył poświatę. Nie wiedział, gdzie dokładnie uderzyło.

Dopiero rano dowiedział się, że bomba spadła na szkołę, w której uczył się lata temu. Bomba zrobiła ogromny kra-

Dworzec w Słowiańsku, w pobliżu Kramatorska. W każdym z tych miast dworce są wypełnione oczekującymi na pociąg. 6 kwietnia 2022 r.

ter w ziemi, który szybko zapełnił się wodą z pękniętych rur. Zrujnowała korpus budynku, gdzie znajdowały się hala sportowa i stołówka, zostawiając tylko gruzy. Na szczęście nocą nikogo nie było w środku.

Rano Witalij przyszedł zobaczyć zniszczenia na własne oczy.

Próbował sobie przypomnieć, w których klasach miał lekcje, ale niewiele przychodziło mu do głowy.

– Rosja zwariowała – stwierdza Witalij.

O prezydencie Rosji Władimirze Putinie mówi jedynie bezosobowo: „on".

– On coś sobie ubzdurał. Mówi, że korzystają z precyzyjnej broni. No i gdzie, suka, jest ta precyzja? – unosi się.

Rosyjski pilot chciał być może trafić w znajdujący się obok posterunek policji.

Rosja idzie na Donbas

Ukraińskie władze oceniają, że po tym, jak rosyjskie wojska wycofały się z obwodów kijowskiego, czernichowskiego i sumskiego, głównym celem Kremla ma być teraz ofensywa na Charków, a przede wszystkim na Donbas.

– Wróg ściąga wszystkie możliwe siły uderzeniowe, by osiągnąć przynajmniej jakiś sukces taktyczny i strategiczny na terytorium obwodów donieckiego i ługańskiego – przyznaje w rozmowie Pawło Kyryłenko, przewodniczący Donieckiej Obwodowej Administracji Wojskowej.

To również był jeden z początkowych celów – jak określa ją Kreml – „operacji specjalnej" rozpoczętej 24 lutego 2022 r.: zajęcie Donbasu.

I podobnie jak w przypadku innych celów, Rosjanom nie udało się go dotąd zrealizować.

– Sytuacja jest trudna. Na całej linii rozgraniczenia trwają ciągłe ostrzały i starcia – mówi Kyryłenko. – Wiele miejscowości znajdujących się wzdłuż niej jest zrujnowanych.

„Linia rozgraniczenia": tak oficjalnie określa się faktyczną linię frontu w Donbasie. ↦

↦ Pod koniec pierwszego tygodnia kwietnia sytuacja wygląda tak: Rosjanie atakują od północy od strony miasta Izium w obwodzie charkowskim (położonego o jakieś 40 km na północ od Słowiańska), jak również od południa. Cel jest jasny: próbują otoczyć terytoria obwodów donieckiego i ługańskiego, od 2014 r. pozostające pod kontrolą Ukrainy, i zamknąć walczące tam siły ukraińskie w okrążeniu. Z kolei od wschodu próbują przerwać ukraińskie pozycje wzdłuż linii rozgraniczenia (frontu) w okolicach Popasnej w obwodzie ługańskim, a także w pobliżu Awdijiwki i Marjinki w obwodzie donieckim.

To właśnie z powodu tego zagrożenia władze ukraińskie od kilku tygodni wzywają, aby mieszkańcy obwodów donieckiego i ługańskiego ewakuowali się w głąb Ukrainy. Celem tego ma być zmniejszenie liczby możliwych ofiar wśród ludności cywilnej, a także ułatwienie działań własnym siłom zbrojnym.

Droga w nieznane

Mieszkańcy Kramatorska i Słowiańska, sąsiadujących ze sobą miast, stopniowo wyjeżdżali z nich już od 24 lutego – od momentu rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na pełną skalę. Jednak w ostatnich dniach doszło tu już do paniki. Spowodowały ją wezwania władz (teraz już potraktowane bardziej na serio), utrudnienia w życiu codziennym i powoli zbliżające się do miasta odgłosy artyleryjskich kanonad. A także, zapewne, obrazy z Buczy i innych miast, z których wycofali się Rosjanie, zostawiając po sobie groby i zwłoki zabitych cywilów.

Witryny sklepów zabito płytami pilśniowymi. Przy tych nielicznych, które wciąż działają, widać duże napisy: „Otwarte". Ich półki pustoszeją każdego dnia, choć ceny żywności znacząco wzrosły. Zostają zazwyczaj produkty z wyższej półki, na które ludzie nie mogą sobie pozwolić. Chleb pojawia się od czasu do czasu.

Większość właścicieli sklepów planuje zamknąć je w najbliższych dniach, jak tylko wyprzedadzą ostatnie zalegające towary. Produkty, które dziś nie cieszą się popularnością, a także wyposażenie (np. kasy samoobsługowe), są wywożone. Banki zamknęły niemal wszystkie swoje oddziały, działają tylko pojedyncze bankomaty, oblegane teraz przez ludzi. Popularność zyskują rowery, bo przed nielicznymi działającymi stacjami benzynowymi ciągną się sznury samochodów.

Nina ma znajomych w mieście Izium, 40 km na północ od Słowiańska, będącym pod kontrolą Rosjan: **„Znajomi mówili, że oni wszystko zmiatają z powierzchni ziemi.** Dlatego uciekamy".

Ostatnimi czasy na dworcach kolejowych, szczególnie tym w Kramatorsku, czekało więc na możliwość ewakuacji wiele osób. Głównie kobiety, dzieci i starsi mężczyźni.

Kilka dni temu 61-letnia Nina wraz z 35-letnią córką Anastasiją i trójką wnuków (najmłodsza dziewczynka ma rok) czekały na pociąg ze Słowiańska do Użhorodu w zachodniej Ukrainie, oddalonego o ponad 1100 km od Słowiańska. Zabrały jedną walizkę i jedną torbę, do której schowały ubrania i jedzenie dla dzieci.

– Nic nie mamy umówionego. Nie wiemy nawet, czy uda nam się wejść do pociągu – mówiła Anatasija i pokazywała na wózek z dzieckiem. – Nie wiemy nawet, kiedy ten pociąg przyjedzie.

Gdy rozmawialiśmy, nieustannie wyła syrena zwiastująca alarm przeciwlotniczy, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Alarmy są tak często, że ludzie już do nich przywykli.

To właśnie podróż w nieznane, niepewność i perspektywa zaczynania wszystkiego od nowa wstrzymuje wielu mieszkańców Donbasu przed ewakuacją. Szczególnie tych starszych, którzy rzadko lub wręcz nigdy nie wyjeżdżali poza swój obwód. Część zostaje też ze względu na chorych lub niedołężnych członków rodziny.

– Nie chcę wyjeżdżać, ale co mamy robić, gdzie się chować? Muszę ratować dzieci! – mówiła Anastasija.

Jej mąż został w Słowiańsku.

To jest straszniejsza wojna

Wtedy, osiem lat temu, po protestach na kijowskim Majdanie i aneksji Krymu, w kwietniu 2014 r. miejscowi separatyści oraz Rosjanie przybyli z Federacji Rosyjskiej zajęli Słowiańsk, a także Kramatorsk i kilka innych miast.

To dało początek powołaniu dwóch podporządkowanych Rosji nieuznawanych republik na terytoriach części obwodu donieckiego i ługańskiego. Przez niecałe 3 miesiące Słowiańsk, będący głównym ośrodkiem antyukraińskich grup zbrojnych, stał się główną areną walk. Szybko został otoczony przez ukraińskie siły. Dochodziło do zaciętych walk, podczas których ucierpiały przede wszystkim obrzeża Słowiańska. Miasto zamierało, a po domknięciu blokady zaczęło w nim brakować niemal wszystkiego, włącznie z wodą, prądem i gazem. Wreszcie 5 lipca 2014 r. ukraińskie wojska odzyskały kontrolę nad miastem. Potem jego mieszkańcy przez długi czas żyli jeszcze w niepewności, czy konflikt wciąż nie wróci do ich domów.

Mimo to Anastasija i Nina cały ten czas przesiedziały w Słowiańsku. Nie uważały, że –mimo ostrzałów i walk, mimo trudności z codziennym zaopatrzeniem – sytuacja jest na tyle poważna, aby wyjeżdżać. Teraz opuszczają Słowiańsk, zanim jeszcze walki dotrą do miasta.

Przekonanie, że może być gorzej niż w roku 2014, opierają na tym, co dzieje się w innych częściach Ukrainy – jak choćby tych znajdujących się przecież nie tak daleko Słowiańska i Kramatorska, takich jak Mariupol na południu obwodu, który od ponad miesiąca żyje w oblężeniu; ogromna część miasta została już zniszczona. Nie są znane dokładne liczby ofiar cywilnych w Mariupolu, ale mogą iść w tysiące.

Nina ma znajomych w Iziumie, o który toczyły się zacięte walki, a teraz kontrolowany jest przez Rosjan. – Mówili mi, że u nich wszystko zmiatają z powierzchni ziemi – przyznaje. – Dlatego wywozimy dzieci, zostawiamy dom i jedziemy niemal bez niczego. Na naszej ulicy nie ma już nikogo.

Zgodnie z danymi ukraińskich władz Iziumu z początku kwietnia, 80 proc. budynków zostało tam zniszczonych, a Rosjanie wydają się stosować taktykę spalonej ziemi – zniszczyć wszystko tak, aby nie było jak się bronić ani o co walczyć.

Dworzec kolejowy w Kramatorsku. Na korpusie rosyjskiej rakiety, wystrzelonej z systemu Toczka-U, widoczny napis: „Za dzieci". 8 kwietnia 2022 r.

Kościół ewangelicki Dobrej Nowiny w Słowiańsku – jedno z centrów ewakuacyjnych dla ludzi uciekających w głąb Ukrainy. 6 kwietnia 2022 r.

Droga między Słowiańskiem a Kramatorskiem – tysiące ludzi wyjeżdżają z obwodów donieckiego i ługańskiego. 6 kwietnia 2022 r.

„Ludzie"

Pociągami wyjeżdża z miasta tylko część mieszkańców. Inni opuszczają je własnymi samochodami. Na szyby często naklejają ręcznie wykonane napisy: „Dzieci", „Ludzie" lub „Ewakuacja". Inni oczekują na autobusy, które wywożą mieszkańców. Część z nich wyjeżdża spod kościoła ewangelickiego Dobra Nowina w Słowiańsku.

42-letni Jewhen od ponad dwóch dekad jest związany z tym Kościołem. Teraz jest jednym z wolontariuszy.

Sam jest już uchodźcą wewnętrznym: pod koniec lata 2014 r. wraz z żoną i trójką dzieci wyjechał z Charcyzka w obwodzie donieckim, który od tego czasu znajduje się na terytorium kontrolowanym przez nieuznawaną republikę. Uciekli, gdy w pobliskim Iłowajsku regularne wojska rosyjskie oraz separatyści stopniowo otaczali ukraińskie siły. Wówczas, w sierpniu 2014, walki o Iłowajsk stały się jedną z najstraszniejszych bitew tamtego roku. A także przesądziły wtedy o przebiegu wojny, bo wstrzymały ukraińską ofensywę i na kolejne lata pozbawiły Kijów możliwości odzyskania tych terytoriów – choć wcześniej, w lipcu 2014 r., wydawało się to być w zasięgu ręki.

Jewhen przyjechał do Słowiańska, bo – tak jak w Charcyzku – znajdował się tu kościół ewangelicki, a jak podkreśla, jego bliskość jest dla niego bardzo ważna. Wówczas Słowiańsk był już ponownie kontrolowany przez Kijów. Natomiast Kościół wywoził ludzi z ostrzeliwanych miast.

Właśnie tamto doświadczenie spowodowało, że 24 lutego wszyscy wiedzieli, co mają robić. Gdy tylko sytuacja w Donbasie ponownie się zaostrzyła, zaczęli pomagać innym ludziom opuszczać miejscowości najbardziej zagrożone.

W ostatnim czasie Jewhen i inni wolontariusze pomagali więc mieszkańcom ostrzeliwanych miast w obwodzie ługańskim. Teraz o pomoc zwraca się coraz więcej osób z samego Słowiańska.

Nadzieja

Na ławce kościelnej siedzą 30-letnia Anastasija i 28-letni Dmytro wraz z trójką dzieci; najstarsze ma 10 lat. Czekają na autobus do Dnipra, stolicy sąsiedniego obwodu dniepropietrowskiego. – Chcemy wyjechać gdziekolwiek. Na razie nie mam dokładnych planów. Najważniejsze to wywieźć dzieci. Wali bliżej i bliżej, i już nie mogę tego ścierpieć – mówi Anastasija.

Dodaje, że po roku 2014 mają już doświadczenie: wiedzą, co to znaczy wojna. A ta obecna jest jeszcze straszniejsza niż tamta sprzed ośmiu lat.

Wtedy Dmytro wyjechał z Ługańska, który do dzisiaj nie jest kontrolowany przez Kijów. – Drugi raz odjeżdżam z nadzieją, że wkrótce wrócę. Poprzednim razem to się nie udało. Bardzo chcę, żeby tym razem było inaczej – przyznaje.

Osiem lat temu w Ługańsku toczyły się zaciekłe walki. Dmytro przeżył to już raz, teraz nie ma zamiaru przeżywać czegoś podobnego po raz drugi. Nie chce więc zwlekać z ewakuacją – czasem jeden dzień zwłoki może przesądzić o tym, czy droga będzie jeszcze przejezdna.

©PAWEŁ PIENIĄŻEK

Przyjaciele z boiska

ZBIGNIEW ROKITA

Podczas tej wojny nie da się oddzielić sportu od polityki. Front sportowy także jest frontem. Choć działacze piłkarskich organizacji udają, że tego nie widzą.

Sporządzić ranking polityków, którzy najlepiej znają się na futbolu – na taki pomysł wpadł kilka lat temu Sepp Blatter, ówczesny prezydent Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej (FIFA). W rankingu Blattera Władimir Putin uplasował się na czwartym miejscu – po prezydencie Chin Xi Jinpingu, Nelsonie Mandeli i papieżu Franciszku. Blatter przecenił Putina – być może z uwagi na zbliżający się wtedy mundial w Rosji, a może ze względu na swoją z nim przyjaźń. Wówczas żadna większa piłkarska kara nie spotkała Kremla za atak na Ukrainę rozpoczęty w 2014 r., w tym za aneksję Krymu. Mundial w 2018 r. odbył się w Rosji, jakby nigdy nic.

Dobre relacje Putin ma także z następcą Blattera, Giannim Infantinem (m.in. odznaczył go medalem), a FIFA pod rządami Infantina zareagowała kompromitująco słabo na rosyjską inwazję. Niedługo po 24 lutego prezydent FIFA oświadczył, że Sborna (jak popularnie określa się rosyjską drużynę narodową) będzie występowała nie jako Rosja, lecz Rosyjski Związek Piłki Nożnej, bez hymnu i flagi. Kara za tę wojnę miała być mniej więcej taka, jaką wcześniej Międzynarodowy Komitet Olimpijski wymierzył Rosji za doping. Z kolei Unia Europejskich Związków Piłkarskich (UEFA) zrównała ofiarę i agresora: zdecydowała, że mecze drużyn rosyjskich i ukraińskich będą rozgrywane na neutralnych stadionach. Na szczęście postanowiła też, że finał Ligi Mistrzów nie odbędzie się w tym roku na petersburskiej Gazprom-Arenie.

Miliony kibiców zareagowały na to oburzeniem, a jeszcze pod koniec lutego obie federacje zmieniły decyzje: Rosji i rosyjskim klubom zakazano do odwołania spotkań międzynarodowych. W tym sezonie oznacza to wyrzucenie Sbornej z baraży o katarski mundial, a Spartaka Moskwa (ostatniego w tym sezonie rosyjskiego klubu obecnego w europejskich rozgrywkach) z Ligi Europy.

Niech symbolem postawy UEFA będzie jej wpis na Twitterze opublikowany kilka godzin po rosyjskim ataku 24 lutego. Wpis brzmiał: „Szczęśliwego czwartku wszystkim!". I uśmiechnięta mordka.

Rosja pokonała Rosję

FIFA nie paliła się do nakładania na Rosję sankcji, ale musiała coś zrobić, bo jest – przynajmniej fasadowo – instytucją zachodnią i demokratyczną, a zachodnie demokracje dominują w światowej piłce (Chińczykom nie udało się stworzyć własnej ligi, szczując świat pieniędzmi – ich projekt legł w gruzach). Sprawdzam ranking FIFA. W pierwszej dziesiątce jest siedmioro członków NATO, w pierwszej dwudziestce zaś większość krajów (aż siedemnaście) to – wedle Freedom House – państwa „wolne"; pozostałe trzy mają być „częściowo wolne". Większość reprezentacji z tej dwudziestki pochodzi z Europy. Męski futbol to być może największy relikt dawnej dominacji Starego Kontynentu.

Sborna nie zagrała więc z Polską. W dniu odwołanego meczu na rosyjskich serwisach sportowych analizowano możliwe składy, gdyby mecz się odbył. A skoro zabrakło Polaków i Rosja nie miała z kim grać, zagrała z samą sobą: odbył się mecz Sbornej z rosyjskimi młodzikami. W tym spotkaniu Rosja pokonała Rosję (przypomina to sytuację Związku Sowieckiego, który do 1952 r. nie był członkiem FIFA i w tym czasie grał tylko z jedną drużyną – Turcją).

Gdy siedziałem na trybunie Stadionu Śląskiego, oglądając mecz Polski ze Szwecją, znów zaczął do mnie pisać znajomy rosyjski dziennikarz sportowy. Blokowałem go już, ale tego wieczoru napisał z innego numeru, grożąc mi pobiciem i wyzywając od „amerykańskich kurew". Wysłałem mu zdjęcie stadionu po awansie Polski (tak, złośliwie). Odpisał zdenerwowany: „A jak tam na stacjach benzynowych? Kolejki? Niebawem będzie u was jeszcze weselej. Rosja sra na wasze sankcje, Rosja to najbogatszy kraj planety!".

Po mistrzostwo Azji...

Ale nic to. W rosyjskich mediach rozważa się dziś przejście z UEFA do Azjatyckiej Konfederacji Piłki Nożnej (AFC). Cóż, znamy bardziej egzotyczne transfery: Rosja ma wszak więcej wspólnego z Azją niż z Europą Izrael, który gra w UEFA. Część rosyjskich komentatorów uważa, że byłaby to katastrofa sportowa i finansowa, ale część jest optymistyczna – piszą, że wówczas Sborna bez problemu awansowałaby na każdy mundial, bo łatwiej byłoby jej pokonać Arabię Saudyjską niż Holandię (w rankingu FIFA Rosjanie są na 36. miejscu, z krajów Azji wyprzedzają ich tylko Irańczycy, Japończycy i Koreańczycy z Południa).

Rosyjskie kluby w azjatyckiej Lidze Mistrzów mierzyłyby się m.in. z indyjskim FC Goa, irańskim Traktorem SC czy tajskim Pathum United. Na niektóre mecze rosyjskie drużyny miałyby daleko, ale nie byłaby to dla nich nowość. Gdy kilka lat temu sąsiadujący z Pacyfikiem SKA-Chabarowsk dostał się do rosyjskiej ekstraklasy, w klubie opowiadali mi po zakończonym sezonie, że w jego trakcie klub „różnymi środkami transportu pokonał dystans ok. 400 tys. km – to tak, jakby drużyna obleciała Ziemię dziesięciokrotnie".

Dziennikarze prognozują już nawet zestawienia drużyn, z którymi Rosjanie, występując w AFC, nie mogliby grać z powodów politycznych: byłyby to być może Australia, Korea Południowa, Japonia i Singapur. W Europie istnieje sześć par zespołów, które nie powinny grać ze sobą – poza meczami Rosji z Ukrainą, są

YURI KADOBNOV / AFP / EAST NEWS

Władimir Putin i Gianni Infantino (pierwszy z lewej) podczas mundialu w Rosji. Moskwa, 2018 r.

to jeszcze pary Kosowo-Rosja, Kosowo-Serbia, Kosowo-Bośnia, Armenia-Azerbejdżan oraz Hiszpania-Gibraltar.

Gdy Rosję i Białoruś wyrzucono niedawno z igrzysk paraolimpijskich, Rosjanie zorganizowali swoje igrzyska – poza Białorusinami wystartowali w nich Kirgizi, Tadżycy i Ormianie. Rosjanie wygrali: zdobyli 108 medali, pozostałe kadry łącznie 12.

Rosjanie mogą bawić się bowiem w takie „spartakiady", ale nie są piłkarską potęgą i nie mogą stworzyć osobnego piłkarskiego bieguna. Może zostaną kiedyś mistrzami Azji, ale więcej będzie w tym symbolu niż radości.

...czy Europy?

Jednak znacznie bardziej niż rosyjskiej piłki na Zachodzie brakować będzie piłki zachodniej w Rosji. Kontrakty z rosyjskimi telewizjami zerwały już ligi angielska i francuska – dla wielu rosyjskich kibiców może to być największą sankcją.

Rosyjski kapitał zwija się też z zachodniego futbolu. Dużo mówi się o Romanie Abramowiczu, który został zmuszony do pozbycia się klubu Chelsea Londyn. W podobnej sytuacji znalazł się inny oligarcha Walerij Oif, właściciel Vitesse (to czwarty najlepszy holenderski klub w ubiegłym sezonie). Oba przypadki pokazują, jak ryzykowne jest sprzedawanie klubów ludziom zależnym od dyktatorów – nie tylko zresztą od tego z Kremla.

A tymczasem Rosjanie, jakby nigdy nic, zgłaszają swoją kandydaturę na organizatora Euro w roku 2028 i 2032. Zgłaszają zapewne po to, by dziennikarze tacy jak ja pisali o podobnych absurdach, zamiast o zbrodniach w Mariupolu i Buczy.

Gdy piszę te słowa, przypomina mi się, jak dekadę temu planowano rozpocząć rozgrywki połączonej ukraińsko-rosyjskiej superligi, jak założono już jej profile na mediach społecznościowych i zorganizowano biuro. Było to w innym świecie.

Kongres hańby

Ostatniego dnia marca odbył się kongres FIFA. W programie był enigmatyczny punkt czwarty „Zawieszenie lub wykluczenie związków". Nie było wiadomo, o które kraje chodzi, Rosjanie czekali na kongres w napięciu. Na kongresie okazało się, że chodzi o trzy federacje: Kenię, Zimbabwe i Pakistan. Przegłosowano zawieszenie wszystkich trzech z powodu ingerencji tamtejszych władz w sprawy krajowych związków piłkarskich.

Każdego roku zawiesza się przynajmniej kilka federacji, z różnych powodów – i to znacznie bardziej błahych niż zbrojna inwazja. Ale tego dnia o Rosji oraz Białorusi (wspierającej ją w obecnej agresji) nawet nie dyskutowano.

Choć nie – o Rosji była mowa. Wyróżniono ją: zdecydowano o uznaniu języka rosyjskiego za piąty język FIFA. W Rosji odtrąbiono sukces. Infantino coś tam przebąkiwał o wartości, jaką jest pokój. Uznał też, że warto podkreślić, jak „wielkim sukcesem" był rosyjski mundial w 2018 r.

Czy szef ukraińskiej federacji, który w nadesłanym wideo wystąpił w kamizelce kuloodpornej, zrobił na Infantinie jakieś wrażenie – o tym w dokumentach FIFA nie ma mowy.

Liga ukraińska nie gra

A rosyjska liga gra w najlepsze, jakby nigdy nic. Na pierwszym miejscu jest Zenit Petersburg, na drugim Dynamo Moskwa. Gra też liga krymska, która powstała za pośrednim przyzwoleniem UEFA – jest to liga oddzielna od ukraińskiej i rosyjskiej.

W najlepsze gra również liga białoruska, a także białoruska reprezentacja – na tamtejszy futbol nie nałożono bowiem żadnych sankcji (polecono jedynie, by Białorusini grali mecze międzynarodowe na neutralnych stadionach). Piłkarski świat przeoczył, że Mińsk jest współwinny inwazji na Ukrainę.

Nie gra za to liga ukraińska. Bo jak miałaby grać? Czytanie wyników ostatniej rozegranej kolejki to jak lektura dawnych kronik: Mariupol przegrał z Dniprem 0:3, a Odessa nieoczekiwanie pokonała Charków 2:1. Następną kolejkę mieli grać 25 lutego. Dzień wcześniej Rosja uderzyła.

Dziś ukraińskie serwisy sportowe piszą o wojnie. Wymieniają nazwiska zawodników, którzy przystąpili do jednostek obrony terytorialnej, i zniszczone stadiony. Ukraińcy nie zagrali swojego barażu ze Szkocją – mecz przeniesiono (nie wiadomo, czy się odbędzie). W barażowej czwórce Ukrainy jest też Walia. Prezes tamtejszego związku piłkarskiego zaproponował, by odpuścić Ukrainie baraże i po prostu wysłać ją na mundial.

Tymczasem szef ukraińskiej federacji poinformował już, gdzie Ukraina planuje rozegrać dwa pierwsze mecze po zakończeniu wojny. Pierwszy na donieckiej Donbass Arenie – stadionie Szachtara Donieck, który był ostatnim ukraińskim mistrzem przed wybuchem wojny w 2014 r. Drugi na stadionie Tawriji Symferopol, gdzie ten klub z Krymu został mistrzem Ukrainy w 1992 r. (w pierwszym turnieju w niepodległej już Ukrainie).

Za bilety na oba te mecze zapłacę każdą cenę. A mojemu znajomemu rosyjskiemu dziennikarzowi wyślę zdjęcia ze stadionów. ©

Autor jest reporterem. Laureat Nagrody Nike za „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku", wydał też „Królowie strzelców. Piłka w cieniu Imperium". Stały współpracownik „TP".

Ostatnia klasa

JAN RYBICKI

Dla wielu z nich szkoła to psychiczne oparcie. Spotykając się online, ukraińskie nastolatki przerabiają materiał, opowiadają o przeżyciach i dodają sobie odwagi.

Kiedy Olga Igoriewna zobaczyła na ekranie swoich uczniów z klasy 11b, poczuła, że coś ją ściska w gardle. Gdy wyjeżdżała z Charkowa, nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś się z nimi spotka.

Łączyli się z miejsc, do których rzuciła ich wojna: z Uścia nad Łabą w Czechach, z Kitzingen w Niemczech, ze Lwowa, Kamieńca Podolskiego, Chmielnickiego, a niektórzy, co zostali, ze swoich domów w Charkowie.

„Niedawno omawialiśmy »Białą gwardię« Bułhakowa. To powieść o wojnie i okazuje się, że sami musimy dokonywać takich wyborów jak bohaterowie. Po jednej stronie jest zło, a po drugiej dobro. I każdy z nas musi podjąć decyzję, co wybiera. Zastanowić się, co może robić, żeby zachować swoje człowieczeństwo" – zaczęła zajęcia Olga Igoriewna, próbując nie płakać. Niektórzy z uczniów po drugiej stronie ekranu też pociągali nosami, kilka kamerek się na chwilę wyłączyło.

Jeszcze niedawno głównym tematem było nadchodzące ZNO – ukraińska matura. Teraz realizacja programu nauczania straciła znaczenie. Zamiast o Bułhakowie rozmawiali o tym, gdzie kto jest, jak się trzyma, czy nie potrzebuje jakiejś pomocy.

Znowu nie omówili tematu zaplanowanego na 24 lutego. Ale tym razem nie był to powód do żalu.

Idziemy szukać bunkra?

Szkoła w opowieści Jariny wydaje się przede wszystkim miejscem gry w karty na przerwach, bitew na śnieżki zimą i eventów, które pomagała organizować: z okazji początku roku szkolnego, walentynek, dnia nauczyciela, Nowego Roku, Halloween. „Mała, drobna dziewczyna z bardzo silnym charakterem. Typ człowieka, który jest zawsze w centrum, łączy ludzi. Nie wyobrażam sobie klasy bez niej" – tak siedemnastoletnią dziewczynę opisała Olga Igoriewna. Gdy rozmawiam z Jariną, wierzę w każde słowo tej charakterystyki. Prawie przez cały czas żartuje, w kącikach ust ciągle czai się uśmiech, którego nie zdołała zetrzeć wojna.

– Mieliśmy tyle planów – uśmiecha się dziewczyna. Na prima aprilis chłopcy mieli przyjść przebrani za dziewczyny i na odwrót. Jedenastego kwietnia planowali obchodzić „dzień anime", japońskich kreskówek, które w klasie cieszą się powodzeniem. Nie zdążyli.

Wcześniej żartowali sobie w klasie z zapowiadanych terminów rosyjskiej inwazji. „To co, idziemy szukać bunkra?" – śmiali się.

Jarina mówi, że nawet teraz nie ma do końca poczucia, że to wszystko dzieje się naprawdę. – Może to dlatego, że nikt z moich znajomych nie umarł, a bomby nie spadły blisko mojego domu – wyjaśnia. „Nie blisko" oznacza dla niej, że okna w domu są całe. Jeszcze.

Początek inwazji przespała. Obudziła się po siódmej i sięgnęła po telefon, który co chwila rozświetlał się powiadomieniami. „Co? Jaki ostrzał? To żart?" – myślała, przecierając zaspane oczy. Po kilku kwadransach po ulicach Charkowa niósł się huk wybuchów.

Jej ojciec cały dzień oglądał wiadomości. Mama co chwila wybuchała histerycznym śmiechem. „Już rozumiecie, że nie musicie iść do szkoły. Siedźcie w domu i uważajcie na swoich bliskich" – napisała ich wychowawczyni na grupie w komunikatorze Telegram.

Pierwszy dzień inwazji upłynął Jarinie na szyciu filcowych zabawek i rysowaniu. Kiedy ostrzał przybierał na sile, zabierała swoją pracę i chowała się pod stół. Sztywniała przy każdym kolejnym wybuchu. – To takie uczucie jak wówczas, gdy na schodach człowiek nie zauważa stopnia i leci w dół. Nagle przepływa przez ciebie fala strachu – tłumaczy.

Byle do poniedziałku

Jarina czuła, że potrzebuje być z ludźmi. Następnego dnia poszła do swojego najlepszego przyjaciela, Artema z klasy 11a. (Olga Igoriewna: „Nie bardzo zafascynowany nauką... Ale odda się tematowi, który go zainteresuje. Lider. Towarzyski, życzliwy i utalentowany"). Dziewczyna wzięła ze sobą apteczkę, sznurki do plecenia bransoletek i ubrania na dwa dni. Planowała zostać do końca wojny, czyli do poniedziałku. „Przecież do tego czasu wszystko się uspokoi" – pomyślała.

Autobusy nie kursowały, miała więc do przejścia kilka kilometrów piechotą. Padał śnieg, słońce schowało się za chmurami. Mijała ludzi ciągnących za sobą walizki, wielkie kolejki przy sklepach i aptekach. W innych miejscach było pusto.

Przemykała blisko ścian, słysząc echa eksplozji. Za każdym razem, kiedy dostrzegała kogoś wyłaniającego się zza rogu, serce podchodziło jej do gardła. Słyszała, że w mieście są rosyjscy dywersanci.

Artem z braćmi wyszli jej naprzeciw. Z nimi poczuła się raźniej.

W domu grali w gry planszowe i oglądali kreskówki. Rozmawiali o wojnie, śmiali się z niej („Andriej, tak tupiesz, że nie wiadomo, czy tu strzelają, czy chodzą"). Rosyjska propaganda bawiła ich do łez. – Przykładowo ukraińskie gołębie, które wysyłamy, by odchodami z wirusem siały zarazę w Rosji – wybucha śmiechem Jarina.

Bransoletka

W poniedziałek wojna się nie skończyła, zabrała za to Artema. Chłopak, pełnoletni od trzech tygodni, postanowił wstąpić do obrony terytorialnej. Nie miał doświadczenia wojskowego i był za młody, ale jego starszy znajomy za niego poręczył.

Wyszedł z domu rano, kiedy rodzice jeszcze spali. Jarina uściskała go mocno i podarowała mu na szczęście bransoletkę, którą uplotła. Nie widziała go od tego czasu. Kiedy pytam, jak czuje się Artem, dziewczyna chwilę milczy.

– Stracił romantyczną wizję wojny. Kiedy znajomi proszą, by pomógł im dostać się do obrony terytorialnej, próbuje ich zniechęcić. Mówi, że to po prostu rzeźnia – odpowiada w końcu.

Artem pisze, że jest cały i je dobrze. Znajduje się w „gorącej" strefie. Resztę opowie, kiedy się spotkają. Bransoletkę od Jariny nosi na karabinie.

Pusty blok

Sasza, szkolny kolega Jariny, miał mniej szczęścia niż ona. Mieszkał w tej samej „gorącej" strefie, do której trafił Artem. Jego charkowskie osiedle to kilkanaście budynków z wielkiej płyty z placem zabaw i niewielkimi klombami kwiatów. Okna jego bloku wychodzą już na pola przed miastem.

On nie przespał początku jak Jarina. Obudziła go jego kotka, która próbowała dostać się do szafy. Wkrótce spadły pierwsze bomby, a do mieszkania zapukali ukraińscy wojskowi, nakazując ewakuację. Mieszkańcy chwilę tłoczyli się przy wejściu do piwnicy, jak gdyby nie dowierzali, że na ich okolicę naprawdę spadną pociski. Sasza najbardziej myślał o kocie, który został w mieszkaniu.

Według Olgi Grigoriewny chłopak to „indywidualista, introwertyk. Bardzo charakterystyczna, głęboka osoba".

– Jestem człowiekiem kultury – mówi o sobie Sasza. Ma gęstą byroniczną grzywę ciemnych kręconych włosów i rzadkie bokobrody. Mówi rozbudowanymi zdaniami, bliższymi eseju niż potocznej mowy nastolatka.

Opowiada, że w piwnicy odgrywał rolę informatora, ponieważ często jako jedyny miał dobry dostęp do internetu. Czytał kolejne informacje o bombardowaniach i ofiarach z wrażeniem, że czyta jakąś książkę, a nie relację z tego, co dzieje się tuż obok.

Kiedy ostrzał się przeciągał, siadał na podłodze i zaczynał pisać w cienkim zeszycie opowiadanie pt. „Zdjęcie w lustrze". – Ale to tekst na czas pokoju, nie wojny – mówi.

Mimo to dzień po dniu pokrywał kolejne strony gęstym drobnym pismem. Tymczasem jego blok się wyludniał, ludzie wyjeżdżali. Czasem ktoś z sąsiadów przychodził na chwilę po rzeczy, jedna kobieta wróciła na cały dzień. Chciała chociaż trochę pobyć u siebie w domu.

W końcu w całej ośmiopiętrowej klatce zostali tylko oni i ich starsza sąsiadka. Po Saszę i jego mamę miał przyjechać ich krewny, ale ostrzał był tak gęsty, że trudno było znaleźć moment, aby tam bezpiecznie dojechać.

Czekali więc, patrząc, jak ich osiedle zamienia się w gruzy. Sasza widział, jak pali się blok naprzeciwko. Gdy wychodził na dwór, szkło chrzęściło mu pod stopami. W całym bloku tylko dwa mieszkania – w tym jego – miały komplet okien.

Gdy **OLGA** *zobaczyła znów na ekranie swoich uczniów, poczuła ścisk w gardle.*

ARCHIWUM PRYWATNE x2

JARINA *została w Charkowie. Gdy nie ma lekcji, pomaga dzielić pomoc humanitarną.*

Chłopak najbardziej martwił się o mamę, o przyjaciół oraz o kotkę. O siebie nie. Mówi, że czuł się bardzo intensywnie żywy. Jak gdyby wojna wybudziła go z melancholijnego snu, w którym znajdował się wcześniej.

Kiedy w końcu udało im się wyjechać, w bloku została tylko ich starsza sąsiadka. Później pomogli zorganizować dla niej transport. W budynku nie został już nikt. Chłopak nie wie, czy jego dom jeszcze stoi. Wiadomości już nie sprawdza.

Groza, nuda

W czasie, kiedy Sasza raz za razem zbiegał do piwnicy, Jarina nadrabiała zaległości ze szkoły. Wszyscy jej przyjaciele – poza Artemem, z którym z oczywistych powodów nie mogła się spotkać – wyjechali z miasta i nie bardzo miała czym się zająć. Prawie od początku szukała miejsca, gdzie mogłaby pomóc, ale nie było łatwo coś znaleźć: nikt nie ogłaszał, że potrzebna jest pomoc w takim a takim miejscu – to na wypadek, gdyby Rosjanie przechwytywali wiadomości.

Wychodziła na niedługie spacery.

– Czy to nie było niebezpieczne? – pytam.

– W zasadzie to bomba może spaść gdziekolwiek, na ulicy albo w domu, gdzie czujesz się bezpiecznie. Jeśli bomba nie spadnie na twój dom, to masz szczęście. Jeśli tam spadnie, kiedy cię nie ma: też fart. A jeśli spadnie, kiedy jesteś u siebie, to przynajmniej nie będzie twój problem, bo... – wzrusza ramionami z lekkim uśmiechem.

Wychodziła więc, ponieważ to, czy będzie żyć, i tak nie zależało od niej. Pamięta spacer z mamą do centrum miasta kilka tygodni temu. Wrażenie, jakby była na planie postapokaliptycznego filmu. Główna ulica Charkowa, a one są na niej tylko we dwie. Żadnych samochodów, nic. Rozbite witryny, walające się w głębi sklepów głowy i ręce manekinów. Na pokrytych śniegiem chodnikach masa szkła i kawałki luster, w których odbijały się osmalone fasady budynków oraz jasne niebo.

Dla Jariny wojna jest nie tylko koszmarna, ale też nudna. Do eksplozji już przywykła. O swoje bezpieczeństwo się nie martwiła. Najbardziej się przestraszyła, gdy Artem napisał, że niedaleko niego trafił pocisk. Żeby jej nie stresować, odczekał kilka dni, zanim jej o tym powiedział, ale i tak Jarina przez resztę dnia była niespokojna.

Nawet wtedy nie płakała. Mówi, że nigdy nie płacze w stresowych sytuacjach. Łzy przychodzą u niej dopiero, gdy się rozluźnia. Na razie sobie na to nie pozwala.

W końcu udało się jej znaleźć miejsce, gdzie może pomagać. O dziewiątej przyjeżdża po nią samochód. Jadą między przeciwczołgowymi jeżami i betonowymi blokami przepuszczani przez kolejne posterunki obrony terytorialnej. Ulice są już uprzątnięte, ludzie zaczęli wychodzić. Docierają do punktu pomocy humanitarnej, gdzie Jarina pomaga porządkować rzeczy i odbiera zamówienia od mieszkańców. Robi listę i potrzebne produkty rozwozi później samochód. Z punktu łączy się ze swoją klasą na zajęcia, robiąc sobie przerwy w pracy. ↦

Znowu w ławce

Dyrekcja niepełne trzy tygodnie po rozpoczęciu wojny zapytała nauczycieli i uczniów, czy chcą i są w stanie wrócić do zajęć. Bardzo chcieli. Pierwszy raz klasy spotkały się ze swoimi nauczycielami dokładnie miesiąc od pierwszych ostrzałów. Na początku lekcje trwały po 20 minut, dla starszych klas wydłużono je do pół godziny. Samych zajęć też jest mniej, maksymalnie pięć dziennie. Zresztą, ponieważ końcowe egzaminy nie mają już znaczenia, program nie jest taki ważny. Na przykład nauczycielka biologii zrobiła zajęcia o fizjologii stresu.

Olga Igoriewna machnęła ręką na lektury: całość będzie dla chętnych, ona będzie zadawać tylko małe fragmenty. Jeśli ktoś nie przeczyta nawet tego, nie będzie robić wyrzutów.

Spotykają się w prawie całym składzie, chociaż z części przedmiotów otrzymują tylko zadania do zrobienia.

– Wreszcie mam poczucie upływającego czasu, bo wcześniej nic nie odróżniało jednego dnia od drugiego. No i dobrze jest mieć coś ze świata sprzed tej wojny – mówi Jarina. Cieszy się z zajęć z jeszcze jednego powodu: skoro działa szkoła, może z Ukrainą nie jest jeszcze tak źle?

Sasza też uważa zajęcia za „pożyteczne". – Dla mnie, człowieka, który tak lubi wiedzę, byłoby bolesne stracić taki przedmiot jak „historia światowej kultury" – mówi.

Kiedy zaczęły się zajęcia, był w wiosce pod Charkowem i szkoła była jego jedyną odskocznią. Czuł się fatalnie w domu pełnym krewnych, których wcześniej widywał tylko od święta. Był rozstrojony, podminowany. Odnosił wrażenie, że każdy dorosły miał jakieś zdanie na temat tego, jak powinien się zachowywać. Nie pamięta dokładnie, ile czasu tam spędził, chyba dwa tygodnie, choć czuje, że równie dobrze mógłby to być rok.

ARCHIWUM PRYWATNE

SASZA *patrzył, jak jego osiedle zamienia się w gruzy. Najbardziej martwił się o mamę, przyjaciół i kotkę.*

Ten czas był gorszy niż w Charkowie, gdzie przynajmniej coś się działo i wiedział, co do niego należy. To go utrzymywało w ruchu. W wiosce stracił ochotę do zajmowania się czymkolwiek. Miał wrażenie, że gnije. Ostatecznie dostał się do Iwano-Frankiwska, do domu swojej dziewczyny. Zabrał ze sobą także swoją kotkę. Dopiero tam mógł się rozluźnić i w końcu poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

Uważa, że dobrze to wszystko zniósł. Jego mama czasem wzdryga się bez powodu. Zdaje jej się, że znowu słyszy wybuchy. Nieistniejące dźwięki budzą ją w nocy.

Sasza może cieszyć się ciszą.

Żyć, po prostu

Jedenasta klasa jest ostatnia. Pytam Jarinę i Saszę, jak sobie wyobrażali swoje życie po skończeniu szkoły.

Dziewczyna mówi, że chce robić „wszystko". Nie zamierza iść od razu na studia. Chce pracować w warsztacie samochodowym, żeby nauczyć się rozbierać i składać samochody. Albo w barze. Albo jako baristka. Albo kelnerka. I tańczyć, mnóstwo tańczyć.

Kiedy mówi o swoich planach sprzed inwazji, nie używa czasu przeszłego.

Sasza mówi, że chce studiować filozofię, ale też nie wyklucza roku przerwy. Nie przez tę wojnę. – Bo widzisz, mam poczucie, że jestem jeszcze w jakimś procesie – mówi.

Opowiada, że kilka lat temu był bardzo zamknięty w sobie. Miał depresję. Nie wychodził z domu, jeśli nie musiał. Do dzisiaj to nie jest dla niego łatwe. Ale jakieś trzy lata temu zaczął więcej czytać i pisać. Żeby rozmawiać o tym, co wyczytał, zaczął pisać z ludźmi w internecie. Najpierw pod pseudonimem, później zaczął się z nimi spotykać na żywo. Przyjaźnić. Kłócić. Szwendał się po Charkowie ze swoją pierwszą dziewczyną. Zaangażował się w amatorski teatr. Dlatego nie spieszy mu się na studia. Chce mu się po prostu żyć.

– Wojna ci w tym nie przeszkadza? – pytam.

– Wcale. Najważniejsze dla mnie rzeczy nie zależą od wojny – odpowiada.

– Od czego więc?

– Po prostu ode mnie. I od tego, czy będę mieć trochę wolności. To jest coś w środku, coś więcej niż na przykład możliwość pójścia do teatru. Jeśli nikt nie będzie tego ograniczał, będzie mi dobrze. Nawet w piwnicy.

© JAN RYBICKI

ATAK NA UKRAINĘ
SERWIS SPECJALNY

Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich, doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie.

Relacjonują:
Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak, Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski.

Teksty, zdjęcia, wideo i podkasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAVLO PALAMARCHUK / AP / EAST NEWS

Wojsko ukraińskie podczas ćwiczeń z wyrzutniami przeciwpancernymi pocisków kierowanych NLAW, przekazanymi przez Wielką Brytanię. Jaworów k. Lwowa, styczeń 2022 r.

Czy Ukraina może wygrać z Rosją

PETER CADDICK-ADAMS,
HISTORYK WOJSKOWOŚCI, BYŁY OFICER BRYTYJSKIEJ ARMII:

Przypuszczam, że częścią planu Władimira Putina jest ludobójstwo narodu ukraińskiego. On stosuje nazistowskie metody, kopiuje nazistów.

PATRYCJA BUKALSKA: Gdy rozmawiamy, docierają kolejne szokujące informacje z Buczy, gdzie Rosjanie masowo mordowali cywilów. Padają porównania do Srebrenicy. Pan obserwował jako historyk NATO wojnę na Bałkanach. Czy Rosjanie przekroczyli w Buczy czerwoną linię?

PETER CADDICK-ADAMS: Proszę zwrócić uwagę, że podczas tej wojny Zachód celowo unika określenia „czerwona linia" – ze względu na to, co stało się w czasie wojny w Syrii, gdy prezydent Obama twierdził, że użycie broni chemicznej przez Asada będzie właśnie przejściem takiej „czerwonej linii". Jednak gdy do tego doszło, nic się nie stało... Decyzja o niepodejmowaniu działań wywołała falę krytyki i to, gdzie teraz się znajdujemy, częściowo z tego właśnie wynika. Słabością USA, a co za tym idzie, słabością Zachodu było wtedy wyznaczenie „czerwonej linii" i brak reakcji na jej przekroczenie. Rosja to odnotowała.

Koncept „czerwonych linii" jest więc jedną z przyczyn obecnej sytuacji: gdyby wtedy USA zareagowały, być może „czerwone linie" mogłyby być elementem odstraszającym i Rosja nie zdecydowałaby się na atak na Ukrainę. Nie znaczy to jednak, że nie mamy teraz „czerwonych linii" – one są, ale nie mówi się o nich publicznie.

A Bucza?

Jeszcze nie wiemy, jak Zachód skoordynuje swoją reakcję po tej masakrze. W chwili, gdy rozmawiamy, Słowacja zgodziła się płacić za rosyjski gaz w rublach – dokładnie tego chce Putin, chce podziałów, chce znaleźć nasz słaby punkt. Nie spodziewał się przecież, że wszyscy padną na kolana i zaoferują ruble – chciał, by niektóre kraje to zrobiły, a inne nie, bo to tworzy podziały.

Brytyjskie stanowisko wobec ataku na Ukrainę od początku jest jednoznaczne. Zwłaszcza w porównaniu z innymi państwami Europy, jak chociażby Niemcy. Skąd tak silne wsparcie Londynu dla Ukrainy?

↦

Są przynajmniej dwa powody. Po pierwsze, w szerszym kontekście jest to pytanie, dlaczego Zachód mocno wspiera Ukrainę, podczas gdy nie wspierał tak opozycji w Syrii czy rządu Afganistanu w ostatniej kampanii talibów. Aby na nie odpowiedzieć, trzeba spojrzeć na minione stulecie i prześladowania w sowieckiej Rosji, represje nazistów i sytuację po II wojnie światowej – w efekcie miliony Ukraińców opuściły kraj. W Wielkiej Brytanii jest ich ok. 60 tysięcy, bardzo dużo w Kanadzie, ponad milion w USA. Tak jak Polacy, mają silne poczucie przynależności etnicznej. Są zintegrowani ze społeczeństwem, w którym żyją, ale zachowują dumę ze swego pochodzenia. Od początku inwazji ich głos słychać w Wielkiej Brytanii, USA, Kanadzie. Również te trzy kraje angażowały się w szkolenie ukraińskiej armii od 2014 r. To jeden powód.

Drugi – jeśli chodzi o Zjednoczone Królestwo – jest nieco cyniczny. Popularność premiera Borisa Johnsona jest dziś niska i pewnie on sam dochodzi już do wniosku, że rola politycznego lidera nie przynależy do jego DNA. Nie ma jednak żadnego spotkania na szczycie dotyczącego Ukrainy, w którym nie brałby udziału – w ten sposób spycha na dalszy plan problemy, jakie ma w domu, przez odgrywanie roli na scenie międzynarodowej.

I powiedziałbym, że do tej roli Johnson się nadaje. Churchill – nie sugeruję podobieństw między nimi, choć Johnson pewnie chciałby takie widzieć – zatem także Churchill nie był dobry w polityce krajowej i wiele czasu spędzał za granicą, jako premier oraz w innych rolach. Myślę, że także wielu Brytyjczyków chętniej widziałoby Johnsona za granicą niż w kraju.

Wspomniał Pan o szkoleniu ukraińskich żołnierzy m.in. przez Brytyjczyków. Czy to jeden z powodów, dla których ukraińska armia radzi sobie tak dobrze, a rosyjska tak źle?

Jest tu wiele przyczyn. Najpierw pozwolę sobie na pewną analogię historyczną. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej w 1905 r. Rosja poniosła klęskę. Wysłała swoją Flotę Bałtycką, która po wielu miesiącach żeglugi dotarła do Cieśniny Cuszimskiej, między Japonią a Koreą, i wpadła tam w zasadzkę floty japońskiej. Aż 41 z 45 okrętów rosyjskich zostało zniszczonych. To była największa klęska Rosjan, a jej powodem było niedocenienie Japonii. Nie wzięli pod uwagę, że Japończycy się unowocześnili, skorzystali z rad Zachodu, ze szkoleń prowadzonych – znów pojawiają się te same kraje – przez Brytyjczyków i Amerykanów. Japonia była też krajem etnicznie homogenicznym i uważała Rosję za zagrożenie dla swej egzystencji. Rosjanie nie mieli tak silnej motywacji.

JEREMY MILES / MATERIAŁY PRASOWE

PETER CADDICK-ADAMS (ur. 1960) jest historykiem, specjalizującym się w dziejach wojskowości, oraz analitykiem wojskowym. W 1979 r. wstąpił do armii brytyjskiej, w której dosłużył się stopnia majora. Uczestnik licznych kampanii i misji. Wykładowca brytyjskiej Akademii Obrony Narodowej. Autor wielu książek, z których po polsku ukazało się „Monte Cassino. Piekło dziesięciu armii".

Widać tu wiele paralel do sytuacji Ukrainy. Podobnie jak Japończycy, Ukraińcy głęboko wierzą w konieczność samoobrony. Tymczasem Rosjanie wtedy wolno się uczyli, mieli przestarzałą flotę i przestarzałą doktrynę wojenną. To wiele mówi nam także o obecnej wojnie.

Zatem pierwszym powodem, dla którego Rosjanom tak źle idzie w Ukrainie, jest przestarzała armia?

To w gruncie rzeczy zimnowojenna, wciąż sowiecka armia, gdzie liczy się tylko masa, a nie inicjatywa.

Punktem zwrotnym był rok 2014, kiedy Rosja zajęła Krym i wkroczyła do Donbasu. To była pobudka dla Ukrainy, która zrozumiała, że albo zmieni swoją armię, albo zginie. Wtedy też zaczęły się szkolenia prowadzone przez Brytyjczyków, Amerykanów i Kanadyjczyków, na które kierowano tylu żołnierzy ukraińskich, ile tylko było możliwe. Oceniam, że mogło to być nawet 30 tys. zawodowych żołnierzy.

Ta armia teraz walczy głównie w Donbasie – z naszej perspektywy o przebiegu wojny w tym rejonie mówi się mało: nie ma tam wielu dużych miast, nie ma dramatycznych potyczek czołgów. To jednak tam trwa właśnie potężne starcie dwóch równych sobie zawodowych armii, o którym tak mało wiemy.

A zatem, zachodnie szkolenia i dostawy broni – szczególnie przeciwpancernej i przeciwlotniczej – były niezwykle ważne. To drugi powód. Trzeci to prezydent Zełenski i jego inspirujące przywództwo. To on jest Winstonem Churchillem swojego pokolenia, swojego kraju, a może i reszty świata.

Chce Pan powiedzieć, że armia ukraińska w ostatnich latach modernizowała się, a rosyjska po prostu trwała?

Dokładnie tak. Po roku 2014 armia ukraińska wyciągnęła wnioski, a rosyjska nie, bo sądziła, że nie musi. W ciągu tych ośmiu lat siły zbrojne Ukrainy przekształciły się w nowoczesną armię. Jest mała, ale ma liczne zalety, w tym świetne dowództwo. To jeden z powodów, dla których armia Rosji nie czyni postępów w Ukrainie: jej doktryna wojenna, jej wyszkolenie są niewystarczające, ona nadal opiera się na poborowych. Ukraińcy są znacznie bardziej profesjonalni.

A motywacje walczących?

Rosjanie szli na Ukrainę, spodziewając się, że – jak głosiła propaganda Kremla – będą ją wyzwalać, a nie z nią walczyć. Jeśli armia wkracza do jakiegoś kraju i spodziewa się powitania chlebem i solą, to nie ma przygotowanej długoterminowej logistyki, bo nie musi. Szybki marsz na Kijów, wymiana władz na prorosyjskie – na to stawiała Rosja. Kiedy taka szybka operacja nie wyszła, okazało się, że nie mają ze sobą dość paliwa i żywności.

Do tego dochodzą inne braki rosyjskiej armii – choćby pękające opony ciężarówek. Federacja Rosyjska uważana jest za kleptokrację, gdzie wszystko jest kontrolowane przez oligarchów i złodziei, którzy okradają także własną armię. Te opony wojskowych ciężarówek pękają, bo nie zostały wymienione na nowsze. Albo je wymieniono na naj-

tańsze opony niskiej jakości. Żołnierze dostają mało jedzenia, jeśli w ogóle coś dostają – widzieliśmy to podczas manewrów w Białorusi, gdy prosili o żywność Białorusinów.

Jest dość dowodów na to, że rosyjska armia nie jest w dobrej formie. Także gdy chodzi o dowództwo. Nie mają silnej kadry podoficerskiej. Sierżanci to po prostu starsi żołnierze, którzy awansowali. Tymczasem w zachodnich armiach to sierżanci są kręgosłupem armii, jej pamięcią. Uczą młodych żołnierzy, jak przetrwać na wojnie.

Rosjanie mają więcej oficerów niż jakakolwiek inna armia, ale muszą oni i uczyć swoich ludzi, i dowodzić nimi, a to naraz za dużo. Z kolei poziom generałów jest bardzo niski – widać to po ich decyzjach i wypowiedziach. Jeden z nich stwierdził, że to nieprawda, iż rosyjscy żołnierze są wystawieni na promieniowanie przy elektrowni w Czarnobylu, bo w czasie II wojny światowej byli tam partyzanci i nic im nie dolegało. Przecież wtedy nie było tam elektrowni jądrowej! Ale tak właśnie jest w rosyjskiej armii i w Rosji – na szczycie nie chcą inteligentnych ludzi, lecz takich, którym mogą ufać. Tak jest też w najwęższym kręgu Putina. To wszystko złożyło się na katastrofalnie błędną ocenę sytuacji w Ukrainie.

Skoro tak jest – a zakładam, że wiedziały o tym także zachodnie wywiady – to czemu spodziewano się szybkiej klęski Ukrainy? 24 lutego jeden z niemieckich ministrów powiedział ambasadorowi Ukrainy, że jego kraj upadnie po 48 godzinach.

Jeśli miałbym być całkiem szczery, to ja też nie sądziłem, że Ukraina się obroni. Wielu moich kolegów po fachu zapewne również tak czuło. To dlatego, że ulegliśmy propagandzie o wielkiej rosyjskiej armii, w którą wierzyli też sami Rosjanie. Nie widzieliśmy powodu, by w to nie wierzyć...

Po pierwsze, popatrzmy na dotychczasowy bilans sił zbrojnych Rosji: walczyli w Czeczenii, Gruzji, Donbasie, Syrii. Jednak to były wojny przeciw słabszemu przeciwnikowi. A Ukraina nie okazała się słabsza, okazała się równa Rosji.

Po drugie, armie ukraińska i rosyjska wywodzą się z tej samej sowieckiej armii, miały tę samą doktrynę, ten sam sprzęt. Choć więc Ukraińcy się zreformowali, to jednak rozumieją rosyjską doktrynę i umieją to wykorzystać.

Po trzecie, wierzyliśmy w tę propagandę, bo jest zakorzeniona w armii sowieckiej z czasów zimnej wojny, i nie sądziliśmy, że mogła ona tak podupaść. W czasie około 10 lat *głasnosti* była możliwa bliska współpraca z Rosjanami. Byli w Kosowie [rosyjski kontyngent brał udział w NATO-wskich siłach KFOR w ramach operacji „Joint Guardian" w latach 1999-2003 – red.], byli na Bałkanach. Nie było wtedy powodów, by sądzić, że tak osłabną.

To „okno możliwości" się jednak zamknęło i nastąpiło 20 lat, podczas których nie mieliśmy dogłębnej wiedzy o stanie rosyjskiej armii. Z drugiej strony, nie wiedzieliśmy też wiele o ukraińskiej armii. To prawda, szkoliliśmy ich, wyposażaliśmy, ale ważnym czynnikiem dla naszych prognoz było to, co stało się w ubiegłym roku w Afganistanie. Tam też szkoliliśmy i wyposażaliśmy, a jednak afgańska armia ↦

REKLAMA

Ratujemy psy z Borodyanki!

41. dzień wojny na Ukrainie. 450 psów w porzuconym, słynnym wszędzie schronisku w Borodyance na wschód od Kijowa. Schronisko było słynne, bo zostało opuszczone. Nie było możliwości, aby dojechać tam wcześniej, bo teren był pod ostrzałem. Wszyscy spekulowali, że już nie ma po co jechać. Bo to niemożliwe, aby któryś pies przeżył.

Psy przez prawie 3 tygodnie były bez opieki, pożywienia i wody. Gdy wolontariusze tam jechali, nie wiedzieli, co zastaną i czy jakiekolwiek psy będą jeszcze na nich czekać.

Udało się wydostać około 190 psów. Reszta nie przeżyła tej gehenny. Psy poumierały z głodu, odwodnienia albo z głodu zjadały się wzajemnie. Borodyanka powitała ratunek wieloma ciałami martwych psów, makabrycznymi widokami i głośnym szczekaniem tych, które przeżyły.

Pierwsze 54 psy odebraliśmy z Kijowa wieczorem i zjechały do nas do tranzytowej stacji w nocy, kolejne 45 w południe. Czekamy na resztę.

Wynajęliśmy bydynek koło Lwowa, gdzie te i inne psy będą mogły odbyć swoją kwarantannę po stronie ukraińskiej, gdzie zostanie im udzielona natychmiastowa pomoc weterynarza po takim okresie wycieńczenia. Ze względu na restrykcje na granicy nie możemy ich zabrać do Polski. Nie pytajcie, czemu pomogliśmy. Mamy już 300 psów i kotów na kwarantannie na Zwierzęcym Folwarku. Ale nie mogliśmy odmówić. I teraz błagamy Was o pomoc wierząc, że ocalonych raz psów, które przeżyły ten horror, nie zostawicie.

Błagamy Was o pomoc dla psów z frontu.

Potrzebne są fundusze na dzierżawę budynku i placu przed nim. Musimy zapłacić za weterynarza, musimy zapłacić za kennele i ogrodzenia dla nich, musimy zapłacić za czipy, szczepienia i karmę oraz zatrudnić ludzi do opieki przez 30 dni lub dłużej. Na ten moment nie możemy wydostać ocalonych z Borodyanki psów. Jesteście ich jedyną nadzieją, Drodzy Państwo.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem DLA UKRAINY na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając **SMS** o treści **UKRAINA** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze
Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

↦ rozpadła się po tygodniu. Myślę, że Putin spodziewał się, że w Ukrainie będzie tak samo.

Chciałam wrócić do jeszcze jednego mylnego założenia – tym razem rosyjskiego. Skoro Rosjanie spodziewali się, że będą „wyzwalać" Ukraińców, jak to możliwe, że dopuszczają się tak barbarzyńskiego zachowania, takich okrucieństw wobec ludności?

Dopóki dowody nie zaczęły spływać z Mariupola, nie zdawałem sobie sprawy, jaki jest cel tej wojny. W ubiegłym roku Putin opublikował tekst, w którym twierdził, że Rosjanie i Ukraińcy są jednym narodem, że Ukraińcy zawsze byli Rosjanami itd. To było przygotowanie gruntu, ale jednocześnie było to wielkie kłamstwo, bo celem Putina jest ludobójstwo (ang. *genocide*). Od początku zamierzał wkroczyć do Ukrainy i zniszczyć wszystko, co ukraińskie, zniszczyć ukraińską kulturę, język i historię. To wszystko ma zniknąć. To o tym mówił jego tekst, ale nikt z nas tego wówczas nie zauważył.

W ciągu pierwszych dwóch-trzech tygodni wojny było dużo zniszczeń uniwersytetów, bibliotek, ośrodków kultury. Ale sądziliśmy, że to przypadkowe zniszczenia, skutki uboczne działań wojennych. Kiedy jednak w Mariupolu zniszczono szpital i teatr, stało się jasne, że to nie jest przypadek. To były precyzyjne ataki i to one były celem. Tak samo jak centrum handlowe w Kijowie. To cywilne obiekty i nie ma mowy, by trafiono w nie przypadkiem.

Jakieś 10 dni temu zacząłem więc przypuszczać, że częścią planu Putina jest ludobójstwo narodu ukraińskiego. A teraz dowiedzieliśmy się o masakrze w Buczy. To szokujące, ale nie zaskakujące, bo jest jak z podręcznika na temat II wojny światowej i nazistów. To jeszcze bardziej sprawia, że deklaracje Putina o „denazyfikacji" Ukrainy są niemoralne. To on stosuje nazistowskie metody, wręcz kopiuje nazistów.

W rejonie Mariupola rosyjskie wojska porwały kilkunastu burmistrzów, a w ich miejsce wprowadzono prorosyjskich działaczy. Te osoby zostały wcześniej wybrane i przygotowane. Autobusy wywożą ludzi z Mariupola w głąb Federacji Rosyjskiej, zabiera się im dokumenty. Przecież te autobusy też musiały zostać przygotowane. Podobnie jak obozy filtracyjne, gdzie ci ludzie mają trafiać. Takich rzeczy nie organizuje się z dnia na dzień. Widzę, że nie przekonuję pani?

Ja też nie sądziłem, że Ukraina się obroni. Podobnie wielu moich kolegów po fachu. Ulegliśmy propagandzie o wielkiej rosyjskiej armii.

Milczę, bo jestem wstrząśnięta tym, co Pan mówi. To oznacza, że ta wojna może być jeszcze straszniejsza.

Wiem, że to straszne. Ale trzeba po prostu połączyć kropki. Spojrzeć na ten horror z dystansu i zapytać: jak do niego doszło?

Opierając się na swoim doświadczeniu analityka wojskowego i historyka, jak Pan sądzi, jakie scenariusze są możliwe? Dokąd skieruje się Putin? Kraje bałtyckie, Polska?

Zanim Ukraina pokazała, jak znakomicie potrafi się bronić, myślałem: „To pierwszy zaatakowany kraj. Kto będzie następny? Państwa bałtyckie, Polska, Słowacja, Czechy, Mołdawia oraz Gruzja – wszystkie są zagrożone". Teraz jednak, kiedy widzimy, jak słaba jest armia rosyjska, że po miesiącu walk nie jest w stanie opanować nawet części Ukrainy, to jakim sposobem miałaby ruszyć na państwa bałtyckie? Ona nie jest w stanie zagrozić Polsce – również ze względu na NATO-wskie wojska. Powiedziałbym tak: dziś zagrożenie dla państw członkowskich NATO w Europie Środkowo-Wschodniej jest mniejsze niż miesiąc temu.

Rosja zmieni teraz strategię?

Twierdzenia Rosji, że ogranicza swoją operację, że to koniec fazy pierwszej i będą koncentrować się na Donbasie, to oczywiście kłamstwa. Oznacza to tylko, że ponieśli porażkę, starając się zająć Kijów. W języku wojskowym funkcjonuje określenie „kulminacja". Jeśli następuje kulminacja, to znaczy, że nie możesz posunąć się dalej, jesteś wyczerpany i musisz uzupełnić zasoby, przegrupować się i skorygować plany. Do tego punktu doszli Rosjanie po miesiącu walk. Właściwie to oni ten moment przeciągnęli, powinni zrobić przerwę wcześniej, ale bali się Putina. W tej armii nie ma utalentowanych dowódców. W Rosji status wojskowego jest społecznie niski, więc inteligentni ludzie idą gdzie indziej. Są poborowi – ale tu też ci europejscy Rosjanie, którzy mają pieniądze lub kontakty, załatwiają sobie zwolnienie ze służby. To jednak osobny temat.

Zadaję sobie pytanie, dlaczego Putin zdecydował się zaatakować Ukrainę pod koniec lutego, w najgorszym czasie? Hitler i Napoleon mogliby udzielić mu rady, by nie podejmować działań wojskowych o tej porze roku. Putin obsesyjnie interesuje się historią, więc pewnie zna ich doświadczenia. Poza tym w tym roku w Europie odbędzie się kilkanaście wyborów. Gdyby Putin poczekał z wojną, mógłby wprowadzić w nich trochę zamętu i odwrócić uwagę od siebie. Czemu nie poczekał, aż Niemcy certyfikują Nord Stream 2? Miałby wtedy większą możliwość presji ekonomicznej. Dlaczego nie czekał? Przecież to szaleństwo zaczynać wojnę teraz.

No właśnie – dlaczego?

Moim zdaniem być może nie mógł czekać, bo nie ma już czasu z powodu jakiejś choroby. Putin jest hipochondrykiem, ma osobę od sprawdzania jedzenia, a pandemia tylko pogłębiła jego paranoję. Jest mnóstwo plotek na temat jego stanu zdrowia – gdyby któraś okazała się prawdziwa, to rzeczywiście może już nie mieć wiele czasu.

Możliwe też, że wziął pod uwagę czynnik populacyjny. Po pierwsze, średnia życia mężczyzn w Rosji jest bardzo niska. Po drugie, rodzi się tam coraz mniej dzieci i ten proces postępuje. To ostatni moment, kiedy Putin ma do dyspozycji tak wielką grupę poborowych. Jednak sądzę, że wyjaśnienie medyczne jest bardziej prawdopodobne.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Rozmowę przeprowadzono 4 kwietnia 2022 r.

Rozszerzoną wersję wywiadu publikujemy na naszej stronie internetowej **powszech.net/caddick**

REKLAMA

Szczęście na wiosnę: PRZEKRÓJ w prenumeracie!

rysunek: Igor Kubik

Aby wesprzeć działania Fundacji PRZEKRÓJ, mogą Państwo przekazać 1% podatku, wpisując w zeznaniu podatkowym nr KRS 0000750752.

PORTRET

ETIUDA REWOLUCYJNA

Krótki i gwałtownie przerwany żywot Thomasa Sankary to opowieść o Afryce, przyjaźni i zdradzie. Oraz o tęsknocie za dobrym przywódcą, któremu można zawierzyć los bez obawy, że okaże się szubrawcem lub głupcem.

WOJCIECH JAGIELSKI

Zapytani o najwybitniejszego ze swoich przywódców, Afrykanie wymieniają zwykle południowoafrykańskiego patriarchę Nelsona Mandelę – wzór niezłomności, wybaczenia i zgody. Za zasługę poczytuje mu się także to, że oddał władzę młodszym już po pierwszej prezydenckiej kadencji, choć miał prawo sprawować ją przez dwie.

Wśród zasłużonych mężów stanu na kontynencie wymienia się też orędownika afrykańskiej jedności Kwamego Nkrumah z Ghany (1957-66), uosobienie uczciwości i skromności Juliusa Nyerere z Tanzanii (1964-85), ale też etiopskiego cesarza Hajle Selassjego (1930-36 i 1941-74) czy senegalskiego poetę Léopolda Senghora (1960-80), który jako pierwszy w Afryce dobrowolnie zrzekł się prezydenckiej władzy. Afrykanie czczą głównie „ojców narodów", pierwszych prezydentów niepodległych państw. Z młodszych wspomną jeszcze rewolucjonistę Samorę Machela z Mozambiku (1975-86) i porucznika Jerry'ego J. Rawlingsa z Ghany, który dwukrotnie, w roku 1979 i 1981, stawał na czele wojskowych puczów, a potem aż do 2001 r. rządził jako cywil i zaprowadził w kraju taki porządek, że do dziś uchodzi on za wzór demokratycznych swobód i gospodarczej zaradności.

Ale w serca młodszych mieszkańców lądu zapadł jeszcze ktoś inny; ktoś, kogo portrety wciąż pojawiają się na murach miast. Thomas Sankara z Burkina Faso – bo o nim mowa – rządził krótko i zginął młodo, nie dożywszy czterdziestki. Młodych uwiódł nie tym, co osiągnął, lecz tym, co osiągnąć zamierzał. Stał się ucieleśnieniem marzeń o dobrym przywódcy i uczciwej polityce rozumianej jako służba, a nie łup należny zwycięzcy. „Słuchał Boba Marleya i sam grał jego muzykę – wspominał jeden z ministrów Sankary. – I jak Marley tłumaczył nam, że najważniejszym wyzwaniem Afryki jest wyzbyć się mentalności niewolnika".

Po to właśnie wymyślił nowe imię dla swojego kraju: Burkina Faso, co w języku ludu Mossi znaczy Kraj Dumnych Ludzi.

Gorzki smak wolności

Sankara wywodził się z Mossich, ale płynęła w nim także krew Fulanów. Jego przodkowie mieli tu swoje wspaniałe królestwa, zanim zostali podbici przez przybyszów z Europy. Ziemie Mossich przypadły wtedy Francuzom, którzy nazwali je Górną Woltą (od górnego biegu tej wielkiej rzeki). Nowi władcy tak często rozdzielali ziemie Mossich między swoje rozmaite posiadłości w zachodniej Afryce, że kiedy w końcu utworzyli z nich osobną kolonię Górnej Wolty, przezywali ją szyderczo „afrykańską Polską".

Sankara miał 11 lat, gdy Francuzi uznali, że kolonializm przestał się opłacać, i zwrócili Górnej Wolcie wolność. Był rok 1960, nazwany Rokiem Afryki, bo niepodległość proklamowało wtedy półtora tuzina kolonii Francji, Wielkiej Brytanii, Belgii i Włoch. Drugie tyle ogłosiło niepodległość w kolejnych latach tej dekady – w efekcie lata 60. XX w. okrzyknięto Dziesięcioleciem Wolności.

Do historii młodość niepodległej Afryki miała jednak przejść jako Zmarnowane Dekady: czas rozczarowań i upadku. Zachwyt wolnością szybko minął, a niedawni bohaterowie, ojcowie niepodległości, odurzeni władzą przemienili się w tyranów. Młode państwa, wyniszczone epokami niewolnictwa i kolonializmu, nie udźwignęły samodzielności. Ich granice, wykreślone na mapie przez europejskich panów, nie łączyły, lecz dzieliły. Ich gospodarki przejmowały koncerny z dawnych metropolii, a przeszczepiona z Europy demokracja wyradzała się w dyktaturę.

Zbrojne zamachy stały się jedynym sposobem zmiany prezydentów i premierów. Rewolucyjnie nastawieni zamachowcy w mundurach próbowali przerwać zaklęty krąg beznadziei. Inni po prostu zagrabiali władzę. Ale także przewroty nie przyniosły ratunku. Generałowie, którzy obalali prezydentów, sami wkrótce stawali się dyktatorami. Generałów obalali więc pułkownicy, a pułkowników – kapitanowie i porucznicy. ↦

Thomas Sankara, Francja, luty 1986 r.

PATRICK AVENTURIER / GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES

Kiedy w 1983 r. Thomas Sankara stanął na czele zamachu stanu, przejął władzę i ogłosił rewolucję, miał 33 lata i nosił stopień kapitana. Był to już czwarty przewrót w Górnej Wolcie. Sankara uczestniczył we wszystkich wcześniejszych i wchodził do wszystkich rządów powoływanych przez zamachowców. Z każdego był też wyrzucany, bo jako nienasycony rewolucjonista nie zadowalał się samą władzą. Oskarżał towarzyszy o zdradę ideałów, a oni wtrącali go do więzienia.

Właśnie z więzienia trafił prosto do prezydenckiego pałacu. Żołnierze z plutonu egzekucyjnego szykowali się już do jego rozstrzelania, gdy najbliższy przyjaciel Sankary, Blaise Compaoré, wzniecił w wojsku bunt, dokonał nowego przewrotu, a przejętą władzę oddał uwolnionemu kapitanowi.

Rewolucja!

Jego znakiem firmowym stał się wiśniowy beret komandosa i polowy mundur, które nosił z upodobaniem także jako prezydent. Wizerunek ten zyskał mu przydomek „afrykańskiego Che Guevary", za którego wyznawcę się zresztą uważał. Z rewolucyjnych nauk Argentyńczyka za najbliższe sobie przyjął przykazania dyscypliny i samowystarczalności.

Rewolucją zaraził się na Madagaskarze od miejscowych młodych oficerów, którzy planowali zbrojne powstanie – początek świetlanej przyszłości. Sankara pojechał tam na kurs dla spadochroniarzy. W tamtych czasach w Afryce najlepszą przyszłość zapewniała młodym ludziom służba w wojsku albo stan duchowny. Ojciec Sankary chciał pokierować syna na księdza, ale Thomas wybrał mundur. Dzięki wojskowemu stypendium zrobił maturę, skończył akademię wojenną, spadochroniarskie kursy we Francji, Maroku i w końcu na ogarniętym rewolucyjną gorączką Madagaskarze. Wracał do kraju, mając 23 lata i głowę pełną marzeń, buntu i wiary, że rewolucja jest lekarstwem na wszystko.

Zaczął ją od siebie. Zabronił wieszać swoje portrety w urzędach, kazał obniżyć prezydencką pensję do pół tysiąca dolarów, obniżył też zarobki ministrów i posłów. Zarządził, że wszyscy państwowi dostojnicy jedną z miesięcznych pensji mają wpłacać na fundusz dobroczynny. Wypowiadając wojnę wygodom, kazał też wymontować ze swego gabinetu klimatyzację, sprzedał służbowe mercedesy, a dygnitarzom zapowiedział, że będą mogli używać wyłącznie najtańszych samochodów renault 5. Sam również takiego używał, choć z domu do pracy najchętniej jeździł na motocyklu lub rowerze. Albo przychodził pieszo. Ilekroć udawał się w zagraniczną podróż, dzwonił do prezydentów z sąsiedztwa z pytaniem, czy nie wybierają się w tę samą stronę i czy nie mógłby skorzystać z podwózki.

Jego znakiem firmowym stał się wiśniowy beret komandosa, który nosił z upodobaniem także jako prezydent. Wizerunek ten zyskał mu przydomek **„afrykańskiego Che Guevary".**

W pośpiechu

Sankara nakazał, aby co najmniej dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki, wszyscy obywatele kraju oddawali się obowiązkowej gimnastyce, a w ramach wspierania rodzimego przemysłu bawełnianego polecił urzędnikom, żeby do pracy nie przychodzili w europejskich garniturach, lecz w tunikach wyrabianych lokalnie i na miejscową modłę.

Ludziom się to podobało. Lubili prezydenta, choć jeszcze bardziej się go bali. Nie pobłażał sobie, ale i od innych wiele wymagał. Nie znosił sprzeciwu, a jako żołnierz przedkładał dyscyplinę nad obywatelskie swobody. Nosił nie tylko mundur, ale też rewolwer, a rządził wydając rozkazy, jak w wojsku.

Rozkazy wydawał jako szef Rady Rewolucyjnej, wykonywały je Komitety Obrony Rewolucji, sprawiedliwość zaś zaprowadzały ludowe trybunały rewolucyjne. W kraju zdelegalizowano partie opozycyjne, związki zawodowe i strajki.

Sankara spieszył się z rewolucją, jakby wiedział, że czasu nie będzie miał wiele. Kazał sadzić drzewa i posadzono ich dziesięć milionów. Tłumaczył, że w ten sposób powstrzyma się pustynnienie kraju – od północy napierała Sahara – i użyźni ziemię. Tę ostatnią odebrał bogaczom i rozdał chłopom. „Ten, kto cię karmi, jest twoim panem, a ty jego niewolnikiem" – powtarzał. Zlikwidował też podatek rolny, podniósł ceny skupu, kazał kopać studnie i kanały nawadniające. Budował drogi i szkoły – za jego rządów liczba uczących się dzieci wzrosła czterokrotnie.

Przepowiadano, że doprowadzi kraj do katastrofy. Że w Burkina Faso zapanuje głód. Tymczase m w państwie Sankary zaczęto wytwarzać tyle żywności, że nie trzeba już było sprowadzać jej z zagranicy.

Trudne czasy

Przekleństwem prezydenta okazały się czasy, w których żył. W świecie podzielonym między Zachód i Wschód nie było miejsca na niezależność ani na poszukiwania innej, trzeciej drogi. A właśnie samodzielność i samowystarczalność były najważniejszymi celami rewolucji Sankary. Nazywał to drugą walką o wolność – tę prawdziwą, a nie jedynie formalną. Nie przyjmował nawet zagranicznej pomocy, tłumacząc, że inaczej Afryka nigdy nie stanie na własnych nogach i będzie zdana na obcych.

Bezkompromisowy i uparty, szybko narobił sobie wrogów. Francuzi, którzy po staremu uważali się za patronów dawnych kolonii w Afryce, mieli go za wywrotowca, który chce się od nich uwolnić i podburza przeciw nim sąsiadów. Amerykanom nie podobały się rewolucyjne pomysły Sankary. Z kolei dla komunistycznego Wschodu był zanadto niepokorny. Nie znosili go sąsiedzi, bo wytykał im wygodnictwo i prywatę. Nie mógł go ścierpieć także libijski pułkownik Muammar Kaddafi, samozwańczy przywódca afrykańskich rewolucjonistów. Przywykły do hołdów, miał za złe prezydentowi Burkina Faso, że nie widzi w nim mistrza i że nie dość nisko się kłania.

Kiedy jego towarzysze, zachęceni przez zagranicznych wrogów, postanowili odebrać mu władzę – twierdząc, że idzie zbyt szybko i złą drogą – Sankara był już sam. Przeciwko sobie miał prawie wszystkich.

Zdradzony po południu

Dochodziło pół do piątej, gdy spóźniony Sankara – w białej bawełnianej koszulce i czerwonych spodniach od dresu – przyjechał na naradę Rady Rewolucji. Był czwartek, 15 października 1987 r., a w poniedziałki i czwartki, zgodnie z jego zarządzeniem, wszyscy mieszkańcy Burkina Faso uprawiali sport. Prosto z posiedzenia wybierał się na boisko.

Narada ledwie się zaczęła, gdy na dziedziniec zajechały wojskowe pojazdy, a żołnierze z karabinami wbiegli do budynku. Alouna Traore, który uczestniczył w posiedzeniu i jako jedyny wyszedł z niego żywy, opowiadał potem, że najpierw rozległy się strzały, a później żołnierze zawołali z korytarza, by zebrani wyszli z podniesionymi rękami.

Sankara dał znak towarzyszom, żeby nie ruszali się z miejsca. „To po mnie przyszli" – powiedział. Odłożył na stół rewolwer – bo tylko on był uzbrojony – i z podniesionymi rękami wyszedł na korytarz.

Wtedy rozległa się karabinowa palba. Prezydent dostał kilkanaście kul: dwie w głowę, siedem w pierś, kilka w ramiona i nogi. Zaraz potem zamachowcy zgładzili pięciu jego towarzyszy, a także siedmiu żołnierzy ze straży przybocznej.

Wyrok na Sankarę wydał Blaise Compaoré. Nie wziął udziału w naradzie – twierdził, że jest chory. To jego dom zamachowcy wyznaczyli sobie na miejsce zbiórki i stąd ruszyli do ataku. Wieczorem podano, że Sankara nie żyje, a Compaoré ogłosił się prezydentem.

Między braćmi

Wcześniej Sankara i Compaoré byli jak bracia. Niemal dosłownie, bo wychowali się w jednym domu: Blaise wcześnie stracił rodziców, a ojciec Sankary przygarnął go i traktował jak syna. Thomas, dwa lata starszy, był dla Blaise'a przewodnikiem i wzorem. Razem założyli muzyczny zespół, razem poszli do wojska, razem zarazili się na Madagaskarze rewolucją.

Po powrocie do kraju też byli nierozłączni. Uczestniczyli we wszystkich przewrotach, a kiedy Sankara został wtrącony do więzienia, Compaoré nie tylko ocalił mu życie, ale oddał władzę, samemu zadowalając się rolą zastępcy i prawej ręki. Sankara ufał mu bezgranicznie i nie miał przed nim tajemnic. Wierzył mu tak bardzo, że nie bał się go publicznie beształ, jeśli się z nim nie zgadzał.

Compaoré nie był rewolucjonistą aż tak zagorzałym jak Sankara. Przewroty uważał za najpewniejszy sposób zdobycia władzy, a władzę – za cel najwyższy i jedyny. Cenił skuteczność, a rewolucyjne zacietrzewienie Sankary i jego konflikty ze wszystkimi uważał za szkodliwe. Blaise nie wojował z nikim, za to dla każdego starał się być użyteczny – zarówno dla Amerykanów i Francuzów, dla Kaddafiego, jak też dla hołdującego tradycji i zapatrzonego we Francję Félixa Houphouët-Boigny'ego, prezydenta sąsiedniego Wybrzeża Kości Słoniowej.

Dochodziło pół do piątej, gdy spóźniony Sankara – w białej koszulce i czerwonych spodniach od dresu – przyjechał na naradę Rady Rewolucji. **Prosto z niej wybierał się na boisko.**

To właśnie Houphouët-Boigny (zwany „Wielkim Baobabem") poznał go z przyszłą żoną. Chantal była pięknością z Abidżanu. Nie znosiła Sankary i podburzała męża przeciw niemu.

Compaoré nie wzdragał się nawet przed interesami z liberyjskim watażką Charlesem Taylorem żyjącym z wywoływania wojen u sąsiadów, aby łupić ich skarby (uznany za wojennego zbrodniarza, Taylor został przed dziesięcioma laty skazany na 50 lat więzienia przez międzynarodowy trybunał).

Nic dziwnego, że mając dość wiecznego buntownika, wszyscy oni postawili na Compaorégo.

Duch Sankary

Compaoré ogłosił, że Sankara umarł śmiercią naturalną. Taki akt zgonu, wystawiony przez wojskowego lekarza, wręczono żonie prezydenta, Mariam. Nie wydano jej ciała, nie powiedziano nawet, gdzie został pochowany.

Nowy przywódca zrobił wszystko, by ludzie zapomnieli o Sankarze. Obwieścił, że rewolucja się skończyła. „Koniec z mrzonkami" – zapowiedział. A ludzie, zmęczeni rygorami, odetchnęli z ulgą. Compaoré próbował nawet zmienić wymyśloną przez Sankarę nazwę państwa, ale na to mieszkańcy Burkina Faso nie chcieli się zgodzić.

Kiedy skończyła się zimna wojna, następca Sankary przystał do zwycięskiego zachodniego obozu. Oddawał w prywatne ręce – najczęściej zachodnie, bo bogate – upaństwowione przez poprzednika kopalnie złota, manganu, żelaza i miedzi. Statystyki pokazywały, że gospodarka kwitła, ale zyski trafiały jedynie do kieszeni elity, a biedacy, zwłaszcza na wsi, pogrążali się w nędzy. Kraj, który za rządów Sankary próbował sam się utrzymać, musiał teraz sprowadzać żywność nawet w latach urodzaju.

Compaoré panował jak dyktator ponad ćwierć wieku – nikt wcześniej w Burkina Faso nie rządził tak długo. Ale duch Sankary nie dawał mu spokoju. Z czasem młodzi, którzy sami nie mogli pamiętać rewolucjonisty, zaczęli przywoływać jego imię, by w ten sposób protestować przeciw tyranii i korupcji, jakie zapanowały w Burkina Faso.

Kres rządów przyszedł jesienią 2014 r., gdy Compaoré próbował poprawić konstytucję i ubiegać się o kolejną pięcioletnią kadencję. W stolicy wybuchły rozruchy, których policja i wojsko nie były w stanie stłumić. Niosąc portrety Sankary, demonstranci wzięli szturmem i puścili z dymem gmach parlamentu, siedzibę rządzącej partii i państwową telewizję, a potem ruszyli na pałac prezydencki. W 27. rocznicę śmierci Sankary Compaoré uciekł z oblężonej siedziby: przysłani na ratunek francuscy spadochroniarze wywieźli go do Wybrzeża Kości Słoniowej.

Zbrodnia i kara

Nowe władze zaraz nakazały śledztwo, by wyjaśnić, jak zginął Sankara. Na jednym ze stołecznych cmentarzy odnaleziono jego szczątki. Nowy rząd oskarżył Blaise'a Compaorégo o zabójstwo i wydał za nim list gończy.

W październiku 2021 r., w kolejną rocznicę śmierci Sankary, w Burkina Faso rozpoczął się sąd nad jego zabójcami. Przerwano go na początku tego roku, bo w Ouagadougou doszło do kolejnego (ósmego już) zamachu stanu i władzę przejęli kolejni wojskowi.

Wiosną proces wznowiono. Zarzuty postawiono czternastu osobom, ale na ławie oskarżonych zasiadło dwanaście z nich. Zabrakło głównego oskarżonego Blaise'a Compaorégo (w lutym skończył 71 lat), a także Hyacinthe'a Kafando, dowódcy szwadronu śmierci. 6 kwietnia sąd uznał Compaorégo winnym śmierci Sankary i wymierzył mu karę dożywocia (oskarżenie domagało się 30 lat więzienia).

Wybrzeże Kości Słoniowej, które przygarnęło Compaorégo i przyznało mu paszport, już dawno ogłosiło, że swoich obywateli nikomu nie wydaje. Nawet najlepszym sąsiadom.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

WOJCIECH

Bonowicz:
Noc i dzień

Z WOJNĄ NIE DA SIĘ ŻYĆ, A JEDNAK ŻYJEMY z nią, a niebawem będziemy z nią świętować. Pogodne czy niepogodne, święta przecież się odbędą. W kościołach będą stukały kołatki, a potem znów zabiją dzwony. Zabiją radośnie...

Aż mnie dreszcz przeszedł, kiedy raz jeszcze przeczytałem ostatnie zdanie. Wyjdziemy z ciemności do światła? Z grobu do domu? Z zimy w wiosnę? Siedzimy przy stole z przyjaciółmi, częstujemy się – choć jeszcze post – makowcem i babką (na zapas, bo nie wiadomo, czy spotkamy się w okresie wielkanocnym), a ja myślę tylko o tym, jak by to było, gdybyśmy usiedli przy podobnym stole osiemset kilometrów stąd na wschód. Radość nie jest zakazana, radość jest potrzebna – mobilizuje. Radość jest ludzka, mówi nam, że człowiek człowiekowi powinien być szczęściem, nie wrogiem. Śmiejemy się z tego, co się komu ostatnio przydarzyło, ze wspomnień, w których nawet trudne doświadczenia wyglądają jakoś lepiej, zabawniej, z dorosłych pomyłek i dziecięcych przejęzyczeń („Muchu, idź stąd!"). Tylko w żartach o Putinie tkwi jakiś kolec. Śmiejemy się niby tak samo, ale nie ma w nas radości.

O wojnie mówimy mało. Jej obecność jest tak dojmująca, że nie ma potrzeby o niej przypominać. Każdy przyszedł z głową pełną obrazów. Każdy przyszedł z odbytymi już dyskusjami. Nie mówi się o Rosjanach, nie mówi o milczącym papieżu. Kiedy robimy wspólne plany, to z zastrzeżeniem: „Zobaczymy, jak to będzie w czerwcu, w lipcu". Planujemy, nie planując. Chcemy bardzo, żeby wojna skończyła się jak najszybciej. Żeby już nikt nie musiał cierpieć, bać się, uciekać. Żeby nie trzeba było się wstydzić własnej bezsilności. Ale przygotowujemy się też na jej długie trwanie. Wojna stoi nam za plecami, jej cień pada nam na głowy. Wszystko wiadomo i nie ma co mówić.

Odrywamy się, ale przecież się nie oderwiemy. Musimy jakoś włączyć ją w naszą Wielkanoc – wszystko jedno, religijną czy świecką. Wielkanoc ma dość symboli dla wszystkich: dla tych, którzy wierzą, dla tych, którzy nie, i dla tych, którzy sami nie wiedzą. Tych, którzy nie wiedzą, może być w tym roku więcej niż kiedykolwiek... Jezus w ciemnicy to Jezus uprowadzony i torturowany. Droga krzyżowa to opowieść o tym, że zanim przyjdzie śmierć, dzieje się coś gorszego od śmierci. Koszyk z jedzeniem to przypomnienie, by nieszczęśliwych nie zostawiać samym sobie. Grób to po prostu grób, ale też zbombardowany budynek i zwłoki pod gruzami. Od ciała w grobie straszniejsze są ciała na ulicach. Od pojedynczego grobu straszniejsze są całe miasta, które stały się grobami.

Wojna to Wielki Piątek. Niebo pociemniało. Krzyk opuszczonego odbił się od ciemnego sklepienia i wrócił między ludzi. Nie wiadomo, co dalej. Wszystkie nadzieje umarły. Dolina śmierci zdaje się nie mieć końca.

Ale potem dzieje się coś jeszcze. Płonąca świeca, jak światło latarki nad czołem, jest symbolem przejścia. Czasem trzeba iść długo, bardzo długo, przez podziemne korytarze. Jeszcze nie można sobie pozwolić na... Jeszcze nie można pragnąć – ale już... Kobiety ścielą prowizoryczne posłania, myją naczynia, robią posiłek z tego, co udało się uratować. Mężczyźni noszą wodę, uprzątają gruz, zmieniają się na czatach. Życie jest dyskretne, ostrożne, nieufne – ale trwa. Ulice nie są jeszcze ulicami, a domy domami, ale jest nadzieja, że kiedy koszmar się skończy, słowa znów przylgną do rzeczy, a rzeczy do słów. Na razie wschód słońca nie oznacza, że zaczął się dzień.

Ale kiedyś się zacznie. Kiedyś się zacznie. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się pod sygn. akt I Ns 696/20 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Zbigniewie Więckowskim, zm. 19 sierpnia 2019 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się pod sygn. akt I Ns 775/21 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Dobrowolskim, zm. 7 maja 2004 r. w Ryni, ostatnio stale zamieszkałym w Ryni.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 859/21 toczy się postępowanie z wniosku Dariusza Kozłowskiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Woźbin, gm. Cegłów, oznaczonej w ewidencji gruntów numerami: 5/2, 6/2 o łącznej powierzchni 1,9348 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych a w szczególności nieznanych właścicieli nieruchomości, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenienie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 202/21 postępowanie z wniosku Barbary Bazarnik o stwierdzenie nabycia spadku po Anieli Kosica, zm. 28 marca 2021 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo do lokalu mieszkalnego położonego w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Suwerenni dzięki Wam!

Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach.

Ks. Adam Boniecki

1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM
nr KRS 0000125605

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:
Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji:
powszech.net/dar

OGŁOSZENIE OPP // RYSUNEK JOANNA RUSINEK / FOT. GRAŻYNA MAKARA

ŚWIATŁO NA CZAS MROKU

Od ponad 50 lat Erich Busse działa na rzecz pojednania polsko-niemieckiego. W ostatnich latach pojęcie pojednania wydawało się zużyte. Wojna w Ukrainie pokazuje, że tak nie jest.

MATEUSZ POJNAR

Majdanek, rok 1968. Piękne słoneczne lato. Osiemnastolatek z Niemiec wschodnich niedawno zdał maturę i pierwszy raz jest w Polsce. Widzi dawne komory gazowe. Ma poczucie, że czas stoi tutaj w miejscu.

Z pastorem Erichem Bussem siedzimy na rynku w Bytomiu Odrzańskim, dawnym Beuthen an der Oder. To miasteczko niedaleko Zielonej Góry. Też świeci słońce. Erich mruży oczy, jak wtedy na Majdanku.

– Przyjechałem wtedy do Lublina w niedzielę wczesnym rankiem – wspomina. – Miałem adres pewnej pani. Zapukałem. Przeprosiła, że jest jeszcze śpiąca, bo była na urodzinach. Poszliśmy potem na Majdanek, pokazała mi teren. W komorze gazowej widziałem w betonie te ślady po palcach. Ci ludzie tak mocno opierali się o nią, bo chcieli się czegoś chwycić, gdy umierali. To wywarło na mnie wielkie wrażenie: że umierający ludzie są w stanie zostawić ślady w betonie. Wtedy wyobraziłem sobie ich ból i strach.

Kwestia pokuty

Erich Busse, rocznik 1949, mówi, że podziwiał swoich rodziców za to, jak zachowali się podczas wojny.

– Wiem, że w jej trakcie nie współpracowali z nazistami, ale nie należeli też do podziemia. To byli prości ludzie, matka nie umiała czytać – wspomina. – Szanowałem ich za to, że oddawali ostatnią rzecz, jaką mieli, żeby pomóc drugiemu człowiekowi. Starsza siostra mojej matki w czasie wojny ukrywała żydowską rodzinę. Innym prześladowanym pomagała w znalezieniu schronienia. Dla mnie była światłem, za którym chciałem iść.

52 lata temu młody Busse jedzie do Lublina w ramach Aktion Sühnezeichen (Akcji Znaku Pokuty). Organizacja została założona w 1958 r. przez niemieckich protestantów. Młodzi ludzie z obu części podzielonych Niemiec jeździli do krajów, które okupowali naziści. Ci z NRD częściej do Polski, ci z Niemiec zachodnich także do Izraela. Jeździli, aby pracą swoich rąk budować porozumienie z narodami, które najbardziej ucierpiały przez nazistowską okupację.

MATEUSZ POJNAR

Pastor Busse na cmentarzu w Bytomiu Odrzańskim, marzec 2022 r.

Matka Ericha Bussego dużo opowiadała jemu i jego młodszej siostrze o wojnie i wiążącym się z nią okrucieństwie. Pastor mówi dziś, że już jako nastolatek podjął decyzję, iż gdy dorośnie, nie będzie milczał, kiedy kłamstwo będzie głośne, a nad wielkimi zbrodniami zapanuje urzędowe milczenie.

– Takie milczenie też jest kłamstwem. Wielkim kłamstwem – zaznacza. – Postanowiłem starać się, żeby to wszystko się nie powtórzyło. Akcja Znaku Pokuty spodobała mi się także z tego względu, że była niezależna od państwa NRD-owskiego i jego ideologii, w której tak naprawdę chodziło o podporządkowanie się Moskwie. Poznałem wtedy mnóstwo szlachetnych ludzi.

Erich Busse wspomina, że od razu zasmakował w polskiej kuchni. Jego matka – pochodząca z Wołynia, gdzie urodziła się w rodzinie niemieckich osadników – gotowała po polsku i ukraińsku.

– Dla mnie już wtedy, za komuny, wasz kraj był krainą wolności – wspomina. – W Polsce mogłem oglądać filmy o Beatlesach czy ekranizacje książek Güntera Grassa. A u nas nie.

„Tygodnik"

W Krakowie Erich Busse poznaje małżeństwo Czarników. Pyta, czy może zatrzymać się u nich dzień, może dwa. Mówią, że może zostać nawet dwa tygodnie. Odwiedza ich w drodze do Lublina. Czarnikowie będą traktować go jak syna.

Dlatego postanawia nauczyć się języka polskiego. To jeden powód. Drugi jest taki, że chce rozmawiać z Polakami w ich języku, „żeby być tym, który buduje mosty".

Rok później zwiedza Polskę już sam, autostopem po małych miasteczkach. Bierze ze sobą słownik z piętnastoma tysiącami słów.

– „Ja szukać dworzec", „ja szukać spać". Od tego się zaczęło – uśmiecha się dziś. – Potem czytałem polskie książki, słuchałem Radia Wolna Europa, chociaż strasznie zagłuszali. Dużo było o polskiej historii. Także Radia Warszawa, które mówiło sporo o „zgniłym Zachodzie", jak u nas w NRD. Nowe było tylko słownictwo.

W latach 70. Busse ma praktyki i wolontariat w „Tygodniku Powszechnym". – Członkowie tej redakcji, jak i załoga „Znaku", byli znani na Zachodzie – opowiada. – Tu się czuło ducha wolności. Zajmowałem się niemieckimi, angielskimi i amerykańskimi grupami, które w tamtym czasie waliły do redakcji i szukały kogoś, kto może ich zapoznać z sytuacją Kościoła w komunistycznej Polsce, kto może być tłumaczem i pokazać im miasto.

– To był dla mnie ważny okres – wspomina. – Poznałem Jerzego Turowicza, Stanisława Stommę, Józefę Hennelową, Mieczysława Pszona czy Krzysztofa Kozłowskiego, późniejszego ministra spraw wewnętrznych. Powiedzmy, że byłem takim „kolorowym ptakiem": nie pisałem żadnych artykułów, ale redakcja miała do mnie zaufanie. Opowiadali mi o kondycji polskiego Kościoła.

Wtedy poznaje również kardynała Karola Wojtyłę, późniejszego papieża. – Trzeba rozumieć ten czas: wtedy, w pierwszych latach Gierka, „Tygodnik" i Kościół katolicki mieli trochę więcej luzu. Wydawało się, że zaczynają się lepsze czasy, ale potem okazało się, że niekoniecznie – mówi Erich Busse.

Na celowniku Stasi

Busse angażuje się w działalność opozycyjną. Jego koledzy z niemieckich środowisk niezależnych inspirują się polską Solidarnością, a jego po prostu wkurza kłamstwo. Bo władza w NRD mówi, że Solidarność jest faszystowska.

– Od kłamstwa zaczyna się całe zło w polityce – powtarza dziś jak mantrę. – Zwykli szeregowi zbrodniarze nie zajmują się kłamstwem, tylko kradną albo zabijają. Zbrodniarze na górze potrzebują ↦

ARCHIWUM PRYWATNE

Kurs języka niemieckiego w Poczdamie (wówczas NRD) dla Polaków z Katowic. Pastor Erich Busse w środku, 1978 r.

↦ kłamstwa do uświęcenia swojej działalności.

– Po wybuchu Solidarności enerdowskie wojska były już gotowe, w namiotach blisko Odry – wspomina. – Była napięta atmosfera. Ludzie u nas bali się, że będzie kolejna wojna. Miałem wygłosić kazanie na Boże Narodzenie. Kościół był pełny. Mówiłem o prawdzie. O tym, że boimy się, iż do Polski znowu wejdą niemieccy żołnierze. Szkoda, która by wtedy powstała, byłaby nie do naprawienia przez następne kilkadziesiąt lat. Powiedziałem, że chcemy nie tylko modlić się o to, aby Polska sama mogła zdecydować o swojej drodze, ale że musimy też głośno mówić, iż Polska ma do tego prawo.

Zaczyna się inwigilacja Bussego i jego rodziny przez Stasi. NRD-owska bezpieka instaluje w jego otoczeniu kilku agentów. Pracuje wtedy we wschodnim Berlinie. Stasi nie tylko go inwigiluje – wysyła mu także znaki, że go obserwuje. To forma psychologicznej presji.

Historia się toczy. W listopadzie 1989 r. pada mur berliński. A Erich Busse nadal działa na rzecz pojednania. Po latach dostanie za to Nagrodę im. św. Brata Alberta czy odznaczenie Komandoria „Missio Reconciliationis" (Misja Pojednania).

Zapomniany Jochen Klepper

– Wśród cudów stworzenia Pana Boga jest język. Każdy język jest wielkim cudem i każdy ma wiele tajemnic – mówi Erich Busse. – Dbam o czystość języka. Konfirmanci czasem mnie pytają: ksiądz nie jest tylko księdzem, ale i nauczycielem niemieckiego?

Pastor jest też miłośnikiem niemieckiej literatury. Ostatnio ceni zwłaszcza twórczość urodzonego w Beuthen an der Oder Jochena Kleppera. A właściwie: Joachima Georga Wilhelma Kleppera – jednego z najwybitniejszych niemieckich pisarzy wieku XX, który tworzył też kościelne pieśni.

Klepper swego czasu był literacką gwiazdą. „Kiedy władzę w Niemczech objęli naziści, losy Kleppera i jego rodziny bardzo się komplikują – pisał w lokalnym „Tygodniku Krąg" Marek Grzelka. – Z powodu mieszanego niemiecko-żydowskiego małżeństwa traci pracę w radiu, znajduje nową w wydawnictwie Ullsteina, skąd zostaje wyrzucony z tego samego powodu. Pisze wiersze religijne, eseje i szkice o literaturze chrześcijańskiej. W 1934 r. przyjeżdża do rodzinnego Bytomia, by pojednać się z umierającym ojcem. Po ustawach norymberskich z 1935 sytuacja mieszanej rodziny bardzo się komplikuje".

Dalej Grzelka pisze: „10 grudnia 1942. Późny wieczór w domu Klepperów. W swoim dzienniku Jochen dokonuje ostatniego wpisu. »Po południu przesłuchanie na Gestapo. Umieramy więc. To także wola Boga. Dziś w nocy idziemy wspólnie na śmierć. Nad nami w ostatnich godzinach obraz błogosławiącego Chrystusa, który nas otacza. Pod jego spojrzeniem kończy się nasze życie«. Na kartce zapisuje »Uwaga! Gaz!« i wiesza ją na futrynie drzwi do kuchni. Żegna się z żoną i córką. Odkręcają gaz. Kładą się przytuleni do siebie na podłodze. Biorą tabletki nasenne. Rano znajdzie ich pokojówka".

Klepper wiedział, że jego żona i córka są skazane, że zginą w obozie śmierci, bo są Żydówkami. On mógł się uratować. Ale razem z nimi podjął decyzję o zbiorowym samobójstwie.

Tablica

Pierwszą książkę Kleppera Erich Busse czyta w wieku 20 lat. Jest zafascynowany jego poetyką. Fascynacja nie mija – przeciwnie: dziś, gdy Busse jest już na emeryturze, postanawia zdobyć jak najwięcej informacji na jego temat.

Pewnego dnia jedzie z Gorzowa, gdzie miał wykład, do Zgorzelca. Zjeżdża z drogi S3 do Bytomia Odrzańskiego. Ze swoją siostrą Lilli chodzą po bytomskim rynku. Spotykają Jana Pasiecznego, który mieszka obok dawnego, remontowanego właśnie ewangelickiego kościoła. – Opowiedziałem mu o Klepperze – wspomina Erich Busse.

Pasieczny wspomina dziś: – Zaprosiłem ich na kawę i zadzwoniłem do Rysia, żeby przyszedł i sobie z nimi pogadał. W końcu Erich dobrze mówi po polsku. To Niemiec, ale polski Niemiec.

Rysiu to Ryszard Szczygieł, regionalista, przez lata radny Bytomia. O miasteczku wie wszystko. – Późniejsza uroczystość odsłonięcia tablicy Kleppera na jego dawnym domu i samo nabożeństwo ekumeniczne to były poruszające chwile – wspomina dziś. – Dobrze, że jest człowiek, który działa na rzecz pojednania.

Erich Busse walnie przyczynił się do powstania tej pamiątkowej tablicy.

– Jaki jest mój brat? Najlepszy – uśmiecha się Lilli Busse. – To ważne, że Erich robi to, co robi. W tym kontekście istotna jest historia naszej rodziny. Rodzice urodzili się na Wołyniu za czasów ostatniego cara. Ojciec po I wojnie światowej był polskim obywatelem i służbę poborową odbył w polskim wojsku.

– I tak borykam się z historią naszej rodziny – dodaje Erich Busse.

I stali się mordercami

Gabinet burmistrza Bytomia Odrzańskiego Jacka Sautera, rok 2022. Chwilę po ósmej rano.

Burmistrz: – Jak ci się spało, Erich?

Busse: – Dobrze, bardzo dobrze. Ale jak pomyślę o tych wszystkich uchodźcach z Ukrainy, którzy uciekają przed wojną... Straszny dramat.

– Dla mnie Erich jest wielkim człowiekiem – mówi Sauter, który dostał od pastora krzyż wykonany z drutów z muru berlińskiego. – Nie spotkałem Niem-

ców, którzy negowaliby swoją winę, ale Niemcy zwykle niespecjalnie chcą o niej mówić. Erich Busse jest pierwszym, który opowiada mi o poczuciu winy, o próbie odkupienia. O budowaniu mostów. I o tym, że niemiecki naród musi to dźwigać na barkach. Że trzeba robić wszystko, by to się nie powtórzyło.

– Wydawało się nam, że żyjemy w bezpiecznych, spokojnych czasach, w których ludzkość zmądrzała – dodaje burmistrz. – Wojna w Ukrainie pokazuje, że tak nie jest. W Europie znowu państwo napada na sąsiada. To pokazuje, jak ważni są ludzie pokroju Ericha. Podczas uroczystości związanej z Klepperem wygłosił on jedno z najpiękniejszych kazań, jakie słyszałem w życiu.

Fragment z tej homilii: „Stoję przed wami jako Niemiec, tu, w tym bardzo starym kościele, ponieważ chcemy sobie przypomnieć urodzonego w tym mieście Jochena Kleppera. Mam świadomość tego, że jestem członkiem niemieckiego narodu, który przyniósł innym śmierć i zagładę. W Polsce wiele miejsc pamięci przypomina o tym. Ja urodziłem się po wojnie, mógłbym powiedzieć: to mnie nie dotyczy. Ale znam słowa »Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą«. Próbuję pojąć, jak to było możliwe, że została popełniona tak wielka zbrodnia. Było wielu przekonanych zwolenników Hitlera. Ale większość narodu niemieckiego bała się o swoje życie. I tak stali się oni narzędziem wojny i mordercami".

Gdy duchowny gości generała

Ryszard Szczygieł: – Kiedyś przyjechał do mnie Niemiec, który przed wojną mieszkał w niedalekim Drogomilu. Świetny człowiek. Dzwoni, wychodzę, zapraszam do środka. Zauważyłem, że w aucie są jeszcze dwie osoby. Zapytałem, kim są. Okazało się, że to jego córka i syn. Weszliśmy wszyscy do domu, żona przygotowała śniadanie.

– Ten człowiek, pan Hoffman, zaczął płakać – wspomina Szczygieł. – Poprosiłem koleżankę, tłumaczkę, żeby spytała, co się stało. On nigdy sobie nie wyobrażał, że po tej straszliwej wojnie Polak usiądzie z nim do stołu. Bardzo mnie to wzruszyło. W swojej byłej szkole przy Kościelnej powiedział mi: „*Ryszard, das ist meine liebe Schule!*". Odpowiedziałem: „*Herbert, meine auch*". Tyle że ja zacząłem do niej chodzić w 1953 r., a on w 1933. Później z żoną odwiedzaliśmy go w Niemczech. Pięknie nas przyjmował.

Włącza się Erich Busse: – Często pytają mnie: dlaczego ciągle zajmujesz się zmarłymi? Co nam to daje? Odpowiadam, że po pierwsze – oni zrobili w życiu coś dobrego i zasłużyli na pamięć. Musimy szanować ich dziedzictwo. Po drugie – w tak ciemnym czasie pokazali, że możliwe było żyć po ludzku, szanować życie drugiego człowieka, mimo że sami bali się o swoje. Dlatego to robię. W Niemczech bardzo wielu ludzi nie zajmuje się takimi rzeczami. Nie chcą o tym mówić. Księża też nie – obojętne, katoliccy czy ewangeliccy. Wtedy olbrzymia część ludzi albo była nazistami, albo nie robiła nic, by pomagać ofiarom. Smutne, czarne czasy.

Sauter: – A dziś? Trwa wojna rosyjsko-ukraińska, a tu prawosławny duchowny gości w cerkwi rosyjskiego generała. Nic się nie zmienia.

Busse: – Kiedy duchowni stoją blisko władzy, to już jest pole do działania diabła.

Jak to możliwe?

Pojednanie, czyli co? Zadaję to pytanie pastorowi Bussemu. Odpowiada, że w pojednaniu polsko-niemieckim chodzi nie tylko o cel, lecz także o proces: – To nie jest punkt, do którego dążymy, osiągamy go, a później odpoczywamy. Wielu ludzi angażuje się w pojednanie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Chciałbym, żeby było między nami lepsze porozumienie. Polacy pracują w Niemczech, ale mało wiedzą o naszym kraju. A z naszej strony jest o wiele gorzej. Ściana niewiedzy zaczyna się u nas za Odrą i dotyczy nie tylko Polaków. Pokój między Polakami i Niemcami jest potrzebny po to, żeby był pokój w Europie. I żebyśmy byli przykładem dla innych narodów.

Jak możliwe są rosyjskie zbrodnie w Ukrainie w roku 2022? A jak były możliwe te niemieckie w Polsce podczas II wojny światowej?

– Tyrani zapominają o jednej sprawie: że ten, kto dziś rządzi mocarstwem, nie wie, czy jutro będzie mógł rządzić swoim małym palcem – odpowiada Busse. – Do tego dochodzi rola rosyjskiej Cerkwi, która kiedyś wyrzuciła ze swojej wspólnoty nawet Tołstoja, a z całej carskiej rodziny zrobiła świętych, choć car przyczyniał się do cierpienia innych narodów.

– Ludzie nie mogą rezygnować z myślenia na rzecz dyktatorów – dodaje. – Zresztą na rzecz nikogo.

© MATEUSZ POJNAR

Autor jest dziennikarzem „Tygodnika Krąg", który ukazuje się w powiecie nowosolskim koło Zielonej Góry.

REKLAMA

NEW INUIT ART

WSPÓŁCZESNA SZTUKA INUITÓW Z KINNGAIT

WWW.ETHNOMUSEUM.PL

15 MARCA – 29 MAJA 2022

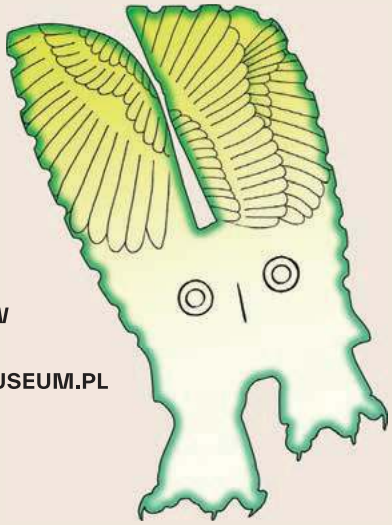

ORGANIZATORZY:

WEST BAFFIN ESKIMO CO-OPERATIVE LIMITED
Cape Dorset, Nunavut

FUNDACJA KULTURY I DZIEDZICTWA

PARTNERZY:

Canada

Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie

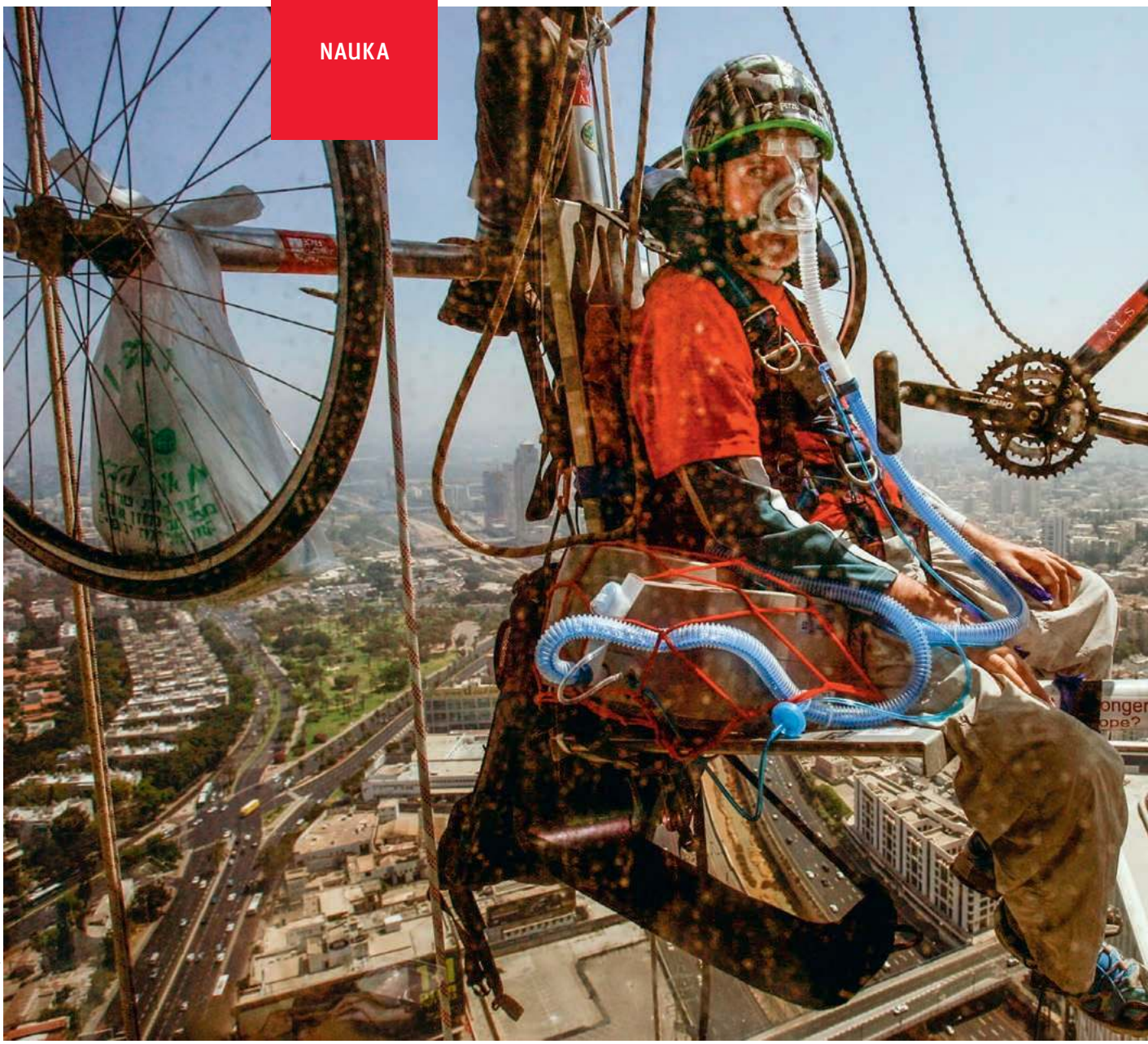

URIEL SINAI / GETTY IMAGES

OSTATNIA FURTKA

Siedem lat temu usłyszał diagnozę. Przed trzema laty stracił kontrolę nad ostatnim mięśniem. Dzisiaj jest pierwszym człowiekiem komunikującym się ze światem wyłącznie poprzez aktywność swojego mózgu.

ŁUKASZ LAMŻA

Stwardnienie zanikowe boczne (ALS) to choroba układu nerwowego powodująca stopniową utratę kontroli nad kolejnymi mięśniami. Pierwsze objawy to osłabienie, drętwienie, niezborność ruchów. Degeneracja postępuje jednak szybko, obejmując kolejne neurony. Bywa, że choroba zwalnia i przyspiesza albo tajemniczo oszczędza pewną partię mięśni. Stephen Hawking, cierpiący na jedną z odmian ALS, przez ostatnie 10 lat swojego życia komunikował się ze światem za pośrednictwem ostatniego mięśnia, który pozostawał pod jego świadomą kontrolą, zlokalizowanego na prawym policzku.

Felix Slamovics, Izraelczyk, który zachorował na stwardnienie zanikowe boczne. W czerwcu 2007 r., pięć lat po diagnozie, w ramach akcji społecznej wspiął się na jeden z wieżowców Centrum Azrieli w Tel Awiwie.

Standardowa medyczna skala stosowana przy ocenie postępów tej choroby, o nazwie ALSFRS, sięga od 0 do 48 punktów. Zdrowy, całkowicie samodzielny człowiek, który potrafi swobodnie oddychać, mówić, żuć, łykać, wejść po schodach i samodzielnie się ubrać, otrzymuje wynik 48. Wynik 0 oznacza już pełne uzależnienie od pomocników, lekarzy, rurki intubacyjnej i respiratora. Średnie tempo postępu ALS to mniej więcej jeden punkt na miesiąc, co oznacza zsunięcie się na dno skali w ciągu około czterech lat.

W wielu przypadkach najdłużej utrzymuje się kontrola nad powiekami i pionowymi ruchami oka – odpowiadają za to mięśnie, a więc i nerwy, zlokalizowane najbliżej mózgu. Są na świecie tysiące osób z ALS komunikujących się ze swoim otoczeniem wyłącznie poprzez mrugnięcia lub ruchy gałkami ocznymi – mówimy wówczas o zespole zamknięcia (*locked-in syndrome*, LIS). To właśnie taką metodą francuski dziennikarz Jean-Dominique Bauby podyktował swoją książkę „Skafander i motyl". Gdy nieruchomieją oczy, zatrzaśnięta zostaje ostatnia furtka pozwalająca na kontakt ze światem, a cokolwiek dzieje się w mózgu, tam też pozostaje. Mówimy wówczas o całkowitym zespole zamknięcia (CLIS).

Diagnoza

Całkowity zespół zamknięcia to jedna z bardziej tajemniczych jednostek w całej medycynie, przede wszystkim ze względu na to, że, niejako z definicji, bardzo trudno się dowiedzieć, jak wygląda aktywność umysłowa człowieka „zamkniętego". Obrazowanie mózgu jest oczywiście możliwe, co pozwala choćby orzec, że nie doszło do jego śmierci. Idealnie byłoby jednak „włamać się" jakoś do mózgu i odczytać intencje zamkniętego w nim człowieka. Od lat trwa wyścig naukowców o to, kto wyczyta więcej z aktywności mózgu na podstawie technik takich jak elektroencefalografia (EEG) czy czynnościowe obrazowanie rezonansem magnetycznym (fMRI).

W warunkach eksperymentalnych uzyskuje się coraz lepsze wyniki, jednak wszystkie najbardziej spektakularne doniesienia zawsze opierają się na przypadkach osób zdrowych lub choćby tylko częściowo „zamkniętych" – a więc wtedy, gdy możliwe jest niezależne potwierdzenie, co dzieje się w ich umyśle w trakcie obrazowania. Odrębnym przypadkiem są próby komunikowania się z osobami pozostającymi w głębokiej śpiączce, w przypadku których można mieć nadzieję, że są zdolne do myślenia i chcą się komunikować. Od ponad dekady prowadzi się próby, czasem udane, nawiązania kontaktu z pacjentami lawirującymi między stanami minimalnej świadomości i nieświadomości.

W przypadku stanu CLIS sytuacja jest jednak nieco bardziej skomplikowana: wyłania się on wskutek postępującej choroby neurodegeneracyjnej, nie wiadomo więc, jakie zmiany zachodzą po zerwaniu się ostatniej nitki komunikacji. Otwarte są nawet najbardziej fundamentalne pytania. Czy osoba pozbawiona jakichkolwiek możliwości komunikowania się ze światem zewnętrznym traci z czasem czysto neurologiczną zdolność do komunikacji? A może zanika w ogóle motywacja, by nadawać sygnały? Jak właściwie przebiegają procesy myślowe u kogoś, kto nie może używać języka w żadnym zwykłym sensie?

Bohaterem naszej opowieści jest 37-letni Niemiec, którego imię nie zostało upublicznione, ale którego będziemy dla wygody nazywać Thomas – po prostu dlatego, że było to jedno z najpopularniejszych imion nadawanych niemieckim chłopcom w latach 80. Wszystko, co o nim wiadomo, zawarte jest w artykule naukowym opublikowanym 22 marca w „Nature Communications". Po przeczesaniu całego tego suchego tekstu akademickiego wraz z wszystkimi aneksami i suplementami wyłania się niezwykła opowieść o szaleńczo upartym człowieku i jego równie zdeterminowanej rodzinie.

Zamykanie

Thomas usłyszał diagnozę w sierpniu 2015 r. Już pod koniec tego roku nie umiał chodzić i mówić. Od lipca 2016 r. odżywiał się wyłącznie przez sondę gastrostomijną, czyli podłączoną do żołądka rurkę, a oddychał za niego respirator. Miesiąc później rodzina komunikowała się z nim przy pomocy dostępnego komercyjnie urządzenia MyTobii, które śledzi ruchy oczu, mogące wówczas funkcjonować jako wskaźnik. Przez rok Thomas wskazywał oczami na słowa i frazy wyświetlające się na ekranie komputera. Z każdym miesiącem słabła jednak jego kontrola nad mięśniami odpowiedzialnymi za precyzyjne ruchy gałek ocznych, a w sierpniu 2017 r. nie był już w stanie korzystać z MyTobii. Przewidując taki rozwój wydarzeń, wraz z rodziną opracował jednak z wyprzedzeniem jeszcze prostszy system: jakikolwiek ruch oczami to „tak", a brak ruchu to „nie". Pozwalało mu to odpowiadać na pytania i nadawać proste komunikaty. Równolegle trwały jednak intensywne poszukiwania kogoś, kto byłby w stanie zorganizować komunikację, gdy oczy całkowicie go zawiodą.

Ostatecznie udało się nawiązać kontakt z Uniwersytetem w Tybindze, gdzie ↦

↦ neurobiolog Niels Birbaumer i grupa jego współpracowników od lat badają interfejsy mózg-komputer (BCI): urządzenia pozwalające na odczytywanie aktywności mózgu i tłumaczenie jej na zrozumiały dla komputera sygnał. W lutym 2018 r. pierwszy raz spotkali się z Thomasem. Na tym etapie nawet jego żona nie umiała już często odróżnić, czy sygnalizuje „tak", czy „nie". Thomas szybko otrzymał dwa zestawy elektrod. Jeden przyklejono na skórze w okolicach oka, gdzie mierzył nieznaczne zmiany pola elektrycznego towarzyszące drgnięciom gałki ocznej – to tak zwany elektrookulograf (EOG). Drugim był elektroencefalograf (EEG) – „czepek" mierzący aktywność elektryczną mózgu. Naukowcy postawili przy łóżku komputer analizujący na bieżąco dane z EOG i EEG przy użyciu jednego z przetestowanych już przez nich wcześniej algorytmów uczących się indywidualnego „stylu" Thomasa. Po pewnym czasie program komputerowy połapał się w szarpanych, ledwie kontrolowanych drgnięciach jego oczu, co pozwoliło mu ponownie nadawać „tak" lub „nie".

Było jednak jasne, że jest to tylko tymczasowe rozwiązanie i docelowo konieczne będzie zejście głębiej: monitorowanie mózgu przez barierę czaszki przypomina trochę podsłuchiwanie z ogródka toczących się w domu rozmów. Nie dość, że dźwięki są mocno przytłumione, to nas interesuje zwykle głos emitowany w tylko jednym określonym miejscu. Aby go wyraźnie usłyszeć, trzeba otworzyć czaszkę i wetknąć cieniutkie elektrody w konkretny obszar mózgu. W przypadku Thomasa zdecydowano się na korę ruchową: to tam „rodzi się" intencja wykonania ruchu, nawet jeśli sam ruch nie może zostać wykonany.

W czerwcu 2018 r. rozpoczęte zostały skomplikowane procedury prawne i medyczne, a krótko przed świętami Bożego Narodzenia niemiecki Federalny Instytut ds. Leków i Wyrobów Medycznych wydał specjalne pozwolenie na przeprowadzenie tej eksperymentalnej operacji. Wykonano ją w marcu 2019 r.: na lewej korze ruchowej lekarze umieścili dwa zestawy mikroelektrod, każdy składający się z 64 igiełek o długości 1,5 milimetra, delikatnie wciśniętych w powierzchnię mózgu.

Na tym etapie Thomas nie potrafił się już komunikować ze światem nawet przy użyciu zestawu EOG-EEG – ostatni miesiąc przed operacją spędził w stanie CLIS. Dzień wszczepienia elektrod podczaszkowych naukowcy określili jako „dzień zero".

Monitorowanie mózgu przez barierę czaszki przypomina podsłuchiwanie z ogródka toczących się w domu rozmów. W przypadku Thomasa było jasne, że trzeba będzie zejść głębiej.

Otwieranie

Pierwsze próby nawiązania komunikacji z Thomasem podjęto już dzień po operacji. Najpierw próbowano odtworzyć ostatnią udaną metodę, czyli ruszanie oczami jako formę powiedzenia „tak". Od tego momentu gigantyczna odpowiedzialność spadła na informatyków, których zadaniem było skonstruowanie takiego algorytmu, który w strumieniu silnie zaszumionych danych, generowanych przez aktywność elektryczną mózgu Thomasa, jest w stanie wykryć spójny, powtarzalny sygnał. Bezskutecznie. Trzeciego dnia Thomas został wypisany ze szpitala i próby kontynuowano w domu.

Druga przetestowana strategia opierała się na ruchach ręki, które dają szczególnie silny sygnał w obszarze kory mózgowej, gdzie znajdował się pierwszy zestaw mikroelektrod. Udało się potwierdzić, że po chwyceniu Thomasa za rękę i wykonywaniu nią rozmaitych ruchów pojawia się czytelny sygnał. Gdy jednak poproszono go, aby spróbował samodzielnie się poruszyć albo choćby wyobrazić sobie taki ruch, aparatura milczała. Mijały kolejne dni, wypełnione kolejnymi próbami.

Przełom nastąpił w 86. dniu od operacji. Badacze wpadli na jeszcze jeden pomysł: dane z elektrod przekształcono na dźwięk, który wydobywał się następnie z głośników położonych przy łóżku Thomasa. Ten słyszał więc stale pikniecia, wyższe lub niższe, będące „tłumaczeniem" aktywności jego mózgu na wysokość dźwięku. Gdy poproszono go, aby sprawił – w jakikolwiek sposób, po prostu „robiąc różne rzeczy ze swoim umysłem" – żeby dźwięk stał się wyższy, był w stanie to zrobić już przy pierwszej próbie. Choć artykuł raportujący o tych postępach jest suchy jak gaza jałowa, nietrudno się domyślić, jaki entuzjazm musiał ogarnąć rodzinę i naukowców. W dniu tej próby Thomas już od mniej więcej czterech miesięcy nie miał żadnej możliwości komunikacji ze światem zewnętrznym.

W ciągu 12 dni udało się opracować system, który działa do dzisiaj. Komunikacja wciąż opiera się na sygnałach „tak" i „nie". Każda decyzja rozpoczyna się w momencie, w którym z głośniczka zaczyna dobiegać ton o średniej wysokości. Thomas sprawia następnie – nie do końca wiadomo, jakiego typu wysiłkiem umysłowym – że ton ów staje się wyższy lub niższy, a gdy uda mu się ustabilizować piknięcia na ustalonym poziomie, komputer automatycznie klasyfikuje to jako „tak" (piknięcia wysokie) lub „nie" (piknięcia niskie). W ten sposób albo odpowiada na pytanie, albo nadaje tekst za pomocą systemu komputerowego, pozwalającego na wybranie dowolnej litery poprzez niewielką liczbę decyzji typu tak-nie. Pierwsze pełne zdanie Thomas nadał w dniu 106., czyli 20 dni od pierwszego zastosowania „metody piknięć". Nie wiemy, jak brzmiało, jednak następnego dnia pracowicie „wypikał" podziękowanie dla Nielsa Birbaumera.

Głos

Choć w dniu 247. Thomas nadał entuzjastyczny komunikat o treści „panowie, to działa naprawdę gładko", korzystanie z tego urządzenia wymaga niewyobrażalnej wręcz cierpliwości. Do dziś zdarzają się dni, gdy interfejs nie jest w stanie wykryć porządku w sygnale i sesję się przerywa. Artykuł z „Nature Communications" raportuje o postępach Thomasa w ciągu 350 dni od momentu, gdy udało mu się nadać pierwszy komunikat. W czasie tego roku odbył tylko 135 sesji z urządzeniem, m.in. z powodu niezwiązanych z tym projektem problemów zdrowotnych. Wiele planów pokrzyżował też covid, utrudniając naukowcom odwiedziny – część obowiązków musiała więc przejąć żona Thomasa, z czasem samodzielnie obsługując sprzęt nagrywający.

Spośród tych 135 sesji tylko mniej więcej połowa była udana. W 28 przypadkach komunikacja polegała na odpowia-

daniu na pytania, a tylko w 44 przypadkach Thomasowi udało się swobodnie nadawać litery: najmniej 6, najwięcej aż 579. Jego średnie tempo nadawania to jeden znak na minutę, a średni czas trwania sesji nadawczej to 2 godziny – w typowy dobry dzień Thomas może więc liczyć na podzielenie się ze światem komunikatem o długości 120 znaków. W swój najlepszy dzień nadał 579 znaków w zawrotnym tempie jednego znaku co 40 sekund.

Co mówi człowiek, który ma do dyspozycji najwyżej kilka zdań dziennie? Przede wszystkim próbuje zadbać o elementarny komfort życia. „Mamo masaż głowy". „Na noc bez koszulki ale skarpetki". „Przede wszystkim głowa zawsze bardzo wysoko". „Wszyscy powinni kłaść moje ręce bezpośrednio na brzuchu". „Wszyscy muszą częściej kłaść mi żel na oczy".

Żona Thomasa była też regularnie instruowana, co ma zmiksować i wlać do rurki: w dniu 247. zupę z mięsem, a w dniu 253. zupę gulaszową oraz zupę z groszkiem. W dniu 462. rozgadany Thomas opisał prawdziwie lukullusowe menu: „Do jedzenia chcę curry z ziemniakami i potem sos boloński i potem zupę ziemniaczaną". W dniu 247. pierwszy raz poprosił o piwo, a w dniu 245. o włączenie ulubionego albumu Toola, „bardzo głośno". W dniu 251. „wypikał" pracowicie „kocham mojego super synka", wówczas czteroletniego. W dniu 253. zapytał go: „Czy chcesz ze mną obejrzeć Robin Hooda", a w 309. zgodził się na wspólne oglądanie z nim „dowolnego odcinka Dino Riders".

Prognozy

Można by się oczywiście zastanawiać, czy nie ma efektywniejszej metody komunikacji niż wybieranie liter metodą tak/nie. Wiadomo, że opiekunowie Thomasa eksperymentowali z przyspieszeniem komunikacji w oparciu o systemy zgadujące słowa i frazy na podstawie kilku początkowych liter – jak te, które podpowiadają nam w trakcie pisania SMS-ów. Czy nie dałoby się jednak postąpić jeszcze odważniej?

Gdy śledzi się bieżącą literaturę naukową na temat interfejsów mózg-komputer, natrafia się czasem na prawdziwie spektakularne dokonania. W 2017 r. opisano przypadek kobiety, również cierpiącej na stwardnienie zanikowe boczne, która komunikowała się poprzez wyobrażanie sobie, że sięga ręką ku określonej literze na ekranie. Uzyskała wówczas tempo 30 znaków na minutę. W maju 2021 r. opisano przypadek mężczyzny, sparaliżowanego od szyi w dół, który „nadawał" w spektakularnym tempie 60-90 znaków na minutę, wyobrażając sobie, że pisze ręcznie. W obu przypadkach osoby te posiadały zestawy mikroelektrod korowych do złudzenia przypominające te, które otrzymał Thomas.

Co więcej, w kwietniu 2019 r. opisano eksperyment z generowaniem mowy wyłącznie na podstawie aktywności mózgu. Bądź co bądź nasza kora ruchowa przygotowuje nie tylko ruchy ręką, ale i przeponą, krtanią, szczęką i językiem. Stworzono więc wyrafinowany model „tłumaczący" pomiędzy aktywnością mózgu a spodziewanym ruchem i ułożeniem aparatu mowy oraz, w ostatnim kroku, ↦

↦ dźwiękiem. Na każdym etapie zagoniono do roboty najbardziej zaawansowane techniki uczenia maszynowego. Ostatecznie udało się stworzyć system, który po prostu mówi za człowieka – z głośników wydobywają się słowa, które osoba sparaliżowana próbuje wypowiedzieć. Jest to mowa trochę jeszcze bełkotliwa i momentami niezrozumiała, ale jednak mowa!

Można się domyślić, że plany i nadzieje w przypadku Thomasa wykraczały poza jedną literę na minutę, dyktowaną metodą tak/nie. Autorzy artykułu nadmieniają pod koniec, że testowanie innych metod komunikacji i algorytmów nie było jednak stosowane „w oparciu o nasz osąd kliniczny i teorię edukacji, z których wynika, że znacząca zmiana procedury mogłaby spowolnić lub całkowicie wygasić istniejący poziom kontroli uzyskany przez pacjenta". Krótko mówiąc – trzymajmy się tego, co działa. Elektrody korowe to teraz ostatnia nitka wiążąca Thomasa ze światem, podtrzymywana tylko przez niebywałą siłę woli tego człowieka. Jak odnotowują naukowcy, standardowa teoria neurologiczna rozkładała dotychczas bezradnie ręce na pytanie, czy możliwość komunikacji jest w mózgu podtrzymywana, jeśli nie ma żadnej ścieżki prowadzącej do rzeczywistego nadawania sygnałów. Przypadek Thomasa pokazuje, że można na to liczyć.

Dom

Trudno oczywiście orzec, jak dużą rolę odegrały w powodzeniu tej historii konkretne osoby, które nawet z beznamiętnego opisu w artykule naukowym wyłaniają się jako ludzie nadzwyczajni. Na pierwszym miejscu jest oczywiście anonimowy „pacjent niemiecki", który po latach postępującej utraty kontroli nad ciałem, po niezliczonych nieudanych próbach komunikacji oraz po zupełnie niewyobrażalnych czterech miesiącach w „całkowitym zamknięciu" wciąż ma w sobie na tyle siły woli, żeby współpracować z rodziną i naukowcami, organizować sobie rozmaite drobne przyjemności życia i słuchać z synem jego ulubionych bajek.

Na drugim planie tej opowieści jest jego jeszcze bardziej anonimowa rodzina, która zrobiła znacząco więcej niż tylko – bagatela! – całodzienna opieka nad sparaliżowanym mężem, synem i ojcem. Można sobie tylko wyobrazić, przykładowo, ile nieudanych prób poprzedziło kontakt z grupą badawczą z Tybingi, która zainteresowała się tym przypadkiem. Sami zaś naukowcy również wyszli daleko poza poziom rutynowego testowania nowych rozwiązań na kolejnym pacjencie. Pomyślmy, jak niezwykły jest choćby sam fakt, że po 86 dniach nieudanych sesji podjęto próbę przetestowania kolejnej strategii – która powiodła się zresztą jeszcze tego samego dnia.

Ostatni komunikat Thomasa przytoczony w artykule to prośba o nowe łóżko i zabranie następnego dnia na grilla. 86 znaków – półtorej godziny nadawania. Biorąc pod uwagę to, co da się wyczytać między wierszami artykułu naukowego, intuicja podpowiada mi, że nie tylko dostał ostatecznie nowe łóżko, ale też został dowieziony na grilla, a być może załapał się nawet na miksowanego bratwursta i weissbier.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DAWID GROMADZKI / UM BIAŁYSTOK

Gala wręczenia Nagrody im. W. Kazaneckiego. Białystok, 2 kwietnia 2022 r.
Od lewej: przewodnicząca Kapituły Nagrody Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, laureaci Małgorzata Grupińska-Bis (w zastępstwie Marty Stachniałek), Justyna Kulikowska, Andrzej Stasiuk oraz prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski.

KULIKOWSKA, STASIUK I STACHNIAŁEK

LAUREATAMI NAGRODY KAZANECKIEGO

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego kształtuje przestrzeń polskiego pola literackiego już od dawna i ma dla niego ogromne znaczenie, gdyż wskazuje na niezwykłe talenty literackie, jednocześnie otwierając przed nimi drogę do dalszej kariery i wyróżnień.

Po raz pierwszy przyznano ją w 1992 r. – i już od trzech dekad otrzymują ją pisarki i pisarze uprawiający wszystkie rodzaje i gatunki literackie. Wymóg formalny, kształtujący specyfikę Nagrody, jest jeden: autorka bądź autor musi być związany z Białymstokiem (lub regionem) – pochodzeniem, tematyką swojej twórczości bądź miejscem wydania. Wśród dotychczasowych laureatów znajdują się takie postaci jak: Edward Redliński, Ignacy Karpowicz, Szymon Hołownia, Piotr Nesterowicz czy Michał Książek.

W tym roku laureatami Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego za najlepszą książkę zostali: Andrzej Stasiuk za powieść „Przewóz" oraz Justyna Kulikowska za tomik „gift. z Podlasia".

Od 2019 r. Nagroda przyznawana jest także za najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku.

W tym roku otrzymała ją Marta Stachniałek za tomik „polski wrap".

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU

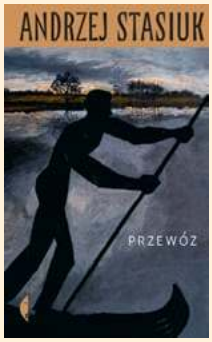

STASIUK: PRZEWOŹNIK

Właściwie nie dzieje się tu za wiele. Rzeczywistość zamarła w bezruchu. Duszny, oszałamiający upał usypia ciała i myśli, a wilgoć płynąca znad łąk i mokradeł miesza się z potem i spływa po rozgrzanym ciele. Stagnacja jest jednak pozorna, bo nie jest to zwykły parny czerwiec, tylko czerwiec roku 1941, a wilgocią ciągnie nie z byle rzeki, tylko z Bugu. Po jednej stronie Niemcy, po drugiej Rosjanie, czekają tylko, żeby rzucić się sobie do gardeł. Kraina, która wieki temu zagubiła się w jakimś porosłym zielskiem zakolu czasoprzestrzeni, na chwilę materializuje się w miejscu zderzenia płyt tektonicznych wielkiej geopolityki. A powstałe w jego wyniku wstrząsy będą rozchodzić się powoli, ale za to bardzo daleko, przekraczając pamięć kolejnych pokoleń. Stasiuk powieścią „Przewóz" wraca do korzeni. Podejmuje się żmudnej i niewdzięcznej pracy kronikarza, próbuje jeszcze coś ocalić, zawiązać ostatnie poprzecierane nitki rodzinnych opowieści, choć wie, że spójnej historii już się z tego uszyć nie da. Mimo to próbuje. Bez cienia skargi kreśli przed nami tamte podmokłe pejzaże oraz ludzi, którzy w nich ugrzęźli, wraz z nimi zaś ich lęki, namiętności i nadzieje.
A czasem i szaleństwa, jak choćby w przypadku polskiego oficera nieistniejącej już armii, snującego wódczane fantazje o rychłym zwycięstwie (tylko trudno powiedzieć, kogo nad kim). Swoją drogą to jeden z ciekawszych portretów tzw. wyklętych – swego czasu patriotów, może nawet bohaterów, których rozpacz i strach doprowadziły do upadku, a często i dalej, poza granice człowieczeństwa. Stasiuk nie pierwszy raz, i bardzo dobrze, powraca do tego tematu, przypominając, kogo tak naprawdę na sztandary bierze skrajna prawica.
Jednak najwspanialsze w „Przewozie" jest to, co w prozie Stasiuka występuje właściwie od zawsze – wielozmysłowy, obsesyjny zachwyt nad okruchami nieistniejących już przestrzeni. Tym razem jednak nie ma tu niepotrzebnych filtrów, krygowania się czy kluczenia po obrzeżach. Od początku do końca dostajemy destylat Stasiukowej wyobraźni w stężeniu rozkosznie odurzającym, za którym wielu tęskniło od dawna, może nawet od samej „Dukli". W tej powieści znów jesteśmy przewożeni z jednego brzegu na drugi, w tę i w tamtą, aż w końcu nie wiemy, po której stronie właściwie jesteśmy. I tak właśnie powinno być.

*Andrzej Stasiuk, **Przewóz***
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

KULIKOWSKA: PODARUNKI I PORACHUNKI

Tomik zaczyna się gorzko, ale słychać tu jeszcze ironię, żarty z samego języka, dobrze znane z poprzednich tomików poetki: „będę światełkiem wytwórni kink.com, / gwiazdą zaranną, elektryczną lampką, / którą matka postawi na twoim grobie". Szybko jednak przekonujemy się, że tytułowy prezent to nie bibelot kupiony w pośpiechu w lotniskowym sklepiku, ale raczej dar bolesny i niewdzięczny, który jednak trzeba przyjąć.
Nie jest bowiem łatwo słuchać o wszechobecnej przemocy dręczącej umysł i ciało, zwłaszcza jeżeli opowieść rozciąga się na języku rytmicznym i hipnotyzującym, do tego pełnym pułapek i zasadzek.
Strażnikami porządku, na który poetka nie może się zgodzić, są zarówno ojciec (a może i matka?), jak również policjant, prokurator, kibole, narodowcy, ale także wścibscy sąsiedzi, którzy bez skrępowania wtykają nosy w cudze dusze i dyskursy. Między kolejnymi wierszami pobrzmiewa pytanie: czy ten świat da się jeszcze ocalić? Jeśli tak, to w jaki sposób? Albo: czy w ogóle warto?
W udzielaniu odpowiedzi na pewno nie pomaga wszechobecność oskarżycielskiego tonu, przy pomocy którego ta brunatniejąca rzeczywistość próbuje wedrzeć się w każdą szczelinę naszego języka, także do samej poezji. „istnieje dziewięćdziesiąt jeden synonimów dla wyrazu / kara, a jednak dopust boży rozbawia najmocniej. / z całą pewnością istnieją rzeczy, za które należy mnie ukarać, / lecz może nie ma sposobu?" – pyta na końcu ostatniego wiersza poetka, jeszcze ironicznie czy już tylko gorzko? Splugawienie języka (i chyba nawet samej wyobraźni) widać na każdym kroku, co zresztą w tomiku jest skrupulatnie odnotowywane. Kronika krzywd wciąż się rozrasta i nie widać jej końca. Jednak przyda się z pewnością, gdy nadejdzie wreszcie czas porachunków.

*Justyna Kulikowska, **gift. z Podlasia***
WBPiCAK, Poznań 2021

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU

KARPOWICZ: ZWIJANIE ŚWIATA

O czym opowiada „Cicho, cichutko" Ignacego Karpowicza? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że o śmierci – w końcu to historia o umieraniu najlepszego przyjaciela. Precyzyjniej byłoby jednak powiedzieć, że to opowieść o zanikaniu, o rzeczywistości, która się rozrzedza, pustoszeje. To oczywiście proces bolesny, a w kolejnych wątkach tej opowieści słychać wyraźnie żałobne tony – trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że dla Karpowicza (przynajmniej dla tego, który jest narratorem tej opowieści) to zwijanie się świata bywa zjawiskiem co najmniej interesującym, a czasami wręcz pożądanym, bo dającym nieoczekiwaną chwilę wytchnienia.
Gdy konkretna i namacalna realność – zarówno ciało trawione nowotworem, jak i miasto uginające się pod ciężarem pandemii – zaczyna wycofywać się i ustępować miejsca pustce, pojawia się próżnia, którą trzeba koniecznie czymś wypełnić. W przypadku pisarza najłatwiej zrobić to oczywiście przy pomocy opowieści. Karpowicz uwielbia językową i stylistyczną różnorodność, dlatego łączą się tu rzeczy najdziwniejsze, które w innym kontekście raczej nie miałyby szans się spotkać – podobnie zresztą jak bohaterowie tego elegijnego szkicownika.
Fragmentaryczność jako struktura, a patos jako ton stanowią domyślną formę literackiego pożegnania z osobami najbliższymi. Karpowicz, nie pierwszy zresztą raz, idzie jednak swoją drogą, tworząc ryzykowną, ale ostatecznie wytrzymałą konstrukcję dla utrwalenia tego doświadczenia. Częściowo rezygnuje z surowego zapisu (albo stylizacji w tym duchu) na rzecz powieściowego zagęszczenia – szczególnie w drugiej części, gdy poznajemy tragiczną (w źródłowym sensie tego słowa) historię Anny, kobiety zastępującej jego przyjacielowi matkę. W ten właśnie sposób, dzięki wyraźnemu zanurzeniu w literacką konwencję, można do pewnego stopnia oswoić pustkę, uczynić ją mniej bolesną – zaprosić do niej innych ludzi. Na przykład nas, czytelników.

*Ignacy Karpowicz, **Cicho, cichutko***
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

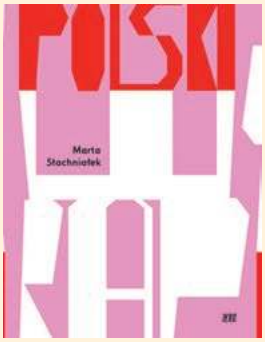

STACHNIAŁEK: WRAPERKA

Siła debiutanckiego tomiku Marty Stachniałek tkwi w swobodnym i bezpretensjonalnym, ale jednocześnie bardzo świadomym żonglowaniu językowymi rejestrami. Potoczystość i czytelność to jednak w tym przypadku przeciwieństwa banału i uproszczenia – chodzi raczej o dobrze wymyśloną, a przez to nośną formę poetycką. „to nie są czasy na robienie wielkich rzeczy to czasy na robienie ciasta dzwoni mama i dyktuje mi przepis na biszkopt z owocami" – zaczyna się wiersz „wypieki", gdzie kilkoma sprawnymi ruchami zagnieciona zostaje skomplikowana architektura emocjonalna całego tomiku. „polski wrap" to bowiem zapis szerokiego spektrum doświadczeń – od odrzucenia po afirmację – w którym to, co społecznie poruszające i politycznie doniosłe, przeplata się z przestrzeniami osobistymi, intymnymi wręcz. W ten właśnie niewymuszony i naturalny sposób kolejne języki wprzęgnięte zostają do budowania barwnej opowieści o rzeczach fundamentalnych – o tożsamości i o świecie, z której ona wyrasta.

*Marta Stachniałek, **polski wrap***
WBPiCAK, Poznań 2021

Kinga Skwira
Wszystko już było dotykane
WBPiCAK, Poznań 2021

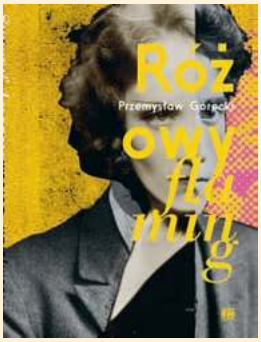

Przemysław Górecki
Różowy flaming
WBPiCAK, Poznań 2021

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 16/2022
REDAKCJA I TEKSTY: Michał Sowiński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran

Białystok

DODATEK POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z URZĘDEM MIEJSKIM W BIAŁYMSTOKU

HANNA

Krall:
Szczegóły znaczące

I. Rękawiczki

Były przepiękne. Długie do łokcia, z cienkiej, zamszowej skórki. Nie całkiem białe, ale i nie kremowe, nie beżowe, cieliste ani ecru. Jeśli już, to były wspomnieniem o bieli.

Każda miała na przegubie niewielkie rozcięcie, trzy małe dziurki i trzy guziczki z masy perłowej. Guziczki nie służyły do zapinania, zapięta rękawiczka byłaby zbyt wąska. Można było skropić przegub dłoni perfumami, to wszystko.

Wytworna, subtelna rzecz, własność prawdziwej damy.

Należały do sławnej polskiej śpiewaczki, uszyła je firma amerykańska – Penberthy. Wewnątrz każdej rękawiczki była pieczątka. Śpiewaczka przywiozła je ze Stanów, w Warszawie oddała do renowacji – na Marszałkowską, róg Wilczej, wejście od bramy.

Było to na krótko przed wojną.

Podczas powstania paliło się w pobliżu pracowni, ale właściciel zdążył wynieść rzeczy najcenniejsze – maszyny, trochę tkanin i rękawiczki śpiewaczki.

Wyniósł do brata, artysty malarza, który miał atelier ze szklanym sufitem. Podczas nalotu sufit spadł, szkło zagrodziło drogę szabrownikom.

Wszystko ocalało.

Po wojnie nikt rękawiczek nie odebrał.

Zapomniano o nich?

Właścicielka uznała, że nie będą jej więcej potrzebne?

Trafiły do wnuczki właściciela pracowni.

Nałożyła je jeden raz, na bal maturalny. Dobrze wyglądały przy małej czarnej sukience z białym żywym storczykiem.

Po balu schowała je na pawlaczu w pudełku po butach.

Teatr Wielki dowiedział się o rękawiczkach i spytał wnuczkę, czy zechce je sprzedać. Śpiewaczka była dyrektorką Opery, dwukrotnie nawet, i rękawiczki ogromnie wzbogaciłyby teatralne muzeum.

Wnuczka zapewniła, że to prezent. Zdjęła rękawiczki z pawlacza, ułożyła w pudełku – równie eleganckim, po czekoladkach Lourse'a i wręczyła przedstawicielce muzeum.

II. Mapy

Wnuczka jest historykiem sztuki i kuratorem galerii.

Przygotowuje wystawę trzech artystów – malarza, rzeźbiarza i rysownika.

Rysunek jest ogromny, długi na osiem metrów, wysoki na dwa. Są na nim ludzkie ścięgna, mięśnie, jakieś włókna, jakieś tkanki. Jest klatka piersiowa z czarnym kwadratem zamiast serca.

Artysta informuje, że narysował mapę ciała, ale nie jest to człowiek. Raczej coś, co będzie potem. (Posthumanizm – komentuje rysunek pani kurator).

„Ludzkość traci wyobrażenie o człowieku, dewaluuje je, rozpuszcza w świecie pełnym niepokoju, fikcji, nadmiaru informacji, konfliktów i kataklizmów" – mówił artysta-rysownik.

Rzeźby to znowu mapy. Miasta, tym razem. Szpitala i fabryki.

Bryły, które mają czarne oczodoły, jak serce w klatce piersiowej.

Prawdę mówiąc, są ruiną – szpitali i fabryk.

Podobno chcą być wzniosłe i piękne.

Piękno zniszczenia?

Ni stąd, ni zowąd pojawia się człowiek, głowa człowieka.

Piękna głowa, tylko że bez oczu.

Strona świata: podkast Wojciecha Jagielskiego

Jak rozpadało się imperium Putina

W drugim odcinku cyklu Wojciech Jagielski opowiada o tym, kiedy Władimir Putin uznał kolorowe rewolucje za zagrożenie, co wspólnego mają wizyta Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi z ostatnią polsko-czesko-słoweńską w Kijowie i jak czuł się polski reporter w sercu konfliktu o Osetię i Abchazję, gdy przyszło mu dementować własną śmierć.

Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast** oraz na

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WSPIERAJ NA: PATRONITE

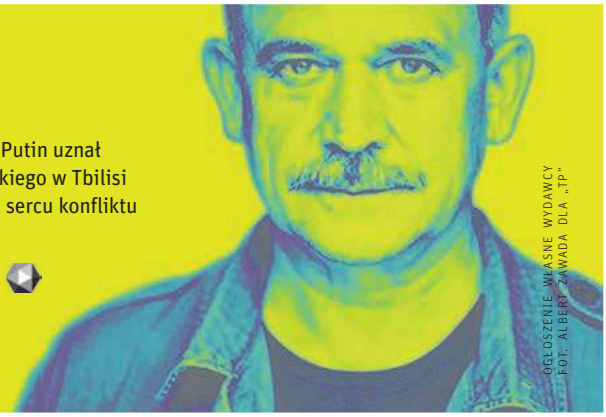

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. ALBERT ZAWADA DLA „TP"

Na obrazach są przedmioty codziennego użytku.

Błotnik samochodu – coś, co było kiedyś błotnikiem.

Czapka z daszkiem. Lenin nosi takie na obrazach. (Komu, poza artystą, Lenin przyjdzie do głowy?)

Spinacze do papieru. Jak robale albo jak przyszpilone ważki.

Mózg, na nim tajemnicze nadruki. Pewnie układy scalone albo komputerowe programy.

W przedmiotach codziennego użytku powinniśmy czuć liryzm i melancholię, podpowiada artysta.

Czujemy strach. I przed rozbitym błotnikiem, i przed robalami. Nawet przed termometrem, który wystaje z ust leżącego człowieka.

Wszystko dzieje się w świecie snu, ale są to niespokojne sny, raczej koszmary senne.

III. Sztuka i życie

Pani kurator ustawia, rozstawia i wiesza eksponaty.

Chce porozmawiać z artystami.

Chce ich zaprosić na otwarcie wystawy.

Rzeźbiarz, który przysłał bryły udające miasto, fabrykę i szpital, prosi, by nie dzwonić do niego w dzień.

Jest zajęty. Jest w bunkrze, robi koktajle Mołotowa i nie ma czasu na rozmowy o sztuce.

Prosi, by dzwonić wieczorami.

Malarz, który przysłał przedmioty codziennego użytku, nie odbiera telefonu. Jest zmobilizowany i nie wiadomo, czy żyje.

Pani kurator dzwoni do rzeźbiarza, ale nie odbiera telefonu, nawet wieczorem.

Jest wiadomość od malarza. Żyje, ale nie należy pytać, gdzie jest, i nie trzeba szukać z nim kontaktu.

Telefon rzeźbiarza nadal milczy.

Bryły szpitala zaczynają kojarzyć się z wypalonym domem w Mariupolu.

Życie zaczyna naśladować sztukę nazbyt dosłownie.

Rękawiczki... Świat, który był.

Błotniki i oczodoły ruin... Świat, który nastaje.

Krótka historia *homo sapiens*. (Pani kurator przywołuje Yuvala Harariego „Krótką historię ludzkości”).

Wszystko – proszę zauważyć! – poprzez szczegóły znaczące. Tak cenione przez nas, reporterów. ©

Rękawiczki należały do Janiny Korolewicz-Waydowej.
Wystawa: Mapy. Artyści z Ukrainy.
Vasyl Savchenko, Oleh Kapustyak, Nikita Tsoy.
Warszawa, Kordegarda, 5-24 kwietnia.
Kurator – Katarzyna Haber.

Z napięcia między ortodoksją a nieortodoksją tworzy się dialog, z którego powstaje opowieść i z którego bierze się świat.

Olga Tokarczuk
w rozmowie z Tomaszem Stawiszyńskim
„Tropem herezji”

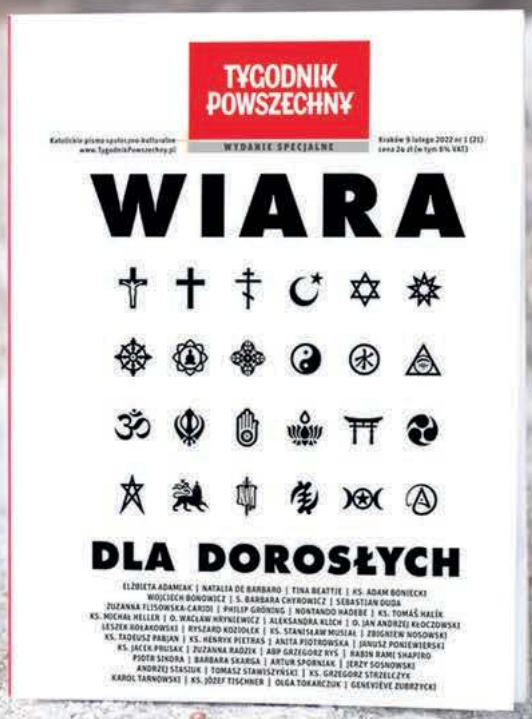

Czytaj więcej
w wydaniu specjalnym
„Tygodnika Powszechnego”

Wydanie specjalne „Wiara dla dorosłych” dostępne w najlepszych miejscach z prasą.
Sprawdź na
TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP”

ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

COŚ POZYTYWNEGO

ZYGMUNT „MUNIEK" STASZCZYK, MUZYK:

Nie chcę być gościem, który mówi, że zajebiście to było dawno temu w Jarocinie, a dziś sama komercha. Świat się musi zmieniać. A ja kocham współczesność i staram się być w niej sobą.

EWELINA BURDA: Czterdzieści lat temu wymyśliliście z kumplami, że będziecie rockandrollowcami.

MUNIEK STASZCZYK: Brzmi jak niezła prehistoria.

Jest rok 1982, w Polsce stan wojenny.

Mam wtedy 19 lat, chodzę do IV liceum częstochowskiego. W moim życiu jest nuda, a na drugim biegunie wściekłość i wkurwienie. Grałem już wtedy w kapeli Opozycja, z którą osiągnęliśmy sukces, bo wystąpiliśmy w Jarocinie w 1981 r. Mimo że byłem małolatem, to na mieście w środowiskach muzycznych mnie znali.

Co wymyśliłeś później?

Chciałem założyć kapelę bardziej alternatywną, postpunkową. Jestem wychowany na podwórku, robotnicza dzielnia Raków. Tam i krew się lała z nosa, i tanie wina obalaliśmy na ławkach, i na gitarach chłopaki grali. Normalne życie. Nikt nie był specjalnie bogaty, byliśmy średnią peerelowską. I stamtąd chyba wyniosłem taką normalność. Jak T.Love zrobił się popularny, to nie stałem się idiotą, który marzy tylko o basenie w kształcie gitary.

ZYGMUNT „MUNIEK" STASZCZYK (ur. 1963) jest muzykiem, wokalistą i autorem tekstów. Lider zespołu T.Love, który obchodzi w tym roku 40. rocznicę powstania. 22 kwietnia ukaże się nowa płyta zespołu, zatytułowana „Hau hau".

T.Love czyli Teenage Alternative Love, bo tak nazwaliście zespół.

Trochę w opozycji do tego paskudztwa, które było za oknami. Powiedziałem wtedy kumplom z klasy: „ty będziesz na bębnach, ty na gitarze", i zaczęliśmy coś próbować. Jeden z nas, Darek Zając, klawiszowiec, mieszkał w domu i u niego można było zrobić pierwsze próby prób. Był styczeń 1982. Powstał zespół, jakich było wtedy w Polsce wiele, kompletnie amatorski.

Jak wtedy słuchaliście muzyki?

Mieszkałem blisko szkoły i często uciekałem z długiej przerwy, żeby zdążyć nagrać piosenki z Trójki. Miałem wtedy taki świetny magnetofon szpulowy, ZK120, dziś to niezły zabytek. Nocami łapałem też Radio Luksemburg, które puszczało współczesną muzykę angielską. Trzeszczące radio, małe mieszkanko, starzy, którzy spali w drugim pokoju. Taki był mój kontakt ze światem muzycznym. Miałem też kilka płyt winylowych zdobytych w jakiś dziwny sposób i w środowisku płytowców się wymienialiśmy.

Marzyliście o wielkich koncertach?

Nikt nie myślał o jakiejś sławie czy karierze. Hasło punkrockowe, które rzucił zespół Sex Pistols, „No future", nas porwało, w Polsce było chyba jeszcze bardziej czytelne niż w Anglii. No bo kim my mogliśmy zostać? Niepewność była wtedy ogromna. Zacząłem dziergać pierwsze dźwięki na pożyczonym od kolegi basie, pisać teksty – to była moja reakcja na rzeczywistość wokół. Jedyny kawałek, który pozostał z tamtego czasu, a jeszcze go niedawno graliśmy, to piosenka „Gwiazdka". Śpiewam tam: „Mamo kup mi karabin / mamo kup mi broń / mamo kup mi proszę / całą serię bomb". Dziś słucha się tego zupełnie inaczej.

Wasz pierwszy koncert?

Na naszej studniówce, która przez godzinę milicyjną w stanie wojennym zaczęła się już o trzynastej i skończyła przed dwudziestą drugą. Wtedy myślałem: w Jarocinie już byłem – a to był wtedy szczyt jakichkolwiek osiągnięć – to co jeszcze mnie czeka? Albumu przecież nie nagram, bo po pierwsze nie umiemy w ogóle grać i jesteśmy w kompletnym garażu, a po drugie jest stan wojenny.

Ale pojawiła się pierwsza kaseta.

Długo nikt nie chciał nas prezentować i stwierdziliśmy, że sami ją wydamy.

To była dla nas stara lekcja muzyki punkowej w praktyce: zrób to sam. Kolega miał dwukieszeniowy magnetofon, siedział po nocach i przegrywał kasety, chałupnicza robota. Gitarzysta, dziś pan profesor na ASP, zrobił okładkę, którą potem kserowaliśmy. Tych kaset wypuściliśmy z tysiąc sztuk. Na kasetach sprzedawaliśmy też nasz nagrany występ z Jarocina z 1984 r., a na koncertach ludzie siedzieli z magnetofonami i nagrywali sobie nasze kawałki. I tak ta muzyka ↦

↦ poszła do ludzi. To oni nas wypromowali, oddolnie. Zawsze chciałem robić coś związanego z muzyką, ale nie czułem się artystą czy wokalistą. Mnie kształtowało słowo pisane, książki. Mój tata Tomuś, który odszedł w tym roku, zapodawał mi sporo książek, kiedy byłem dzieciakiem.

Jakie to były książki?

Na początku przygodowe, podróżnicze, o Indianach. A później to w zasadzie wszystkie. Dużo czytałem, miałem bardzo dobrą polonistkę w podstawówie, potem świetnego polonistę w liceum. Słowo mnie kręciło.

Babcia zapisała mnie dość wcześnie na angielski, więc jako tako znałem ten język, co nie było wtedy powszechne. Tłumaczyłem sobie teksty piosenek, czytałem biografie Rolling Stonesów czy innych kultowych kapeli. I jako jedenastoletni chłopak zakochałem się w muzyce rockandrollowej, a dzięki muzyce punkowej, która dała mi śmiałość, zmieniłem tę pasję w pomysł na życie, w pracę.

Na studia wyjechałeś już do Warszawy.

Na polonistykę na UW. No i od zawsze coś tam sobie skrobałem w zeszyciku. Myślałem, że może kiedyś z tego będą piosenki, więc sobie nuciłem pod nosem, w głowie miałem gitarę, bębny.

„Warszawa" – ta piosenka została Waszym pierwszym dużym hitem.

Każdy myśli, że to kawałek o mieście, i oczywiście jest to prawda, ale to przede wszystkim piosenka dla mojej żony Marty. Pisałem ją, jak byłem w Londynie, gdzie wyjechałem do pracy, zarobić na życie. Dzięki niej staliśmy się zespołem mainstreamowym. I jak przyszły lata 90., wolność, to chłonęliśmy to wszystko, co wcześniej było zakazane. Dla nas lata 90. w Polsce to były takie spóźnione lata 60. z Zachodu. Konsumpcja, konsumpcja i jeszcze raz konsumpcja.

Jak myślę o tych wszystkich latach T.Love, o zmianach, ta nasza twórczość, te kilkanaście płyt, to jest w dużym stopniu historia tego kraju widziana przez muzykę. Bo nie po to wychodzisz na scenę, żeby się wysmarować margaryną i błyszczeć, tylko żeby się podzielić tym, co masz do powiedzenia.

Lubisz wracać do starych kawałków?

Nasza twórczość to w dużym stopniu historia tego kraju widziana przez muzykę.

Nie po to wychodzisz na scenę, żeby się wysmarować margaryną i błyszczeć, tylko żeby się podzielić tym, co masz do powiedzenia.

T.Love to mój pamiętnik. Słuchając „Warszawy", „I love you" czy „Chłopaki nie płaczą", mogę zamknąć oczy i przypomnieć sobie: wtedy byłem taki, miałem takie problemy, robiłem to czy tamto. To pocztówka z mojego życia. Zdarzało mi się pisać piosenki dla kogoś, ale to nigdy nie było „to". Sporo jest u nas portretów: kobiet, miast, ludzi. Nie wszystko zawsze jest prawdą, część rzeczy można zaprojektować, pomieszać, wymyślić – takie są plusy piosenki. Jak w „Kingu", który nie jest kawałkiem o jednym kolesiu: trochę jestem to ja, trochę ludzie, których znałem.

A dziś zaśpiewałbyś, że „chłopaki nie płaczą"?

Na mojej solowej płycie jest taka piosenka „Święty", gdzie śpiewam „Chłopaki jednak płaczą, powiem ci". Już wtedy mówiłem, że płacz mężczyzny to jest coś zupełnie normalnego. Wstydzą się go najsłabsi. To stary banał, ale łzy oczyszczają. Płacz to jest pewien dar. Jak mnie coś bardzo poruszy w kinie lub gdy słucham muzyki, to potrafię płakać. Męskość na czym innym polega, takie stereotypowe patrzenie na szczęście się zmienia. A ten kawałek po prostu lubię – „Chłopaki nie płaczą" to był pastisz, trochę śmialiśmy się z boysbandów, chcieliśmy zrobić parodię, puścić oko do słuchacza.

W 2019 r., gdy popularność niosła Twoją piosenkę „Pola", Ty leżałeś w szpitalu.

Miałem wylew. Trafiłem do szpitala najpierw w Londynie, potem w Warszawie. Jak już wiedziałem, że jednak będę żył, to były wspaniałe emocje. Pielęgniarki, mój neurolog, fizjoterapeuta relacjonowali mi: „»Pola« na pierwszym miejscu w Trójce", „Panie Muńku, zajebisty kawałek". Taki hiphopowiec z Ursynowa powiedział mi wtedy: „Nie słucham takiej muzy, ale to jest spoko. Jakoś tak odmłodniałeś". A ja słuchałem tego, leżąc w szpitalnej piżamie. Na pewno nie czułem się wtedy młodo.

Tytułowa „Pola" z piosenki to po prostu Polska.

Proste skojarzenie i imię, które mi się bardzo podoba. To piosenka o polskim DNA. Bije z niej jakiś smutek. Gdy ją pisałem, to nikt nie miał świadomości, że za chwilę będziemy świadkami apokaliptycznej wręcz sytuacji. Ale historia pokazuje, że cokolwiek by się działo, to życie zawsze gdzieś ucieka szparami.

Od zawsze patrzyłeś tak optymistycznie?

Moja żona mówi, że jestem wiecznym optymistą, chociaż nie jestem pewny. Na pewno staram się nie być naiwnym optymistą, ale jak coś można zrobić, to walczę do końca. Zabrzmi banalnie, ale to święta prawda: z choroby, z sytuacji granicznej, której doświadczyłem, można wyciągnąć wielką naukę.

Opowiesz jaką?

Łapiesz większy dystans do wszystkiego. Okazuje się, że twoje plany to śmieszna rzecz. Całe życie szedłem jak czołg do przodu, trzymałem zespół w karbach. Jak miałem trzy czy cztery dychy na karku, to jeździłem 250 kilometrów na godzinę, w ogóle się nie badałem. Nie byłem nigdy w szpitalu, chyba że w odwiedzinach. A jak już sam tam trafiłem, to na grubo.

A jak już z niego wyszedłeś?

Gdy okazało się, że chodzę, mówię, żyję, to nie mogłem skonsumować tej całej radości. To były ostatnie miesiące 2019 r. I jak stanąłem na nogi fizycznie, to dostałem mocno psychicznie, bo przyszła pandemia. Dla mnie najlepszym lekarstwem na deprę od zawsze była praca – nie jestem żadnym odkrywcą, ale to mogę powiedzieć jako praktyk. Poza moimi małymi mopsami, oczywiście. I wiedziałem, że jak zajmiemy się nową płytą, to będzie mi lepiej.

Dużo się u Ciebie wtedy zmieniło?

Nie życzę nikomu wylewu czy żadnej innej choroby. Ale z pewnością zmieniła mi się percepcja, tak ci powiem szczerze, dziewczyno. Zawsze starałem się mieć dystans do swojego ego, kariery – ale wia-

MATERIAŁY PRASOWE

Zespół T.Love w 2022 r. wraca do grania w składzie z czasów płyty „King": Janek Benedek, Muniek Staszczyk, Paweł Nazimek, Jacek Perkowski i Sidney Polak.

domo, każdy lubi być poklepywany po ramieniu, ja też mam w sobie taki pierwiastek. Lubię patrzeć na te moje złote płyty, które wiszą w tym pokoju, jara mnie to. Ale takiego luzu i dystansu do tego, jaki mam teraz, to nie znałem przed chorobą.

A ta nowa płyta, jaka ona jest?

Otwiera ją kawałek „Ja ciebie kocham" i to jest wołanie pandemicznego miasta. Napisałem ją, kiedy jeździłem po opustoszałej Warszawie. Leci to tak: „Popatrz na światła miasta / nie ma nikogo / pusto jest / dziś wszyscy w swoich bunkrach samotnie oswajają śmierć". A potem refren: „Chcę ci powiedzieć, ja ciebie kocham, to słowo musi znaczyć coś. Wiesz, stara zabawa z popiołem w oczach, ten stary dreszcz, ta stara złość". Czyli takie „I love you" Anno Domini 2022. Z prostym przesłaniem: chcę ci powiedzieć „kocham cię", człowieku.

My zawsze chcieliśmy być czymś pozytywnym dla ludzi, dla wszystkich. Graliśmy wszędzie: w więzieniach i w kościołach, na eventach korpo i dla studentów, dla oldersów i młodziaków.

Na nowej płycie śpiewa z Tobą Kasia Sienkiewicz z zespołu Kwiat Jabłoni. Wokalistka z młodego pokolenia.

Chciałem zrobić taki duet międzypokoleniowy, szukaliśmy młodej dziewczyny. Gdy Kasia przyszła do studia na nagrania, to powiedziała mi, że to dla niej zaszczyt robić coś z nami. A mama opowiedziała jej, że na pierwszym koncercie T.Love to była jeszcze w jej brzuchu. Taka pętelka czasowa. A „Pochodnia", którą razem śpiewamy, to kawałek miłosny.

Lubię rozmawiać z ludźmi młodymi, jeśli chcą ze mną gadać. Interesuje mnie, co ich jara. Nie udaję młodzieżowca, ale nie jestem w kontrze do współczesności. W latach 20. nowością był jazz, w latach 50. rock and roll, potem przyszedł punk, a jeszcze później hip-hop. Ciągle się coś zmienia, pojawiają się nowe rzeczy. Zaczynaliśmy, gdy był winyl, potem kaseta, dopiero później przyszły płyty, a teraz rządzi cyfra. Nie chcę być gościem, który mówi, że zajebiście to było w Jarocinie w latach 90., a dziś sama komercha. Świat się musi zmieniać. A ja kocham współczesność i staram się być w niej sobą.

Niedawno zacząłeś uczyć się śpiewać.

Jak wyszedłem z tych wszystkich koszmarnych rzeczy związanych z chorobą, to potrzebowałem na nowo nauczyć się operować głosem. Moja nauczycielka śpiewu, Almira, też jest dużo młodsza ode mnie, ma 27 lat. Nigdy wcześniej nie uczyłem się profesjonalnie śpiewać i stwierdziłem, że teraz jest dobry moment. To ciekawe doświadczenie – bo niby tyle lat jestem już na scenie, śpiewam, krzyczę.

Nowa płyta ma tytuł „Hau hau" – co to za okrzyk?

Że żyjemy, jesteśmy. Hello! Hau, hau! Oczywiście pomijam tutaj moją miłość do psów.

Od zawsze ją miałeś?

Za dzieciaka, wychowując się w bloku, miałem tylko chomika. Kiedy poznałem Martę i zamieszkaliśmy razem na Żoliborzu, to miała wtedy swojego pieska. I wszczepiła we mnie miłość do zwierząt: do psów, kotów. Zwierzę to też domownik. Gluś, nasz mops, był na okładce mojej solowej płyty. Kiedy odszedł, następnego dnia miałem zaplanowany koncert do zagrania, to było zajebiście ciężkie.

W moim życiu jest teraz czas pożegnań. W tym roku pożegnałem tatę. Był starszym, bardzo schorowanym panem, a jeszcze na koniec przygniótł go covid.

Na nowej płycie jest o nim piosenka, „Tomek".

O nim i dla niego. Nie jest to kawałek biograficzny, ale dużo w nim mojego taty. Ostatni rok byliśmy bardzo blisko. Odszedł w pokoju i w spokoju, i myślę, że jest we właściwym miejscu. I mi to też daje taki spokój.

Mniej się boisz tego, co będzie później?

Wydaje mi się, że oswoiłem sobie lęk przed śmiercią. On gdzieś tam jest, ale mniejszy. Nie powiem, że mi to wisi, że to tylko „pif-paf", bo każdy chce żyć.

Przez lata pisałem i śpiewałem sporo o śmierci, ale nie byłem z nią oswojony. Teraz jestem. Przyjmę to z pogodą. Nie, „z pogodą" to chyba złe słowo. Przyjmę to z pokorą. Nikt nie wie, ile nam zostało czasu. Ja się cieszę, że po chorobie dostałem ten czas jakby na nowo. Łatwiej żyć bez lęku niż przez całe życie takimi plastelinami – alkoholem, seksem, pracą, pieniędzmi – zaklejać dziury, przez które on przenika. Z nim trzeba się zmierzyć na golasa, takim, jakim się jest naprawdę.

A Twoja codzienność teraz? ↦

↦ Żyję dużo wolniej. Zaraz się zacznie ten młyn koncertowy, szybszy tygiel, ale po chorobie stawiam sobie granice, nie wchodzę w wiele rzeczy. Mam jakiś plan, ale też dużo więcej mam czasu na rzeczy, na które nie miałem go wcześniej – żeby zastanowić się nad tym, że wreszcie jest wiosna, patrzeć na zielone. Może ta choroba była po coś? Nie wiem, ale przemeblowało się u mnie trochę.

Jednak za sceną zatęskniłeś.

Bo być na scenie to zajebiste uczucie. Sława i muzyka to mocne afrodyzjaki, a showbiznes to w pewnym sensie niebezpieczne zajęcie. Dużo ludzi klepie cię po plecach, mnóstwo kobiet dookoła, leją ci to czy tamto, bierzesz to czy tamto. To jest tak jak na rollercoasterze, emocje są silne, można odlecieć. Trzeba mieć mocny charakter albo totalne zdrowie. Albo mieć blisko siebie kogoś, kto cię utrzyma przy ziemi.

Tylko jak utrzymać przy ziemi tego chłopaka z zespołu?

Związki są trudne. Z Martą, moją żoną, jesteśmy razem od prawie 40 lat. Kawał czasu.

To jaki jest ten sposób?

W romantycznej sytuacji długoletniej każdy musi wiedzieć, kiedy taktownie wyjść do innego pokoju. I każdy musi mieć ten swój pokój – niekoniecznie metrażowo, ale metaforycznie. Trzeba też wiedzieć, kiedy z niego wyjść i się spotkać. Są pokusy, chłopakom czy dziewczynom odwalało i będzie odwalać. Ja już to na szczęście mam za sobą. Miałem taki moment, to było w latach 90., ale nie mocny, na szczęście. Każdy musi przejść lekką odwałkę, ważne, żeby wrócił. Wierność jest trudna, niełatwo być fair – to też jest fragment mojej piosenki.

W showbiznesie jest jak na rollercoasterze, można odlecieć.
Trzeba mieć mocny charakter albo totalne zdrowie. Albo mieć blisko siebie kogoś, kto cię utrzyma przy ziemi.

Cytuję dzisiaj sam siebie w dużych dawkach, to nie jest trochę obciachowe?

Na jubileusz to chyba możesz. Lubisz obchodzić rocznice?

40 lat T.Love to jedno, a nowa płyta, którą z tej okazji wydajemy, to druga sprawa. Nie chcieliśmy robić takiego przewidywalnego scenariusza: „Chłopaki, zbierzemy się, zagramy traskę, będzie T.Love symfonicznie, T.Love akustycznie, T.Love plus goście". Dla mnie to trochę słabe. Chcieliśmy uczcić to powrotem na scenę. Zebrałem skład zespołu z czasów płyty „King", bo dla mnie to jeden z tych ważniejszych. Znamy się jak łyse konie, upiliśmy się tysiąc razy, pobiliśmy się tysiąc razy, jeden drugiemu odbił dziewczynę tysiąc razy – no może nie tysiąc, ale wiesz, o co chodzi.

Pewnie, że można odcinać kupony, a T.Love ma dużo przebojów. Lubię ten cytat, gdy David Bowie zapytany, jak ocenia swoją karierę i wkład dla muzyki, powiedział, że „jesteś tak dobry jak twoja ostatnia płyta". I ja się z tym zgadzam.

Masz poczucie, że Wam się udało? Tobie, zespołowi?

T.Love wyszło wszystko. Są gorsze płyty, są gorsze piosenki, ale gdyby wszystko było zajebiste, to byłoby to wręcz podejrzane. Muszą być wpadki. Zespół był parokrotnie na krawędzi rozpadu, ja byłem w różnych stanach. Nie może ciągle być super. Lubię o życiu myśleć jak o sinusoidzie: musisz być w dołku, żeby być na górze, nie ma opcji. W tym jest kolor człowieczeństwa. Przeszliśmy przez te 40 lat z własną stylową i ludzką godnością: nie staliśmy się jakimiś błaznami estrady, a ja i moi koledzy żyjemy z tego, co lubimy, i jeszcze dostajemy dużo dobrego od ludzi.

Czyli to jest to słynne spełnienie?

Z jednej strony mamy teraz ciężkie czasy, a z drugiej jestem tak szczęśliwy, jak nigdy nie byłem. Oczywiście martwię się światem, bardzo. Do wczoraj gościłem w domu siedmioosobową ukraińską rodzinę, cztery kobiety z trójką małych dzieci. Uciekli przed wojną i ryczałem, jak już położyli się spać. Te uczucia się we mnie mieszają. Mogę sobie myśleć o przyszłości i planować, ale nie wiadomo, co będzie za chwilę, dookoła jest strasznie. I jeżeli jakakolwiek moja piosenka może kogoś podnieść na duchu choć na moment, jeśli ktoś się uśmiechnie na koncercie, to będę się z tego bardzo cieszył.

W latach 90., po wydaniu płyty „Prymityw", do garderoby po koncercie, chyba to było we Wrocławiu, przyszła para narkomanów, totalnie ciężkich heroinistów. Dziewczyna i facet. I powiedzieli mi wtedy, że oni dzięki tej płycie wyszli z heroiny. Nie zapomnę tego nigdy. Jeżeli dwie osoby mogły wyjść z największego gówna dzięki czemuś, co ja zrobiłem, to czego mogę chcieć więcej?

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

POŻEGNANIE

Z najgłębszym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Ewy Markowskiej

która przez kilka dziesiątków lat
była filarem krakowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej,
najpierw jako oddana pracownica Klubu,
a następnie wieloletnia członkini zarządu.
Do końca życia pozostała wierna naszemu Klubowi,
uczestnicząc w jego sprawach i troskach.
Najbliższej Rodzinie Ewy składamy wyrazy serdecznego współczucia.

Przyjaciele i Koledzy
z Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie

KRZYSZTOF WODICZKO / MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Wodiczko, „Homeless vehicle / Pojazd bezdomny", 1988-89 r.

Instytut obalania wojen

MAGDA HEYDEL

My sami jesteśmy pomnikami wojny, bo nasza nieświadomość została zmilitaryzowana i wpisuje się we wszechogarniający monument, jakim jest kultura tworzona w obliczu zagrożenia – twierdzi Krzysztof Wodiczko.

W harvardzkiej Graduate School of Design trwa wystawa prac Krzysztofa Wodiczki zatytułowana „Interrogative Design". Stworzona przez Dana Borellego ekspozycja to retrospektywa dzieł artysty od dziesięcioleci konsekwentnie pytającego o urządzenie naszego świata i stan demokracji, a przede wszystkim o ludzi, którzy są jego ofiarami – bezdomnych, migrantów, ofiary wojny, ofiary przemocy.

Druker Gallery, gdzie można oglądać wystawę, to po prostu hol szkoły projektowania, przestrzeń użytkowa, zwykle pełna ludzi: dokądś idą, spieszą się, rozmawiają.

Zanurzenie w żywej dynamice miasta ma dla prac Wodiczki zasadnicze znaczenie. Jego praktyka artystyczna ustanawia związki między człowiekiem i światem, oddając głos tym, którzy zwykle są niewidzialni i niemi.

Projektowanie śledcze

Na rozmowę z Krzysztofem Wodiczką i Ewą Harabasz, profesorami w tej uczelni, umawiałam się w dniu, który okazał się datą początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Teraz, siadając przy stoliku w uniwersyteckim barku, nie mamy pewności, czy uda się nam porozmawiać. Poczucie nierzeczywistości czy niestosowności naszych dotychczasowych zatrudnień, wspomnienie naszego poprzedniego, beztroskiego spotkania w jednym z bostońskich muzeów, jest dojmujące. „Musimy wrócić do relacji między sztuką a wojną – mówi na wstępie Wodiczko. – Trzeba przemyśleć, jaka jest rola artysty w czasie wojny, przed wojną i po wojnie; bo nie ma innych czasów, tylko te trzy".

Harabasz, która w swoim malarstwie czerpie między innymi z tradycji ikony, pracuje z medialnymi wizerunkami ludzi w sytuacjach traumatycznych: „Przemoc, czyjeś nieszczęście dociera do nas zapośredniczone przez obrazy, które wchodzą w nas i łączą się z innymi wizerunkami, ↦

HARVARD ART MUSEUMS / KADR Z FILMU

Krzysztof Wodiczko, „Portrait", Harvard Art Museums, 2021 r.

↦ malarstwem religijnym, takim jak ściśle skodyfikowane przedstawienia na ikonach, albo na przykład z obrazami Caravaggia". Jak zobrazować ból? – pyta autorka cyklu obrazów inspirowanych tragedią w Biesłanie (2005). W jaki sposób dać wyraz cierpieniu ciała ludzkiego, aby nie popaść w gotowe rozwiązania, suflowane przez ikonosferę, wywołujące przewidywalne efekty? Jak przedstawić to, na co nie ma słów, co jest niewyrażalne?

W naszej rozmowie prace obojga artystów oraz moje zajęcia przekładowo-akademickie na tutejszej uczelni – tłumaczenie poświęconego ofiarom wojny poematu Alice Oswald „Monument" oraz wyrażające osobisty ból „Treny" Jana Kochanowskiego – splotły się niespodziewanie w przestrzeni aktualnych wydarzeń. Zdaliśmy sobie sprawę, że nie będziemy rozmawiać tylko o harvardzkiej wystawie.

Użyty w tytule wystawy Krzysztofa Wodiczki termin „interrogative design" powstał wiele lat temu, podczas seminarium pod takim właśnie tytułem w Massachusetts Institute of Technology w Cambridge. „Niełatwo ten termin przetłumaczyć: »projektowanie badawcze«, ale zarazem »śledcze«, bo »interrogation« oznacza przesłuchanie, procedurę policyjną. Podstawowym elementem jest przekonanie, że projekt nie zawsze może zaoferować rozwiązanie problemu, lecz tymczasową odpowiedź na sytuację, która nie powinna zaistnieć w cywilizowanym świecie" – mówi Wodiczko.

„Projektowanie śledcze" reaguje na sytuacje, które są szkodliwe, powodujące okaleczenia, straty. Ma ujawnić skandaliczność potrzeb, na które samo musi odpowiedzieć. Na przykład – bandaż. Przecież to nie do przyjęcia, że ludzie odnoszą rany – ale skoro tak się dzieje, trzeba próbować zaradzić skutkom tego skandalu. Bandaż nie rozwiązuje problemu, ale łagodzi jego skutki i ujawnia jego źródło. Wodiczko pyta: „Czy można sobie wyobrazić bandaż, który miałby pamięć sytuacji, w której zadano ranę, bandaż, który mówi: »nie powinno mnie tu być, nie powinna zaistnieć taka potrzeba, ale jestem, staram się zaradzić, ujawniam«?". Projekty artystyczne Harabasz zatytułowane „Therapies" (2003-04) i „Wrapped Stones" (2004) polegają na „bandażowaniu" kamieni, wielkich otoczaków, które dzięki temu przekształcają się w owinięte w całuny dzieci albo kikuty po amputacji. Nieme kamienie podnoszą lament, krzyczą o ludzkim bólu.

„Człowiek, który jest ranny, przestaje być żołnierzem, rana pozbawia go tej funkcji, wtedy widzimy, że jest po prostu człowiekiem – mówi Wodiczko. – Patrząc na obrazy wojny nie możemy przestać dostrzegać, że to człowiek zabija człowieka, a nie wróg wroga. Inaczej stracimy rozum. Propaganda zabiera nam prawo do patrzenia na człowieka jako człowieka".

To samo, podkreślają oboje, dotyczy ludzi uciekających przed wojną: „Artyści mogą pomóc w zlikwidowaniu rasistowskich czy szowinistycznych uprzedzeń. Sprawić, byśmy zobaczyli, że wszyscy jesteśmy ofiarami wojny, niezależnie od tego, kto ją wywołał i dlaczego. Już teraz musimy się przygotować do okresu powojennego, czyli takiego czasu, kiedy doświadczenie wojny wywołuje w ludziach następną wojnę".

Na harvardzkiej wystawie pokazano projekty służące tworzeniu i rozwijaniu sfery porozumienia i współbycia w przestrzeni wspólnej, a więc narażonej na konflikt. Mówią one o obcych wśród nas i obcych w nas. Przykładem może być słynny „Homeless vehicle / Pojazd bezdomny" (1988-89) powstały na podstawie doświadczeń mieszkańców nowojorskich ulic. Łączy funkcję sypialni, ła-

GRAŻYNA MAKARA

Krzysztof Wodiczko w Krakowie, 2012 r.

zienki, podręcznego magazynu i środka transportu, może służyć osobom skazanym na życie miejskich nomadów, a zarazem, dzięki charakterystycznej zmiennej formie, odwołującej się do supermarketowego kosza, wozu cygańskiego, lekarskich noszy oraz rakiety kosmicznej, jest ostentacyjną interwencją w przestrzeń ulicy. Pojazd daje użytkownikowi widzialność, przenosi go z marginesu w samo centrum sytuacji. Ilustrują to fotografie „Pojazdu" w użyciu na tle nowojorskiej Trump Tower.

Ciała na murach

Najbardziej znane prace Krzysztofa Wodiczki to multimedialne projekcje realizowane m.in. w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Hiroszimie, meksykańskiej Tijuanie czy Antwerpii. Te interwencje w miejską przestrzeń dokonują radykalnej zmiany relacji architektury i ciała ludzkiego: wyświetlone na gmachach dłonie, oczy, nogi, twarze czy sylwetki rozrastają się do rozmiarów całych fasad. Ciała ludzi zmarginalizowanych, skrzywdzonych, niewysłuchanych na czas trwania projekcji przejmują we władanie budynki symbolizujące władzę i ustalony porządek. Zaciera się kontrast między trwałością architektury i ulotnością wyświetlanego obrazu, a także pozorna nieprzystawalność kamiennego porządku budowli i ludzkiego ciała – delikatnego, ranliwego.

„W tradycji neoklasycznej te porządki są całkowicie nakładalne – mówi Wodiczko. – Stale posługujemy się w opisie architektury obrazem ciała ludzkiego czy cielesnymi metaforami. Pod tym względem ludzkie ciało już jest obecne w architekturze, moje projekcje wypowiadają tylko to, co już jest w budowlach. My sami jesteśmy tymi budynkami, wpisujemy się w nie postawą, zachowaniem. W sytuacjach formalnych usztywniamy się, nakładamy fasady, stajemy się pomnikami samych siebie. I odwrotnie: budynek, gmach jest obolałym ciałem człowieka".

W 1992 r. Wodiczko pokazał na ścianie wieży ratuszowej w Krakowie dłonie ludzi opowiadających o trudnych przeżyciach. Wykorzystał wieżę oraz pustkę wokół niej, przestrzeń po nieistniejącym gotyckim ratuszu. „Ta wieża – mówi teraz – jest wyalienowanym, samotnym człowiekiem, jak każdy z nas, dlatego ludzie wyświetlają siebie w tej wieży, wcielają się w tę wyniosłą strukturę. Tymczasem ja za pomocą projektora pokazuję kogoś innego, kto się w nią wcielił. Wieża musi przyjąć nieproszonego lokatora, muszę się spotkać z tą nieproszoną osobą, mówiącą o tym, co się wydarzyło w jej życiu. Nie chodzi o proste odsłuchanie czyjegoś głosu, jak w radiu; ten głos przenika w ciało człowieka. Właśnie w Krakowie zauważyłem to po raz pierwszy".

Projekcja, która teraz, w czasie wojny, nabiera szczególnego znaczenia, „Abraham Lincoln: War Veteran Project" (2012), została stworzona na nowojorskim Union Square. Statua prezydenta, uczestnika najkrwawszej wojny w historii USA, udzieliła swojego ciała weteranom z Wietnamu, Iraku i Afganistanu – albo raczej to oni uczynili z pomnika ludzkie ciało, ofiarowując mu swoje twarze, dłonie, głosy i pamięć. Ich opowieściom o przemocy, stracie i winie autorytetu udzielił Lincoln, ale zarazem to one pozwoliły Lincolnowi, niememu świadkowi wielu antywojennych manifestacji, zabrać głos, opowiedzieć o prawdziwym, niezmitologizowanym doświadczeniu wojny.

„Pomniki zawsze są podejrzane – mówi Wodiczko. – Bohaterowie mogą się okazać zbrodniarzami. Ale trzeba się poważnie zastanowić, jak z nimi postąpić, a decyzja, żeby pomnik przenieść czy zniszczyć, powinna być poprzedzona długą dyskusją". Często pomniki powstają znacznie później niż wydarzenia, już na skutek procesu mitologizacji, dlatego dyskusja, rozważenie różnych punktów widzenia, wielu spojrzeń, jest tak istotna. Projekcje na pomnikach w jednym ze swoich wymiarów służą demokratyzacji tej debaty, sondują możliwości porozumienia w obszarze wspólnej, ale niespójnej pamięci, wypracowują nowe znaczenia i praktyczne zastosowania znaków przeszłych wydarzeń i ideologii.

Sens utopii

Równolegle z wystawą w School of Design harvardzkie Muzeum Sztuki pokazuje pracę Wodiczki zatytułowaną „Portrait" (2021). W ciemnym pokoju na trzech ścianach znajduje się wizerunek George'a Washingtona pędzla Gilberta Stuarta (oryginał zobaczyć można w tej samej galerii dwa piętra wyżej), w który wpisane zostały projekcje twarzy osób wypowiadających się na tematy ważne dla współczesnej Ameryki. Ludzie biali i kolorowi, kobiety i mężczyźni, Amerykanie i przybysze, młodsi i starsi, ↦

↦ konserwatyści i lewicowcy mówią o demokracji, sprawiedliwości społecznej, systemach politycznych i ekonomicznych. To sprawy budzące dziś silne emocje, dyskusja nad nimi bywa trudna, jeśli nie niemożliwa, a zasada uprzejmości (niebezpiecznie sąsiadująca z obawą i oportunizmem) każe raczej milczeć niż ryzykować wypowiedzenie opinii niezgodnej z panującym klimatem.

Tymczasem, podkreśla artysta, trzeba komplikować obraz rzeczywistości, oddać głos każdemu, kto jest za, kto jest przeciw, kto chce spojrzeć z innego punktu widzenia, i maksymalnie przedłużać ten proces. Podobnie jak inne prace artysty, także „Portrait" angażuje widza: każe mu śledzić kolejne wypowiedzi. Widz musi się odwracać to w jedną, to w drugą stronę, ale nie może się włączyć w rozmowę, musi słuchać. Oto samo sedno dyskusji demokratycznej: słuchanie wymagające cierpliwości i uważności, dzięki którym udaje się wyjść poza własny punkt widzenia.

Demokracja, jak podkreśla Wodiczko, to ciągły proces, a nie osiągnięty cel, i właśnie ów proces musi być w swej istocie demokratyczny, aby zagwarantować miejsce wszystkim głosom i perspektywom. „Wydaje nam się, że jeśli podejmiemy słuszne działanie, to ludzie staną po naszej stronie. Jednak wewnętrzne przekonanie, że racja jest po naszej stronie, a nie po stronie myślących inaczej, bo oni na pewno się mylą, uniemożliwia zobaczenie rozwiązania" – mówi Wodiczko.

Rozwiązaniem jest utopijna wizja społeczeństwa, w którym różne społeczności przyjmują kulturę wzajemnego słuchania, dialogu, gdzie trwa nieustanna praca swoistej „komisji prawdy i pojednania". To trudne do wyobrażenia, bo społeczności opartej na takiej zasadzie po prostu nie ma. „Być może nasi studenci będą projektantami przyszłości – mówią moi rozmówcy. – Pochodzą z wielu kultur i społeczeństw, więc metody ich pracy okażą się z pewnością bardzo różne, dostosowane do miejsc na całym świecie, do których wrócą".

Tymczasem otaczają nas przedstawienia wojny. „Po tej wojnie czy po jakimś jej etapie zaczną znowu powstawać pomniki, na przykład łuki triumfalne, witające powracających zwycięzców – mówi Wodiczko. – Takich łuków już jest bardzo dużo, ale wciąż czekają na prawdziwe zwycięstwo. Wiemy dobrze, że jeszcze się ono nie pojawiło. Bo prawdziwym zwycięstwem będzie obalenie wojen. To będzie prawdziwy triumf". Każdy łuk triumfalny zniekształca obraz i pamięć wojny, mamiąc ludzi młodych, którzy nie mogą pamiętać kryjącego się za nim cierpienia. Tymczasem w ludziach starych sama myśl o wojnie wywołuje strach, jeden z najpotworniejszych, jakie można sobie wyobrazić. Czy więc należy zburzyć paryski Łuk Triumfalny i inne łuki?

A może należałoby **zburzyć Łuk Triumfalny?** Żeby nie ulegać wzorcom wdrukowanym przez tradycję i wzmacnianym przez propagandę?

Symbolicznie i praktycznie

Krzysztof Wodiczko stworzył projekt re-konstrukcji potężnej budowli z Place de l'Étoile, ozdobionej fryzami przedstawiającymi żołnierzy i ich wodza oraz alegoriami wojny i pokoju, a także nazwiskami napoleońskich generałów. Paryski Łuk Triumfalny jest „machiną wojenną", a zarazem świętą ikoną, bo wewnątrz znajduje się grób nieznanego żołnierza. Blask wiecznego ognia tworzy tu aurę świątyni, uświęca wojnę, sugeruje, że wojna będzie zawsze, i że tworzy bohaterów, do których można się modlić. „Nie ma informacji o tym, ilu ludzi zginęło, ilu zostało poranionych czy straumatyzowanych, jakie zniszczenia materialne i polityczne wojna zadała demokracji – mówi Wodiczko. – Dlatego proponuję stworzenie Instytutu Obalenia Wojen. Będzie on miał formę konstrukcji otaczającej Łuk".

Instytut ma okryć paryski monument ażurową budowlą, która powtarza jego kształt, powiększając go zarazem, wskazując na planie fizycznym i symbolicznym, że zadanie osiągnięcia pokoju jest ogromne i przekracza ogrom wojny. Konstrukcja pozwala też inaczej zobaczyć sam pomnik. W wymiarze fizycznym kamienna budowla tylko prześwituje zza struktury rusztowania, na planie symbolicznym staje się tylko okazem z historii naturalnej wojen, laboratoryjnym preparatem, który należy poddać badaniu przy pomocy otaczającej go skomplikowanej aparatury.

Zgodnie z myśleniem w kategoriach *interrogative design*, struktura Instytutu łączy funkcje symboliczne i praktyczne, dając do myślenia, a zarazem zapewniając przestrzeń dla pracy aktywistycznej, badawczej i artystycznej prowadzącej do obalenia wojen. W eseju o Światowym Instytucie Obalenia Wojen autor pisze, że my sami także jesteśmy pomnikami wojny, nasza nieświadomość została zmilitaryzowana i wpisuje się we wszechogarniający pomnik wojny, jakim jest kultura tworzona w obliczu zagrożenia i na fundamencie pamięci o traumatycznej przeszłości. Celem Instytutu Obalenia Wojen jest zdemilitaryzowanie dusz, zwolnienie ich z wojennych misji, którym są oddane.

Stworzenie nieistniejącej przestrzeni dialogu w czasie wojny wydaje się tym bardziej niemożliwe, a zarazem konieczne. Zadaniem sztuki dzisiaj, podkreślają Krzysztof Wodiczko i Ewa Harabasz, jest praca nad tym, aby otaczające nas obrazy – pomniki, fotografie na pierwszych stronach gazet, malarstwo, projektowanie – nie utrwalały istniejącego stanu rzeczy, nie potwierdzały w nas przekonania, że wojna musi być, a nam pozostaje tylko uleganie wzorcom reakcji wdrukowanym w nas przez tradycję i wzmacnianym przez propagandę.

„Zdarzało się – mówi Ewa Harabasz – że moje obrazy przedstawiające ofiary przemocy, na przykład dzieci z Biesłanu, były traktowane jak obrazy święte i przedmioty kultu religijnego, tymczasem ich celem jest sproblematyzowanie, skomplikowanie przedstawień cierpienia". „Jeśli będziemy się nadal tylko do nich modlić – dodaje Krzysztof Wodiczko – i uruchamiać prostą, jakby gotową empatię, to nie dostrzeżemy tego wszystkiego, co naprawdę niesie wojna, co ludzie rzeczywiście czują. Potrzebny jest gest przekonstruowania reprezentacji wojny".

© MAGDA HEYDEL

INTERROGATIVE DESIGN: SELECTED WORKS OF KRZYSZTOF WODICZKO
Druker Design Gallery (Graduate School of Design, Harvard University), kurator Dan Borelli.

Krzysztof Wodiczko **PORTRAIT**
Harvard Art Museums.

PIOTR NYKOWSKI / TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE

Scena ze spektaklu „Odlot" w reżyserii Anny Augustynowicz

Nieskończone poprawiny

DARIUSZ KOSIŃSKI

Zenon Fajfer i Anna Augustynowicz uświadamiają, że nawet jeśli możemy o katastrofie smoleńskiej na chwilę zapomnieć, to ona na pewno nie zapomni o nas.

Teatr jest (a przynajmniej być powinien) przestrzenią myślenia i poznania niedostępnego gdzie indziej, a także miejscem niemożliwej inaczej debaty publicznej. Na dobre i złe taki teatr ma szczególnie znaczenie w polskiej kulturze, która długo istniała tylko jako przedstawienie alternatywne wobec zaborczo zabranej rzeczywistości. Zamiast pocieszać obietnicą cudu, rzucał nadzieję zmartwychwstania jako wyzwanie i kwestionował zaklęcia narodowego hymnu.

Bo choć Polska nie umarła, póki my żyjemy, to wcale nie wynika z tego, że i ona żyje naprawdę. Może tylko snuje się jak upiór, który w kolejnym pokoleniu znów kogoś z domu porwie, choć dzieci krzyczą „ach! ach! nie bierz tata!". Polski teatr tego upiora nam zwołuje na dziady, które są nie obrzędem pamięci i celebracją kultu zmarłych. Zmusza do zejścia pod spektakularną skorupę, by sprawdzić temperaturę lawy.

Wszyscy jesteśmy jakąś pomyłką

Poemat dramatyczny Zenona Fajfera „Odlot" przeczytałem jeszcze przed jego publikacją. Nie pamiętam dokładnie roku, ale sporo już czasu upłynęło, odkąd autor, którego wcześniej osobiście nie znałem, przyniósł mi maszynopis i, o niczym nie uprzedzając, poprosił o lekturę. Pamiętam za to narastające radosne zdumienie, kiedy z każdą stroną orientowałem się coraz lepiej, z czym mam do czynienia. Fajfer znany jest w Krakowie od lat jako twórca liberatury – twórczości poetyckiej traktującej słowo, literę i książkę jako obiekty złożonych gier obejmujących znaczenia, brzmienia i wyglądy, w których stawką jest wydobycie tego, co pod słowami się ukrywa i w nich się wcale łatwo nie przejawia.

Czytanie „Odlotu" jest dalekie od zwykłych linearnych przygód czytelniczych. Przypomina bardziej oglądanie jakiegoś dzieła sztuki wizualnej. Pamięć jest budzona i natychmiast zadziwiana. Pomieszane języki, znane inkantacje w miejscu innym i w innej tonacji niż byśmy się spodziewali. Ojczyzna-polszczyzna zborsuczona i poobijana. Narodowe abecadło, które z pieca spadło.

I pamiętam, jak stopniowo zdawałem sobie sprawę, co czeka u kresu tej podróży i o jakim samolocie mowa w maszynopisie, który liczył dokładnie 154 strony. ↦

↦ Ale powiedzieć, że „Odlot" jest poetycką wizją katastrofy smoleńskiej, to tak, jak powiedzieć, że „Kordian" jest dramatem o ofierze polskiego bohatera-patrioty – ulec pozorom i przesłonić to, co naprawdę kłopotliwe, formułą o lepkości wypisu ze szkolnego bryku. Katastrofa prezydenckiego Tu-154 to rzeczywiście punkt wyjścia i zarazem ciemna plamka w samym centrum poematu Fajfera. Chodzi jednak o rozpad zbiorowości, wir resztek, ech, głosów i obrazów, na jakie rozpadło się to, co wyruszyło do Smoleńska jako reprezentacja Polski. Teatr „Odlotu" to teatr katastrofy, ale nie tej jedynej i niepowtarzalnej, lecz tej, co ciągle się powtarza, tego nieustannego „raz dokoła", w którym zostaliśmy zamknięci okrutnego 10 kwietnia i z którego nie możemy wyjść niezależnie od tego, czy żyjemy tylko tamtą pamięcią, czy właśnie chcemy się jej pozbyć.

Fajfer tworzy kompozycję, którą stopniowo rozpoznajemy jako boleśnie syntetyczny obraz naszej duchowej rzeczywistości w ruinie. Ale też z jej wnętrza natychmiast zadaje nam i sobie pytanie, czy naprawdę nie ma już niczego więcej. Tyle samo miejsca, co katastrofalne korowody słów, zajmuje widmowa wizja całującej się pary. Pojawiające się na osobnych kartach dwa słowa „Całują się" są jak światło padające w nocy do pokoju, gdzie leżysz w gorączce, śniąc szalone i przerażające obrazy. Fajfer nie popada przy tym w czułostkowość i ten obraz bierze w lekko komiczny nawias. Inscenizuje jak cukierkową sekwencję z jakiegoś filmu romantycznego, pozostawiając nam do rozstrzygnięcia, czy ucieszymy się rzucanym przez nią blaskiem, czy raczej odnajdziemy pod nim gorycz poczucia, że jeśli nawet jakieś życie jest, to gdzie indziej, a lekkość jego bytu okazuje się nieznośna.

Gdzie jej mieszkanie

Od początku byłem też przekonany, że ten tekst stanowi wspaniałe wyzwanie dla twórczego teatru, który oczywiście nie powinien „wystawiać" tekstowej inscenizacji autorskiej, lecz odpowiedzieć na nią inscenizacją własną. Próbowałem nawet kilka znajomych scen nim zainteresować, ale bez powodzenia.

Gdy wydawało się, że samolot Fajfera nie oderwie się od ziemi, okazało się, że „Odlot" zainteresował Annę Augustynowicz, która postanowiła nim zakończyć swoją trzydziestoletnią dyrekcję w Teatrze Współczesnym w Szczecinie. Do współtworzenia przedstawienia zaprosiła wieloletnich współpracowników: scenografa Marka Brauna, kompozytora Jacka Wierzchowskiego, choreografa Zbigniewa Szymczyka, reżysera świateł Krzysztofa Sendkego, a przede wszystkim znakomite aktorki i aktorów, zarówno szczecińskich, jak i tych, którzy w spektaklu biorą udział gościnnie, a dla teatru Augustynowicz byli z różnych powodów ważni.

> Za chwilę znów obudzimy się w nocniku polsko-polskiej wojny, której nie chcemy, a którą dostaniemy i tak. Usłyszymy, że **kto nie wierzy w zamach, jest kacapskim agentem.**

W tym gronie szczególne miejsce zajmują Irena Jun (występująca w projekcjach filmowych), Anna Januszewska i Bogusław Kierc, których wyjątkowe głosy wsparte bogatym dorobkiem, doświadczeniem i miejscem, jakie zajmują w polskim teatrze, nadają przedstawieniu ton jakiejś niedzisiejszej powagi. Równie wyjątkowe jest miejsce Grzegorza Falkowskiego. To on też rozpoczyna przedstawienie, cytując jednocześnie „Wyzwolenie" i „Wesele", cytując własne role i spektakle Anny Augustynowicz, a zarazem zapraszając w ten sposób na scenę jeszcze jedną grupę bliskich współpracowników reżyserki – ważnych dla niej autorów, Wyspiańskiego i Gombrowicza. Augustynowicz odpowiada na wyzwanie „Odlotu" z centrum swojego autorskiego teatru, w którym przez dekady mierzyła się z polskością, szczególnie tą zaklętą w kręgi niemocy, klątwy powtórzeń.

Stworzona przez reżyserkę wersja sceniczna wydała mi się mniej drapieżna i szydercza niż wersja autorska. Mniej też dynamiczna i gniewna. Przepojona raczej smutkiem i czymś na kształt rezygnacji. Mówi się tu wprawdzie o weselu, ale wydaje się, że jesteśmy raczej na stypie i to urządzonej w kolejną rocznicę śmierci, by powspominać dawno zmarłych. A raczej by oni sami wspominali siebie. Augustynowicz zdaje się wzmacniać obecny i w autorskim tekście domysł, że słyszalne w nim głosy należą do tych, którzy lecieli 10 kwietnia do Smoleńska, a więc są głosami zmarłych. Tyle że to seans powtarzanej i rozsypującej się pamięci, ale nie indywidualnej czy generacyjnej, a wprost – narodowej.

Całe przedstawienie zdaje się przesiąknięte tym samym tonem, który w „Wyzwoleniu" Wyspiańskiego brzmi we wspaniałym wierszu „Chcę, żeby w letni dzień...". Wyznacza rytm przesuwającym się na projekcji wideo schodom ruchomym tworzącym obraz jakiejś niekończącej się i niewiodącej do żadnego nieba polskiej drabiny Jakubowej. Najmocniej brzmi w rozegranych z całą powagą sekwencjach Wielkiego Serio. Poza dwoma monologami do dawnego przyjaciela, który przeprowadził się na ulicę Smoleńsk (mówi je Bogusław Kierc) i nową wersją kluczowej dla wymowy spektaklu piosenki Barda Najbardziejszego (Wojciech Brzeziński), ten ton umacniają przede wszystkim ekranowe pojawienia się Ireny Jun. Aktorka czyta nie tylko przynależący do autorskiego tekstu list zamordowanego w Katyniu Ignacego Bazarnika, ale śpiewa też przychodzącą z innego świata i czasu piosenkę o małym białym domku.

I czyta „Moją piosnkę II" Cypriana Norwida. Niespodziewanie najmocniej i najbardziej serio słyszę w niej tęsknotę nie „do kraju tego", ale do „rzeczy innej, której już nie wiem, gdzie leży mieszkanie". I to ta „rzecz" – nieznana, bezimienna i bezmiejscowa, o której mówić może już tylko z taśmy wideo pamiętana z dawnych lat wspaniała aktorka – wydaje się w przedstawieniu Augustynowicz światłem padającym spoza galaktyki katastrofalnych szczątków na umarłą klasę Polski roku 2021. Wprawdzie i tu „całują się" młodzi, siedzący wśród publiczności, wydobywani światłem, uśmiechem i ciepłym nagle głosem koryfeusza, ale Augustynowicz zdaje się zachowywać dystans do tej nadziei pokładanej w miłosnej codzienności.

To, że całują się bardzo młodzi, zdaje się oznaczać, że nie są oni z innej przestrzeni, a tylko z innego czasu. Że ich odmienność jest odmiennością „jeszcze nie teraz". Ten głos pochodzi z wnętrza romantycznej kultury i słyszę w nim napomnienie, by tego, za czym nam tęskno, szukać wciąż tam, wierząc, że to, cośmy z tą naszą wielką poezją i wielką myślą powyrabiali, to, jakeśmy ją powykręcali i do jakich sprowadzili cepów, obciąża nas, a nie ją.

Nie śpiewajcie tej piosenki, bo zanadto smutna

Do Szczecina na spektakl Teatru Współczesnego wybierałem się kilkakrotnie, ale z powodów pandemiczno-rodzinnych obejrzałem go dopiero 1 kwietnia 2022 r. w Łodzi, na niezwykłym Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych organizowanym przez Teatr Powszechny. Śnieżna zadymka, która towarzyszyła mi całą drogę i była jak kiepski primaaprilisowy żart, jakąś dziwną zawieją emocji i czasu wydobyła spod miasta folderowo odnowionego i turystycznie glamurowatego dawniejszą i (wyznać trzeba) bliższą mi Polskę odrapanych fasad i dziur w asfalcie, z których przejeżdżające samochody rozchlapują brudną wodę na czekających na przystanku zmarzniętych ludzi z siatami.

„Odlot" oglądany w Łodzi w kwietniu 2022 r. to oczywiście inne przedstawienie niż „Odlot" widziany w grudniu czy w styczniu w Szczecinie. Między premierą a festiwalowymi pokazami wydarzyła się wojna, która wciąż wydaje się zmieniać wszystko, choć już nie jestem tak całkowicie pewny nieodwołalności tej zmiany, jak byłem jeszcze tydzień czy dwa temu. Ale gdy po nowej wersji „Murów" Jacka Kaczmarskiego (zaiste proroczy fragment, który staje się właśnie murem na granicy z Białorusią) padają słowa „Jeszcze Polska nie umarła, to zdycha solidarność", czuję, jak niemal odruchowo budzi się we mnie sprzeciw.

Bo przecież właśnie po wybuchu wojny w Ukrainie, ku autentycznemu zdziwieniu świata i samych siebie, Polacy ruszyli solidarnie pomagać Ukraińcom – i tym uchodzącym z ogarniętego wojną kraju, i tym walczącym w jego obronie. Klarowność sytuacji jednoznacznie rozdzielającej etyczne „tak" i „nie", poczucie, że trzeba coś zrobić, które wyrwało tylu ludzi z apatii, świadomość, że wszelkie podziały pracują na korzyść przeciwnika – wszystko to wydawało się dokonywać zmiany tak zasadniczej, że aż unieważniającej posmoleński klincz i zdolnej przerwać arcypolski korowód rachunków wyłącznie cudzych, a nigdy własnych win.

Ale już kilka dni przed pokazami „Odlotu" w Łodzi zaczęły nadciągać oznaki, że tak jak po kwietniowej żałobie i po pandemicznym zamrożeniu dziesięć lat później, także po szoku wojny wracamy powoli do błędnego koła. Marszałek Senatu nie mógł sobie podarować okazji, by walnąć w rząd PiS-u, za co senatorowie PiS-u z dziką radością i niekłamaną satysfakcją postanowili spróbować go odwołać. Już widać, jak chłopcy z obu drużyn w podskokach biegną na swój ulubiony pasionek, by znów grać na faule i spalone.

Prezes Kaczyński właśnie ogłosił, że dowiedział się, jak wysadzono w powietrze samolot jego brata, a prawicowi dziennikarze ochotnie basują, że przecież widać, jakim zbrodniarzem jest Putin, więc i do zamachu byłby zdolny. Solidarność też słabnie i coraz częściej słychać „A my? A nasz?". Dzień przed przyjazdem do Łodzi w taksówce od prowadzącego pojazd barometru nastrojów społecznych usłyszałem, że pomagać owszem, ale przecież o polskie dzieci trzeba bardziej zadbać, bo im zaraz zabraknie. Zaiste coś wyłazi spod fasady telewizyjnych widowisk i pokazówek dla amerykańskich przyjaciół. I nie pachnie to coś ładnie.

Wiele wskazuje, że za chwilę znów obudzimy się w nocniku polsko-polskiej wojny, której nie chcemy, a którą dostaniemy i tak. Jeszcze tylko moment i usłyszymy, że każdy, kto nie wierzy w zamach, jest kacapskim agentem i ma krew smoleńskich ofiar na rękach. Po dwunastu latach od fatalnego 10 kwietnia wszelkie nadzieje na wyciągnięcie z katastrofy jakiejś wyzwalającej prawdy, które głosiły obie strony posmoleńskiego frontu, wydają się całkowicie złudne. Widać przecież jasno, że na wierze w zamach żadnej przyszłości się nie zbuduje, a tylko zatrzaśnie nieuchronnie wspólny dom w kleszczach zastępczej nienawiści zatruwającej wszystkim życie. Ale i z przekonania, że to tylko seria tragicznych przypadków i zaniedbań, wiele nie wyniknęło, bo znów samolot prezydencki nie dotarł do celu ważnego lotu – choć tym razem na szczęście nie próbował lądować mimo wszystko.

Widać jak na dłoni, że katastrofa smoleńska i to, cośmy po niej i z niej zrobili wszyscy – niezależnie od tego, co myślimy o przyczynach i w jakie czynności szatańskie wierzymy – nie przyniosła żadnego otrzeźwienia, żadnej przemiany, żadnej twórczej i życiodajnej refleksji. Nadała za to polskim korowodom ciężar *danse macabre* i zmieniła klasę polityczną w klasę umarłą, w której wszyscy zdają się na wieki sczepieni z trupami drogich zmarłych przygniatającymi im karki.

„Odlot" Fajfera i „Odlot" Augustynowicz – każdy na swój sposób – prowadzą ku konfrontacji z tym śmiertelnym jadem. Gdy przedstawienie się kończy, wstaję, by im i wszystkim współtworzącym podziękować. To już nie jest wyłącznie kwestia mojej wiary w sens teatru, tylko czegoś tak podstawowego, jak walka o oddech. © DARIUSZ KOSIŃSKI

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Słubicach pod sygn. akt I Ns 435/21 prowadzi sprawę o stwierdzenie nabycia spadku po Barbarze Wichlaj, z d. Sakowskiej, c. Edwarda i Zenony, ur. 4 grudnia1936 r. w Ciełuchowie, zm. 20 października 2021 r. w Słubicach. W skład spadku wchodzi:

- prawo własności lokalu mieszkalnego położonego w Słubicach przy ul. Kilińskiego 5/3 o pow. 49,97 m^2
- wyposażenie mieszkania,
- garaż murowany położony w Słubicach przy ul. Kilińskiego, o pow. 19 m^2,
- prawo do działki ogrodniczej w ROD,
- kwota 2197, 54 euro.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 1/20 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Komendanta Wojewódzkiego Policji w Poznaniu o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Rogowiczu, zmarłym 11 czerwca 2016 r., ostatnio stale zamieszkałym w Woli Książęcej. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

KOBAS LAKSA / MATERIAŁY PRASOWE

Polskie Znaki (od lewej: Janusz Zdunek, Jarosław Ważny, Radek Łukasiewicz), styczeń 2022 r.

Grzebanie w tradycji

JAN BŁASZCZAK

Polska muzyka tradycyjna nie żegna się wcale ze światem, choć ze śmiercią najbardziej jej do twarzy. Zespół Polskie Znaki postanowił właśnie przybliżyć współczesnemu słuchaczowi tradycyjne pieśni pogrzebowe.

Każdego roku kolejni polscy twórcy odnoszą się do dorobku wiejskich muzykantów i ludowych śpiewaczek. Niektórzy nie tylko studiują ich pieśni, ale także przeprowadzają z nimi wywiady, rejestrują ich śpiew. Potem kultywują te dzieła w oryginalnej formie lub dokonują ich reinterpretacji.

W 2019 r. trio Grochocki, Odorowicz, Kozieł nagrało album „Pieśni przejścia", na który składają się głównie lubelskie pieśni żałobne. W tym roku ukazało się „Community of Grieving", za sprawą którego Zofia Hołubowska i Julia Giertz przenoszą ludowy lament w środowisko posępnej elektroniki. Jesienią natomiast pojawi się wznowienie dawno już – co niedziwne – wyprzedanego „Requiem ludowego" autorstwa Kwadrofonika i Adama Struga. A to tylko kilka głośnych tytułów z półki „pieśni żałobne".

Z tego też powodu co najmniej niefortunne wydaje mi się hasło promujące album „Rzeczy ostatnie" zespołu Polskie Znaki: „Ważne postaci polskiej popkultury ratują polskie pieśni ludowe przed wyginięciem". Nie chciałbym oskarżać autorów o ignorancki albo – co gorsza – protekcjonalny ton, w przypadku takich produkcji to przecież nie twórcy odpowiadają za materiały promocyjne. Napiszę więc jedynie, że to zdanie jest nieprawdziwe. Historia pokazuje, że to my giniemy. Pieśni mają się dobrze.

Oswajanie śmierci w praktyce

W produkcję „Rzeczy ostatnich" zaangażowały się gwiazdy i popularni twórcy z kręgu rodzimego popu. Trzon grupy tworzą Radek Łukasiewicz – wieloletni lider rockowego zespołu Pustki, Janusz Zdunek – trębacz, który wypłynął na fali yassu, by 25 lat temu związać się z grupą Kult, i jego kolega z tego zespołu – puzonista Jarosław Ważny. Muzycy poznali się w 2011 r., kiedy pierwszy z nich dołączył do składu formacji Buldog, z którą grał aż do jej rozpadu w 2014 r. Choć wcześniejsze doświadczenia artystyczne powinny były pchnąć twórców w stronę rocka lub muzyki improwizowanej, długie rozmowy przekierowały ich na zupełnie inne tory.

– Szczerze mówiąc, znałem tylko „Anielski orszak", na temat którego impresja zamyka płytę – wspomina swoje młodzieńcze spotkania z muzyką tradycyjną Łukasiewicz. – Wiadomo, że jest on pogrzebowym „evergreenem". Od dzieciństwa ta melodia bardzo mi się podobała, ale pomysł, żeby ją dołożyć, przyszedł na końcu. Chcieliśmy mieć na płycie taki utwór, który wszyscy znają. Tematem zainteresował mnie Jarek Ważny, który pieśni ludowe zbierał i archiwizował hobbystycznie już od jakiegoś czasu.

Muzycy postanowili nie tylko przearanżować – albo wręcz przekomponować – tradycyjne pieśni, ale także zaprosić do ich wykonania wokalistów ze świata rocka, bluesa czy popu. Na „Rzeczach ostatnich" słyszymy m.in. Michała Szpaka, Sanah czy Vito Bambino. Głosy, których nie kojarzymy z podejmowaniem artystycznego ryzyka.

– Wokaliści musieli spełniać kryterium wrażliwości – tłumaczy Łukasiewicz. – Wszyscy zaproszeni na płytę mają w głosie głębię adekwatną do wyśpiewywanych treści. Nie chcieliśmy się mierzyć z wykonaniami *in crudo* – są od tego specjaliści. Przeciwnie, moim założeniem jako producenta muzycznego było osadzenie tych tekstów w realiach muzyki współczesnej, by dotrzeć z nimi do współczesnego słuchacza, by ten przekaz przetrwał.

Polskie Znaki dopuściły się ingerencji w tekst w jednym szczególnym wypadku. Utwór „Mój stróżu Aniele" stanowi punkt wyjścia dla anglojęzycznego utworu „Oh Angel" śpiewanego przez Marka Lanegana – obdarzonego szorstkim barytonem lidera grunge'owego Screaming Trees, a także członka Queens Of The Stone Age i The Gutter Twins. Łukasiewicz poznał go podczas zagranicznych wypraw zespołu Pustki, kiedy ten prowadził rozmowy z kultową amerykańską wytwórnią Sub Pop. Ostatecznie do podpisania kontraktu nie doszło, ale to właśnie wtedy Polak nawiązał kontakt z Laneganem.

– Był jedną z pierwszych osób, które mi przyszły do głowy, gdy myślałem o głosach do tej opowieści – tłumaczy Łukasiewicz. – Trudno wyobrazić sobie lepszy głos do śpiewania o śmierci. W ciągu dwóch tygodni od pierwszego kontaktu dostałem od niego wersję wokalu, która wgniotła mnie w fotel.

Zespół planował nagranie wideo z udziałem Amerykanina. Nie doszło do niego, ponieważ Lanegan zmarł niespodziewanie w lutym tego roku w wieku 57 lat. Kilka miesięcy wcześniej zmarł Bart Sosnowski – młody bluesman, którego możemy usłyszeć w utworze „Cokolwiek w świecie".

Konserwatyści...

Wśród twórców specjalizujących się w muzyce tradycyjnej „Rzeczy ostatnie" przyjęte zostały raczej chłodno. Przy czym opinie różnią się w zależności od środowiska, które reprezentują komentujący. Antoni Beksiak w głośnym artykule z 1996 r., do którego jeszcze wrócę, na scenie muzyki ludowej wyróżniał nurt konserwatywny i współczesny. Ten pierwszy obóz z pewnością reprezentuje Adam Strug.

W wywiadzie dla kwartalnika „Literatura Ludowa" wybitny śpiewak przyznawał, że najbardziej interesuje go wykonywanie pieśni w ich oryginalnej formie i stawiał się w opozycji do „esperantystów" – to jest artystów tworzących adaptacje, wariacje, przetworzenia tradycyjnych utworów. Strug nie tyle potępia ich w czambuł, co ubolewa nad dominacją esperantystów w mediach i na akademiach. Nie zgadza się też na instrumentalne, a więc powierzchowne, niepoprzedzone wnikliwymi studiami wykorzystywanie tradycyjnych utworów dla własnych celów. Zgaduję natomiast, że dopuszcza możliwość reinterpretacji pieśni, jeśli są one przeprowadzane z wykonawczym kunsztem i szacunkiem dla muzycznego dziedzictwa. W innym przypadku odrzuciłby zaproszenie od specjalizującego się w muzyce współczesnej zespołu Kwadrofonik, z którym nagrał poruszające „Requiem ludowe". Album otwiera pieśń „Żegnam cię mój świecie wesoły", którą na „Rzeczach ostatnich" wykonuje Michał Szpak. Z tego powodu rozpytywanie o ten album rozpocząłem od Struga.

– Muzycznym „myszkom Miki" wydaje się, że mogą wszystko. Nie, nie mogą – komentuje śpiewak. – W kontekście pieśni tradycyjnych nie są w stanie sprostać zagadnieniu ani wokalnie, ani intelektualnie. Stąd infantylizacja. Na szczęście był to zaledwie epizod, ekscentryczny gadżet w ich rękach. Szybko zapomną i wrócą, skąd przyszli.

Mam wrażenie, że tak kategoryczny sąd wynika między innymi z tego, że przedstawiciele konserwatywnego skrzydła muzyki ludowej nie myślą o niej jedynie w kategoriach estetycznych. To nie są utwory, do których wystarczy przyłożyć muzykologiczną analizę. Tym bardziej nie są to popowe piosenki, gdzie króluje relatywizm, bo dobre jest to, co się komuś podoba. Konserwatyzm postrzegam tu przede wszystkim jako troskę o polskie dziedzictwo. O kulturową spuściznę, która poza niekwestionowanymi walorami estetycznymi może stanowić bramę do poznania historii narodu i tożsamości jego członków. A skoro tak, to w ocenach nie ma miejsca na szarości i niedopowiedzenia, bo chodzi o coś więcej niż o płytę i stojących za nią artystów.

...i esperantyści

Mniej stanowczy są esperantyści – artyści, którzy gruntowną wiedzę na temat muzyki tradycyjnej i odpowiedni warsztat łączą z potrzebą reinterpretacji tych utworów. Wśród licznych zespołów, w które angażuje się śpiewaczka Olga Kozieł, moim ulubionym jest Lumpeks mieszający tradycyjne pieśni z freejazzowym ogniem. Jej spojrzenie na „Rzeczy ostatnie" jest bardziej zniuansowane.

– Zamysł płyty mi się podoba: warto mówić o przemijaniu, konfrontować się ze śmiertelnością i uznać lęk przed śmiercią za najsilniejszy motor napędowy lub hamulec naszego życia. Podoba mi się też, że zaproszeni wokaliści zachowali swój charakter wykonawczy i od razu można ich rozpoznać. Jednak uważam, że ich aranżacje po prostu nie pasują do tego śpiewu. A w tym tkwi sedno. Istota stylu archaicznego polega właśnie na sposobie śpiewu: otwarciu głosu, staniu się pieśnią i daniu temu ujścia. Zazwyczaj odbiorcy czują wręcz fizyczny dotyk dźwięku. Tutaj tego nie ma.

Śpiewaczka zauważa, że niezależnie od gustów spoiwo łączące te piosenki z tradycyjnymi pieśniami, na których są oparte, jest bardzo słabe. Opiera się na tekstach i skrawkach melodii. Rzeczywiście, Łukasiewicz jako producent muzyczny „Rzeczy ostatnich" osadził tradycyjne teksty w realiach muzyki współczesnej. Słychać tu rozwiązania *stricte* popowe, trip-hopową rytmikę, ale też partie instrumentów dętych, które przywołują dokonania Kultu. Artysta zwraca jednak uwagę na specyfikę tej muzycznej tradycji.

– Chcieliśmy być wierni przede wszystkim tekstom, pokazać ich wartość – tłumaczy Łukasiewicz. – To one były przekazywane w sposób bezpośredni w zapisach ręcznych czy śpiewnikach. Tam nie było zapisu nutowego i ten sam tekst był przez wielu śpiewaków różnie interpretowany. Zachowaliśmy zręby melodii, ale pamiętajmy, że te utwory były wykonywane *a cappella*, nie było akompaniamentu. Dało nam to sporo swobody w dokomponowaniu naszej części.

Jest w tym sporo prawdy. Nawet jeśli wspomniany zapis nutowy istniał dzięki Oskarowi Kolbergowi, to nie dawał on jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, jak śpiewać. Tym bardziej że każdy dobry śpiewak dodawał autorskie ozdobniki, charakterystycznie łamał melodię – słowem: śpiewał po swojemu. Olga Kozieł przyznaje, że właśnie z tego powodu ona i jej koleżanki po fachu tak często odwiedzają śpiewaków z różnych stron kraju. Każdy, choć zanurzony w tradycji, miał swój styl. Rozumiejąc argumentację Polskich Znaków, można się jednak zastanowić, czy w rezultacie ↦

↦ „Rzeczy ostatnie” dają odbiorcy możliwość uchwycenia fenomenu tradycyjnych pieśni. Dzieł, których magia zaklęta jest w znacznej mierze w głosie, sposobie śpiewu, a może nawet – jak lubi przekonywać Strug – w budowie krtani. I czy album ten rzeczywiście może przybliżyć szerszej publice pieśni żałobne.

Próżny ratunek

Pytany, dlaczego w materiałach towarzyszących albumowi nie pojawiają się nazwiska zarówno tradycyjnych śpiewaków, jak i artystów, którzy w ostatnim ćwierćwieczu odnosili się do ich dorobku, Łukasiewicz odpowiada: nie chcieli udawać, że są częścią tego środowiska. Niezależnie jednak od przyczyny ta nieobecność jest uderzająca.

Jedna ze śpiewaczek nie kryje o to żalu: – Pod teledyskami na YouTubie są wymieni wszyscy makijażyści i nawet transport, a nie ma informacji, od kogo są te pieśni ze wsi. Nawet tego, z jakiego regionu jest ta melodia, a co dopiero nazwiska. A przecież wiemy, skąd są te utwory (np. „Żegnam cię...” od Jana Wnuka, „Drabina...” z Kurpi...).

Niezależnie od kąta, pod którym przyglądam się „Rzeczom ostatnim”, mam problem z ich wizją twórczości tradycyjnej i strategii, jakie musi ona obierać, by przetrwać we współczesnym świecie. Moje wątpliwości podziela Olga Kozieł: – Kiedy ktoś mówi, że chce uratować muzykę tradycyjną, to ja się boję. Ładnie to brzmi, ale ta muzyka sama sobie poradzi. Przetrwa dzięki osobom, które doceniają ją taką, jaka jest. Bo jeśli chcesz coś uratować, to znaczy, że nie wierzysz, że samo może przetrwać. I to jest paradoks tej sytuacji. Chcąc ją uratować, zawsze coś jej odbierasz.

Bez wahania się pod tą myślą podpisuję. © JAN BŁASZCZAK

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM
www.radiokrakow.pl

ALLYSON RIGGS / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Wszystko wszędzie naraz”

Nasza piękna pralnia

ANITA PIOTROWSKA

„Jesteś najgorszą wersją siebie” – mówi mąż do orbitującej między światami żony. Bardziej niż oskarżenie w tym zwariowanym filmie słychać jednak namysł nad tym, kim jesteśmy.

Urząd Skarbowy jako portal prowadzący do nieskończonego wieloświata? Proszę bardzo. Któż z nas, wezwany pilnie w sprawie zeznań podatkowych, nie pomyślałby o czmychnięciu w alternatywną rzeczywistość? Zwłaszcza gdy zapisana w rachunkach historia wygląda dosyć kiepsko, a urzędniczka zachowuje się tak, jakby dojeżdżała do pracy na miotle.

W filmie „Wszystko wszędzie naraz” uruchomienie multiwersum nie służy jednak ucieczce od bolesnych rozliczeń z fiskusem. Tu gra toczy się o życie i bynajmniej nie to abstrakcyjne, zerojedynkowe, rodem z gier komputerowych. Chodzi o całe życie, ze swą powtarzalnością i nieprzewidywalnością, skończonością i chaosem. Jak na komedię science fiction to naprawdę dużo, a twórcy Daniel Kwan i Daniel Scheinert, znani pod pseudonimem „Daniels”, okazują się się wielce oryginalnymi światotwórcami.

W tym brawurowym obrazie, powstałym z dala od stajni Marvela i dystrybuowanym przez ambitną niezależną firmę A24, próżno szukać superbohaterów – wszystko zaczyna się i kończy w przyziemiu. Rodzina Wang, zanim zacznie świętować chiński Nowy Rok, musi dopełnić formalności w amerykańskim urzędzie. Evelyn (Michelle Yeoh) i Waymond (Jonathan Ke Quan) są parą naturalizowanych Chińczyków w średnim wieku, prowadzących podupadłą pralnię samoobsługową. Nie tak miało być, kiedy jako młodzi ludzie przybywali do swojej ziemi obiecanej. Dziś sypie się nie tylko rodzinny interes, lecz także wieloletnie małżeństwo, relacje z klientami i krewnymi. Na święta zjechał właśnie z Chin trudny w obsłudze Gong Gong (po kantońsku „dziadek”, grany przez Jamesa Honga), w imprezie weźmie również udział sprawiająca problemy córka Joy (Stephanie Hsu) w towarzystwie życiowej partnerki.

Wiele mogłoby wskazywać, że Scheinert i Kwan – ten ostatni ze sporym udziałem autobiograficznych doświadczeń – proponują nam kolejne poczciwe spojrzenie na losy azjatyckich imigrantów za oceanem. Coś w stylu „Kłamstewka” (2019) Lulu Wang (zresztą gwiazda tego filmu, komiczka Awkwafina, miała pierwotnie wcielić się w rolę Joy). Ale do poczciwego finału, czyli pochwały rodziny i „małego życia”, dojdą Danielsi bardzo okrężnymi drogami, pełnymi dzikich rozwidleń i zapętleń. Za to krokiem pewnym i rytmicznym, wyćwiczonym przy

produkcji teledysków i reklam czy podczas pracy nad surrealistyczną komedią „Człowiek-scyzoryk" (2016), nagrodzoną za reżyserię na festiwalu Sundance.

Totalne szaleństwo nakręca się dość niepostrzeżenie, kiedy w windzie skarbówki zdesperowani Wangowie uruchamiają dostęp do równoległych rzeczywistości. Oznacza to światoskok – gwałtowne przejście do uniwersum rządzonego innymi prawami fizyki i nie tylko. Bo kiedy Waymond otwiera przed Evelyn dostęp do multiświata, którego miałaby zostać wybawicielką, uruchamia się przed nią nieskończoność potencjalnych wyborów. A to, że ów przypływ supermocy będzie możliwy dopiero dzięki najbardziej absurdalnemu, najmniej oczekiwanemu gestowi, daje narracji bajeczne możliwości. Igranie pomysłami, wywoływanie lawiny akcji i reakcji zajmuje większą część filmu pod filozoficznie brzmiącym tytułem „Wszystko wszędzie naraz". I okazuje się, że mimo rozpętanego na ekranie dziwowiska, nie jest on wcale na wyrost.

Podzielone na trzy części dzieło „Danielsów" chętnie porównuje się do „Zakochanego bez pamięci" (2004), choć sam Michel Gondry mógłby im pozazdrościć fantazji i maestrii w operowaniu energią kinetyczną. A twórcy uniwersum „Matriksa" – ludzkiego wymiaru tej historii i, rzecz jasna, poczucia humoru.

Twórcy „Wszystkiego..." jadą po bandzie. Humor ich bywa gruby, slapstickowy, momentami skatologiczny. Bajgiel jako wcielenie nihilistycznej religii ze świata Alfa, parówki wyrastające zamiast palców, policjant wymiotujący cekinami – a to stosunkowo łagodne przejawy wyobraźni nieznającej granic dobrego smaku ani żadnych innych. Dla bardziej wyrafinowanych smakoszy przewidziano aluzje do znanych wytworów kultury i popkultury. Kłania się więc Stanley Kubrick i jego „2001: Odyseja kosmiczna" (1968), hitowa animacja „Ratatuj" (2007) Brada Birda czy... „Spragnieni miłości" (2000) Wonga Kar-waia.

Melodramatyczność w szczególny sposób nasyca tę historię, bo film Kwana i Scheinerta to zaskakujący melanż gatunków. Na pierwszy rzut oka pluszowa fantastyka spotyka się z parodią kina wschodnich sztuk walki, którego godną reprezentantką jest Michelle Yeoh. Jej bohaterka, sfrustrowana pracą w pralni i codziennym maglem, uruchamia alternatywne scenariusze swego życia, zamieniając się na przykład w pieśniarkę opery chińskiej, gwiazdę kina i mistrzynię kung-fu – ładny ukłon w stronę tej wspaniałej, sześćdziesięcioletniej już aktorki, znanej choćby z filmu „Przyczajony tygrys, ukryty smok" (2000) Anga Lee. Nakładają się na to jednakże różne wersje prywatnego życia Evelyn, z Waymondem i bez niego. Bowiem „Danielsi" pozwalają swojej bohaterce teleportować się i doświadczyć wszystkiego naraz, a nam fundują kolorowy zawrót głowy, by ostatecznie zapytać retorycznie, czy naprawdę życie musi być gdzie indziej. Aż tak daleko od pralni, podatków i rodzinnych kłopotów.

„Jesteś najgorszą wersją siebie" – mówi w pewnym momencie mąż do orbitującej między światami żony. Bardziej niż oskarżenie słychać tu namysł nad tym, kim jesteśmy całościowo, bo przecież także wypadkową złych decyzji, niezrealizowanych możliwości, przypadkowych sytuacji i nigdy niespełnionych pragnień. Wszystko stanowi nierozerwalną jedność. Mordercza walka bohaterki z destrukcyjną Jobu Tupaki, nazywaną agentką chaosu, jawi się z początku niczym zmagania Evelyn o przejęcie kontroli nad multiwersum opanowanym przez siły zła, a przy okazji nad swoją przeszłością, ale z czasem staje się walką o siebie tu i teraz. O siebie nieidealną, z pralką pełną własnych brudów zalegających tam od wielu lat.

Największym zaniedbaniem okazuje się relacja z nastoletnią córką, ofiarą matczynych kompensacji, nadmiernych wymagań, separacyjnych lęków. Gdzieś przebija w tym uniwersalna historia różnej maści emigrantek i ich córek oraz wszelkich matek: toksycznych, nieakceptujących czy po prostu błądzących, do których „Wszystko wszędzie naraz" wyciąga rękę z równoległych światów. Może i uzbrojoną w tłuste parówki zamiast palców, aczkolwiek – jak się okazuje u Kwana i Scheinerta – z taką przypadłością też można grać na fortepianie. Nawet w asyście nielubianej pracownicy skarbówki, z biglem zagranej przez Jamie Lee Curtis w tym zwariowanym i zarazem ciepłym filmie. ©

WSZYSTKO WSZĘDZIE NARAZ
(Everything Everywhere All at Once) – reż. Daniel Kwan, Daniel Scheinert. Prod. USA 2022. Dystryb. Best Film. W kinach od 15 kwietnia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Licorice Pizza

Komediodramat, reż. Paul Thomas Anderson, USA 2021, VoD

Jeden z najlepszych i najbardziej beztroskich tytułów minionego roku. Twórca „Magnolii" cofa się do czasów swego dorastania w Los Angeles, by opowiedzieć o bardzo nietypowym romansie. W cieniu Hollywoodu, kontrkultury i kryzysu naftowego toczy się daleka od poprawności, ale przy tym pełna wdzięku historia. Grają Alana Haim i Cooper Hoffman, a obok nich plejada gwiazd.

2. Odwaga

Dokumentalny, reż. Aliaksiej Palujan, Białoruś/Niemcy 2021, mdag.vod

Tamten zryw przeciwko dyktatorskiej władzy przyniósł powiew nadziei. Białoruskie wybory prezydenckie w sierpniu 2020 r. wywołały masowe protesty – niestety, krwawo tłumione i zakończone licznymi aresztowaniami. Patrzymy na to oczyma podziemnej grupy teatralnej z Mińska, której członkowie nie tylko na scenie angażują się w bieżące wydarzenia.

3. C`mon C`mon

Dramat, reż. Mike Mills, USA 2021, VoD

Czy mężczyzna po przejściach i straumatyzowany dziewięciolatek mogą być partnerami w rozmowie? Kiedy mówi się ze sobą naprawdę, a kiedy jest tylko „bla bla bla"? Czarno-biały film z Joaquinem Phoenixem to przede wszystkim rzecz o sztuce słuchania. Nawet jeśli powstał z myślą o poprawie naszych nastrojów, ma w sobie urok i świeżość małego kina o maksisprawach.

4. Odwilż

Serial, reż. Xawery Żuławski, Polska 2022, HBO Max, odc. 1-6, 2 ostatnie 15 IV

Po „Klangorze" to kolejna próba przeszczepienia na rodzimy grunt kryminału w stylu skandynawskim, ale i ukłon w stronę amerykańskiej „Mare z Easttown". Na tle ponurych plenerów Szczecina policjantka z osobistymi problemami (Katarzyna Wajda) prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa młodej kobiety, która dopiero co urodziła dziecko i była córką lokalnego prokuratora.

JAN

Klata: *Lita pewność (przy wtórze syren)*

Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. Jesteśmy coraz bliżej prawdy.
Jesteśmy coraz bliżej prawdy. ©

Lektor: *Oddech w szalonym świecie*

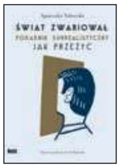

▪ *Agnieszka Taborska*
ŚWIAT ZWARIOWAŁ. PORADNIK SURREALISTYCZNY. JAK PRZEŻYĆ
Oprawa graficzna Lech Majewski. Wydawnictwo Bosz, Olszanica 2022, s. 136

„Świat zwariował: oszaleli politycy, topnieją lodowce, ekologiczne kataklizmy i fanatyzmy religijne wyzierają z każdego kąta. Zaczynają się pandemie. Natura słusznie upomina się o swoje. Od czasu do czasu dobrze poszukać oddechu w surrealizmie”. Kiedy autorka to pisała, nie wiedziała jeszcze, że jeden z szalonych polityków rozpocznie prawdziwą wojnę, atakując naszych sąsiadów, i że o oddech będzie jeszcze trudniej. Czy to jednak znaczy, że powinniśmy zrezygnować z wietrzenia mózgów i łamania zastanych reguł gry, z wyzwalania naszej wyobraźni? W końcu narodziny i rozwój ruchu surrealistycznego przypadły na czasy nie mniej szalone. No i nie musimy próbować realizacji wszystkich sformułowanych w książce 56 rad „jak wzbić się ponad rzeczywistość”, zwłaszcza że niektóre są trudne w obsłudze. Za to obszerne komentarze do nich tworzą znakomite – bo praktyczne i na przykładach – wprowadzenie do dziejów surrealizmu w sztuce i w literaturze. Agnieszka Taborska, pisarka i najwybitniejsza u nas badaczka surrealizmu (równocześnie z „Poradnikiem” wydała w krakowskim Lokatorze „Archipelagi Rolanda Topora”), uświadamia, że nie chodzi jedynie o kierunek artystyczny czy styl, ale o zrewolucjonizowanie sposobu odnoszenia się do rzeczywistości, o dystans podszyty groteską i prowokacją, wręcz o instynkt burzycielski. Lektura przydatna zwłaszcza w Polsce, gdzie surrealizm nie trafił na żyzny grunt – inaczej niż na przykład u Czechów, gdzie odegrał znaczną rolę zarówno w poezji, jak i w malarstwie, a w czasach komunistycznych stanowił ważną odnogę kulturowego undergroundu. Książkę wspaniale wydano, autora oprawy graficznej Lecha Majewskiego (nie mylić z reżyserem!!!), profesora warszawskiej ASP, słusznie uhonorowano jako współtwórcę umieszczeniem jego nazwiska na okładce. Co teraz? Najchętniej przeszedłbym do cytatów i wypełnił nimi kilkanaście stron – sami jednak ich szukajcie. Dowiedzcie się, jak i dlaczego pisać manifesty, co i jak jeść, jak mieszkać, jak nie popełniać samobójstwa, jak zawierać znajomości i jak je zrywać, a także – czym są automatyczny rysunek, dekalkomania, dripping, frotaż i fumage, oraz jak rzucać tortem. Powodzenia! A na koniec informacja *pro domo sua*: otóż pomysł „Poradnika” narodził się na krakowskim Festiwalu Conrada z inspiracji Grzegorza Jankowicza. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Gdy pokarm dzieli

Dwieście pięćdziesiąt siedem pozycji liczy lista gatunków roślin chronionych przez izraelskie państwo – trudno powiedzieć, czy to dość, czy za mało, w Polsce mamy ich prawie dwa razy tyle, ale tym się różni nasza swojska niwa od Ziemi Świętej, że byle tamtejszy kwiatek czy badyl, nie wspominając o kamieniach, dźwigają sensy symboliczne, ślady krwi i znamiona odwiecznych konfliktów.

Chyba jedynie mąka (żytnia? owsiana? jak to jest u was w rodzinie?), przechodząca cichutko przemianę w zakwas, zażywa w okresie kuchenno-zakupowej bieganiny względnego spokoju. Któż by zatem miał czas sięgać do korzeni tego całego zamieszania, do święta Przaśników i paschalnej historii wybawienia ludu żydowskiego z egipskiej niewoli. W dwunastym rozdziale Księgi Wyjścia czytamy, jak krew ofiarnego baranka lub koźlęcia miała odróżnić swoich – tych do ocalenia – od obcych – tych do wyrżnięcia. Oto Pan kazał Mojżeszowi: „Weźcie gałązkę hizopu i zanurzcie ją we krwi, która jest w naczyniu, i krwią z naczynia skropcie próg i oba odrzwia. (...) A gdy Pan będzie przechodził, aby porazić Egipcjan, a zobaczy krew na progu i na odrzwiach, to ominie Pan takie drzwi i nie pozwoli Niszczycielowi wejść do tych domów, aby was zabijał".

Wspomniany „hizop" nie jest z pewnością tym znanym z babcinej szafki hyzopem lekarskim, który stosujecie, gdy was dopadnie kaszel. Z czegóż zatem był wiecheć, który mógł w tamtej rzeczywistości stanowić poręczne kropidło na krew – i który posłużył znacznie później jako swego rodzaju gąbka na ocet, który podano Chrystusowi na krzyżu (J 19, 29)? Istnieje naukowy konsensus, iż to wszechobecna w zachodniej Azji lebiodka syryjska. Kuzynka naszej lebiodki, czyli oregano, wyraźnie odmienna w smaku. W języku arabskim zwana *za'atar*, co brzmi swojsko i znajomo każdemu, kto kiedykolwiek liznął choć trochę kuchni bliskowschodniej. Tak nazywa się grupa mieszanek przypraw, której owa lebiodka syryjska jest podstawą. A raczej bywa, zamiennie np. z majerankiem lub pewną lewantyńską odmianą tymianku – zwaną, żeby już całkiem zmylić tropy, perskim hyzopem lub hiszpańskim oregano. Do tego, jako stały element, dochodzi prażony sezam plus sumak.

Sam jestem wielkim fanem tych mieszanek i gromadzę wszelkie ich wersje. Nic jednak, co z Bliskim Wschodem się wiąże, nie jest tylko niewinną przyjemnością. Wybitny przedstawiciel studiów nad jedzeniem Fabio Parasecoli ukuł niedawno termin „gastronatywizm", żeby szerzej niż tylko kluczem nacjonalizmu potraktować motywowaną ideologicznie przemoc i wykluczenia w sferze jedzeniowej. Jednym z bardziej znanych przykładów tego zjawiska jest właśnie zakaz zrywania lebiodki w stanie dzikim, wydany przez władze Izraela. Nie dlatego, jak sądzi wielu krytyków, że zielsko to faktycznie wymiera, ale dlatego, że jego zbiór na przełomie marca i kwietnia oraz spożywanie w postaci zieleniny lub suszenie na przyprawę jest ważną częścią palestyńskiej tożsamości. Chodzi nie tylko o przyjemność podniebienia, ale także o znak buntu Palestyńczyków przeciwko odebraniu ich ziem, które, wyruszając na zbiory ziół, dalej traktują jak swoje. Hodowla tej rośliny nie jest zatem odpowiedzią na głębszy sens zakazu, w którym władza pokazuje części poddanych, że są po prostu gorsi, a ich obyczaje są dzikie. Zresztą hodowlana wersja za'ataru, jak twierdzą znawcy, nie umywa się smakowo do dzikiej. Jestem skłonny w to uwierzyć, bo znam analogiczną różnicę w przypadku czosnku niedźwiedziego: jego legalna, hodowlana postać niestety jest słabsza od tej, jaką zrywałem podczas kwietniowych wypraw do lasu, zanim wprowadzono częściową ochronę tej cudnej roślinki.

Parasecoli uczestniczył w ciekawych projektach opisania płynnych granic polskiej tożsamości w obyczajach kulinarnych. Myślę, że znów znajdzie u nas dobry materiał do badań. Nagle liczniejsza obecność braci Ukraińców (a raczej sióstr Ukrainek) sprawi, że drobne w sumie różnice w tym, co kto z nas uważa za „prawdziwy" barszcz albo jak lepi pierogi, zaczną być bardziej widoczne. Czy znajdą się poszukiwacze narodowej czystości, którzy zaczną te różnice mnożyć do kwadratu, równie kwadratowego jak ich tępe szczęki? Książka o gastronatywizmie to przygnębiający zbiór pomysłów, jak można obrzydzić życie bliźniemu albo siać nienawiść, odwołując się do tego, co kto ma na talerzu. Ukraińcy będą świętować swoją Wielkanoc zaledwie tydzień po polskiej. Czy to jest aż taka różnica? ©℗

Najbardziej podstawowe zastosowanie za'ataru to zmieszać go z oliwą w postać gęstej pasty i posmarować nią obficie albo pitę, albo kromki jasnego chleba, i podpiec krótko, tak żeby ciepło podbiło siłę aromatów. Po zgodne z bliskowschodnim duchem zastosowania odsyłam do stosownych książek – choćby niezawodny Yotam Ottolenghi podaje ich kilkanaście. Ze swoich cross-kulturowych doświadczeń podpowiem, że właśnie teraz za'atar świetnie ożywia smak pieczonych korzeni i bulw, takich jak ziemniaki, marchew, rzepa i pasternak. Można go sypać wprost na warzywa przed pieczeniem albo dodać obficie do jogurtu, którym posmarujecie je po wyjęciu z pieca. Ale przede wszystkim za'atar tworzy idealne połączenie z burakiem. Zarówno pieczonym – wtedy robimy cieniutkie carpaccio, posypujemy plasterki przyprawą i dalej skrapiamy octem i oliwą – jak i w postaci duszonej z masłem, albo wręcz w czystym barszczu.

VELIAVIK / ADOBE STOCK

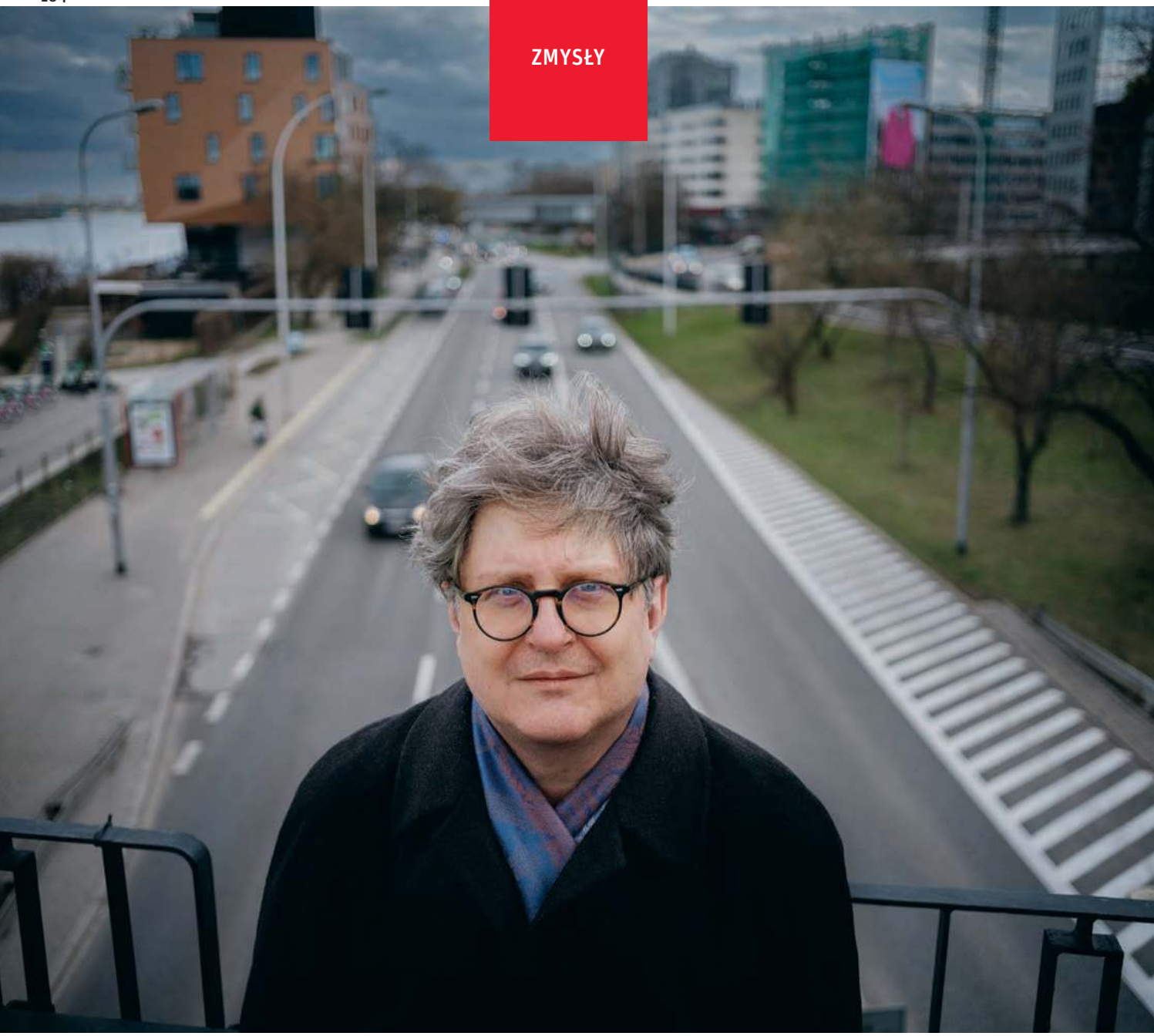

Michał Cichy, Warszawa, kwiecień 2022 r.

ROZMOWA O ZMYWANIU NACZYŃ

MICHAŁ CICHY, PISARZ, NAUCZYCIEL MEDYTACJI:

Wyzwania to zło. Wychodzenie ze strefy komfortu to zło. Staram się pozostawać w strefie komfortu i stopniowo ją rozszerzać, aż obejmie całe życie.

MICHAŁ OKOŃSKI: Nie mam pojęcia, jak pytać o medytację.

MICHAŁ CICHY: Po prostu porozmawiajmy. Dobra rozmowa jest chyba wtedy, kiedy prowadzący nie ma założonego scenariusza.

Nie przywiozłem listy pytań. Mam raczej poczucie, że trudno słowami opisać doświadczenia duchowe.

Ale wiesz, że ja się uważam za zawodowca od słów? Uważam, że słowa, choć nie są w stanie zastąpić wszystkiego, to są w stanie wszystko wyrazić. Zresztą rozmawiając o medytacji, zawsze rozmawiamy o świecie i o życiu. A kiedy rozmawiamy o tym serio, to nasza rozmowa staje się święta.

Mocno powiedziane.

Świadomie. Codziennie rozmawiam z moją dziewięćdziesięcioletnią mamą, a kiedy to się odbywa, skupiam całą uwagę. Medytacja to właśnie sztuka skupiania całej uwagi na czymś jednym.

Rozumiem, że nie scrollujesz ekranu, wyłączasz komputer. Unikasz rozproszeń.

Nie znasz tego uczucia? Zrobiłeś wiele wywiadów.

To trochę inna sytuacja. Czuję się odpowiedzialny wobec czytelnika, wyobrażam sobie, że jestem tu jakby w jego imieniu. Boję się, że zaraz się natknie na słowo „czakra" i odpadnie.

Używam tego słowa, kiedy proszę uczestników medytacji, by koncentrowali uwagę na punktach w ciele, pokrywających się z miejscami, które w Indiach określa się mianem czakr. To się sprawdza, ale nie jest kluczowe. Kluczowy jest stan, który osiągasz, skupiając tę uwagę – można powiedzieć, że medytacja jest gimnastyką uwagi. Kiedy rozluźniasz mięśnie brzucha, tam wewnątrz możesz poczuć tętno. Jak każde rozluźnienie, to bardzo odprężające uczucie. To samo dotyczy wnętrza klatki piersiowej, kiedy nagle czujesz, jak bicie twojego serca rozchodzi się po ciele i stajesz się jakby pudłem rezonansowym. Dawid Ojstrach powiedział kiedyś, że u skrzypka najważniejsze są nogi i brzuch — miał na myśli właśnie to, że dobry muzyk cały staje się pudłem rezonansowym dla swojego instrumentu.

Rozluźnianie ciała prowadzi do doznań duchowych?

W moim systemie medytacji odwiedzamy dziesięć punktów, zaczynając od stóp i dochodząc do miejsca położonego powyżej czubka głowy. Koncentrujemy się np. na aparacie mowy. To czakra gardła. Mówię: „Skupmy uwagę na aparacie głosu, od tchawicy po krtań, gardło, do języka i podniebienia. Wyobraźmy sobie całkowite zamilknięcie". Chodzi o zupełne rozluźnienie miejsca, które zawsze jest lekko napięte, bo kiedy coś myślimy, nasze gardło już szykuje się do wypowiedzenia tego na głos.

Uczestnicy zajęć mówią potem: „O rany, jakie to niesamowite". Widzą, że potrafili wejść w stan ciszy na poziomie, który można określić jako werbalny. Bo później jest jeszcze wejście w ciszę na poziomie mentalnym: skupiamy się na wnętrzu głowy, na umyśle, zwalniamy tok myślenia, wyciszamy je.

Mówię o tym szczegółowo, bo to jedno z ćwiczeń, które stosunkowo łatwo opisać. Dużo trudniej opowiedzieć o skupieniu na punkcie położonym pięć do siedmiu centymetrów powyżej czubka głowy, na czakrze korony. Ale kiedy się to uda, zaczynasz odczuwać jedność ze światem. Jest tak, jakbyś wychodził poza ciało, jakby całe twoje otoczenie było tobą i twoją percepcją. Jakby świat stawał się twoim przyjacielem, a ty przyjacielem świata.

Czy to jest cel medytacji?

U buddystów chodzi o oświecenie. U taoistów – a ja się przyznaję do taoizmu – celem jest coś bardziej ulotnego, co Lao-tsy nazywa mądrością. Chodzi o wykształcenie umysłu pozwalające człowiekowi znaleźć harmonię ze światem, który się wiecznie zmienia i w którym my też się wiecznie zmieniamy. Ale kluczowe słowo tego systemu, tao, oznacza drogę. Odpowiadając ci, powiem zatem, że to droga jest celem. I chodzi w tym o proste rzeczy. Kiedy jesteś zmęczony, nie osiągniesz harmonii ze światem. Powinieneś pójść spać.

Tu się czuję bezpieczniej, niż kiedy mówisz, że droga jest celem. Kiedy to słyszę, znów się boję, że dla czytelnika ta fraza nic nie znaczy.

Wiem, że bywa nadużywana. Ale kiedy mówię, że przemiany świata są nieustanne i wieczne, wtedy odsłania się ten aspekt naszego bycia na drodze. W medytacji doświadcza się go nie tylko na poziomie głowy, ale także serca i brzucha. Albo inaczej: umysłu, emocji i ciała. Scalanie tych doświadczeń jest drogą medytacji. W jej trakcie coraz dłuższe robią się chwile bez rozproszeń, bez myśli, które automatycznie przelatują przez głowę. I chwile rozluźnienia. Bardzo się cieszę na przykład, kiedy ktoś mówi, że rozpoczynał medytację z silnie bolącymi kolanami, a po jej zakończeniu ból ustąpił. Że obudzona świadomość ciała pozwoliła zdjąć blokadę.

I trzeba do tego wyobrażać sobie czakrę korony?

Wizualizacja jest jedną z trzech najważniejszych technik medytacyjnych, oprócz oddechu i mantrowania.

Mantrowania?

Mantrowanie to wprowadzanie umysłu w stan powtarzalnego zajęcia, które skupia całą uwagę i nie dopuszcza przeszkadzających myśli do świadomości. Możesz to robić na różańcu; mówiąc żartobliwie, tylko modlitwy klepane automatycznie są tu skuteczne, ale Tadeusz Sobolewski uświadomił mi kiedyś, jak pięknym słowem do mantrowania jest „mama": dwie sylaby, a zarazem jedno z najważniejszych słów świata, dające życie. Kiedy oddychasz świadomie i liczysz oddechy, twój oddech też wypełnia się słowami „raz", „dwa". Jeśli nie ma tam już nic innego, to też jest mantrowanie.

Na samym początku zajęć wstajemy i robimy siedem głębokich wydechów z wydaniem głębokim basowym tonem głoski „m", przy zamkniętych ustach. Możesz sprawdzić, kładąc dłoń na mostku lub gardle, jak te części ciała wibrują. Ta wibracja też jest niesłychanie odprężająca. Znowu jesteś pudłem rezonansowym.

Co właściwie w Tobie rezonuje w medytacji? Co nagłaśniasz?

↦

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

↦ Najpierw rezonuje moje ciało. Mięśnie, kości, cała fizyczna struktura. Nie lubię mówienia o wibracjach w znaczeniu innym niż fizyczne.

Ale drugi aspekt jest mentalny: przestajesz być zajęty wewnętrzną gadaniną, którą projektujesz na świat, tylko nastawiasz się na przyjmowanie tego, co od niego przychodzi. Maciek Maleńczuk mnie tego nauczył, kiedy przed laty przygotowywałem się do zrobienia z nim wywiadu: „Chłopie, nie możesz cały czas nadawać, musisz przestawić się na odbiór" – powiedział. Nie rozumiałem tego jeszcze wtedy, bo rzeczywiście byłem nastawiony na nadawanie, ale zapamiętałem – tak czasem bywa z sytuacjami, które w nas coś otwierają, choć jeszcze dobrze nie wiemy, co to jest.

To odwołanie do własnego doświadczenia w rozmowie o medytacji wydaje mi się pomocne. Świetnie wiem np., co znaczy to zdanie Lao-tsy, że wielka droga jest prosta, tylko my zawsze wybieramy drogę przez góry.

Jeden z moich ukochanych cytatów.

A zarazem powszechnie zrozumiały stan, w którym niepotrzebnie komplikujemy sobie życie.

Te komplikacje wypływają z lęku. I jego rozmaitych ramifikacji, którymi są na przykład poczucie niepełnej wartości, nieśmiałość albo poczucie winy.

Dodałbym jeszcze bagaż, który niesiesz: własnych doświadczeń i doświadczeń swoich przodków.

Dużo zawdzięczam Bertowi Hellingerowi, który wprowadził w moje życie wątek więzi rodzinnych. Z dzieciństwa wyszedłem poobijany, co mogło mieć związek z doświadczeniem wcześniactwa, leżenia w inkubatorze i tego, że nie byłem karmiony piersią. Niby nic traumatycznego się w moim życiu nie wydarzyło, ale trauma już była. Wiesz, raz kiedy zmarzłem w domu, bałem się, że zaraz umrę.

W tej chwili też oddychasz jakby trudniej. Dla większości psychoterapeutów metody Hellingera są nie do przyjęcia.

Dla mnie ważniejsze od jego metod są jego przekonania. Po prostu: jako młody dorosły zachłysnąłem się liberalizmem i uważałem, że idea emancypacji jednostki jest wspaniałym wynalazkiem zachodniej kultury. A potem przeczytałem wywiad Katarzyny Bielas z Hellingerem zawierający zdanie: „Nie jesteśmy wolni". To zdanie mnie poparzyło. Poczułem, że on ma rację. Jesteśmy związani więzami rodzinnymi, nawet jeśli je zerwiemy.

Mówiąc bardzo po prostu: jesteś człowiekiem skłonnym do gniewu, bo taki był Twój ojciec?

Tak. Ale dzięki medytacji z tego wyrosłem.

Z lękami jednak idzie mi trudniej niż z gniewem. Nawiedzają mnie np. w snach. Dzisiaj mi się śniło, że znalazłem się w pociągu, chciałem kupić przez telefon bilet, ale telefon nie działa. Często śni mi się też, że jestem w klasie maturalnej i nagle uświadamiam sobie, że ani razu nie byłem dotąd na lekcji matematyki. Chcę na nią pójść, ale nie wiem nawet, w której sali się odbywa.

To takie sny, w których chcesz być w porządku?

To takie sny, w których pojawia się zagrożenie i stres. Wiesz, buddyści uprawiają jogę śnienia, uważają, że nad tym można zapanować, ale ja tego nie potrafię. Może moja medytacja zatrzymała się na jakimś pośrednim poziomie.

Na jawie też się lękasz?

Stoję na czerwonym świetle na przejściu dla pieszych i myślę, co by się stało, gdyby samochód, który jedzie ulicą, nagle wjechał na chodnik. Albo idę pod rusztowaniami i myślę, że robotnikowi może wypaść młotek. Te lęki towarzyszą mi codziennie, mimo kilkunastu lat praktyki medytacyjnej.

To chyba ważne, żeby powiedzieć, że medytacja nie oferuje szybkich owoców.

Z drugiej strony świadomość tego, co czujesz, już jest medytacją. Medytacją nie jest stan, w którym coś czujesz i nie wiesz, że to czujesz. Wtedy coś tobą włada, a ty pozostajesz na to ślepy.

Kiedy więc stoisz i boisz się tego samochodu, jesteś już w medytacji. W tym sensie medytacja jest neutralna, otwiera cię zarówno na negatywne, jak i pozytywne aspekty, na przyjemne i bolesne uczucia. Nie ma uczuć negatywnych, które należy wytrzebić. Każde ma jakąś rolę do odegrania i każde jest tak naprawdę ambiwalentne.

Każde?

Np. wystawianie dobrych opinii innym ludziom. Niby fajnie kogoś chwalić, ale robiąc to, stawiasz się w pozycji nauczyciela, który stawia komuś stopnie. Podporządkowujesz go.

Dowiedziałem się tego dzięki nabyciu w medytacji umiejętności zawieszania sądów.

Dobrze usłyszałem, że masz potrzebę postępu w medytacji?

Ano właśnie. To też jest ambiwalentne, bo potrzeba progresu oznacza nieusatysfakcjonowanie teraźniejszością. Jak bym nie był z siebie medytującego wystarczająco zadowolony.

A przecież jesteś nauczycielem medytacji.

Zajęcia prowadzę od trzech lat. I mam potrzebę zapewnienia uczestnikom doświadczenia najwyższej jakości – jak ty czytelnikom. Ale faktycznie mam też poczucie, że gdzieś utknąłem.

Przeczytałem niedawno książkę dwojga buddyjskich nauczycieli tantry, w której zwięźle została wyjaśniona buddyjska doktryna pustki i wyzwolenia się od ja. W trakcie lektury popadłem w smutek, bo zdałem sobie sprawę, że tego nie potrafię.

Chciałbyś zniknąć, czy chciałbyś, żeby ja Tobą nie władało?

Chciałbym się uwolnić od moich lęków. I wydaje mi się, że odkrycie ich iluzoryczności mogłoby być pomocne.

„Bądźcie przeciętni i zwyczajni, wypróżniajcie kiszki i pęcherz, noście ubrania i jedzcie posiłki, a kiedy się zmęczycie, połóżcie się..."

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

MICHAŁ CICHY (ur. 1967) jest pisarzem, autorem książek „Zawsze jest dzisiaj" (Nagroda Literacka Gdynia), „Pozwól rzece płynąć" i „Do syta". Mieszka na Starej Ochocie w Warszawie, jest twórcą grupy Medytacja Dnia Codziennego, która spotyka się na żywo i podczas sesji online. Przez wiele lat pracował w „Gazecie Wyborczej", był także współtwórcą i sekretarzem Nagrody Literackiej Nike.

Mistrz Lin-czi, zapytany przez uczniów, co się robi po osiągnięciu oświecenia. Uwielbiam to.

Rzecz w tym, żeby zmywać naczynia, naprawdę wiedząc, że się to robi. Opisujesz w „Do syta" ten stan: celebrowania prostej czynności.

Na szczęście takie doświadczenie jest dostępne już pierwszego dnia po rozpoczęciu praktyki. Nazwałem swoją grupę „Medytacja dnia codziennego" i bardzo to sobie chwalę. Medytuję w autobusie i w czasie wyrzucania czarnych worów ze śmieciami – aspekt oczyszczenia w tym jest zresztą ważny, podobnie jak w myciu naczyń.

„Są dwa sposoby mycia naczyń. Pierwszy to zmywanie, żeby je umyć, i drugi – by je zmywać".

To z kolei Thich Nhat Hanh. Tak, w zwyczajnych czynnościach utrzymuję pełną świadomość. Staram się nie rozpraszać innymi myślami. To jeden z najlepszych owoców mojej medytacji: czuję się bardzo szczęśliwy, szykując posiłek albo biorąc prysznic i uświadamiając sobie, że ciepła woda rozluźnia mi mięśnie na plecach.

Czy chodzi o to, by przedmioty z życia codziennego odsłoniły jakąś swoją drugą naturę, czy żeby jej nie było? Żebym zmywając czuł, że coś się oczyszcza, czy żebym czuł, że zmywam?

Nie wiem, czy to jest aż taka różnica. Wszystko, co robisz, jest znaczące. Odsyła cię do czegoś. Zawsze możesz to robić bardziej świadomie. Ale ktoś z domowników, widząc cię przy zlewie, nie myśli, że medytujesz. Widzi zmywanie.

Wspomniałeś o drugiej naturze. Jest pierwsza natura twojej bytności w świecie. To, że podtrzymujesz swoje życie za pomocą pewnych czynności. Kiedy ze mną rozmawiasz, dociera do ciebie pierwsza natura twojego związku z drugim człowiekiem. Starasz się mówić prawdę w sposób nieraniący i otwierasz się na słuchanie. Wspomniałem już, że słuchanie jest ważne nie tylko w medytacji. Podobnie jak milczenie w odpowiedzi na słowa, które mogą być raniące. Często milczę w rozmowach z mamą. Nie chcę wchodzić w licytacje na argumenty wokół spraw, które nas różnią.

Mam tak na portalach społecznościowych: nie wchodzę w zwarcia, nie tracę energii na polemiki. Ale odczuwam wtedy konflikt wewnętrzny, bo coś we mnie chce jednak postawić granice i zadbać o wypowiedzenie swojej prawdy.

Sytuacje, w których należy wejść w konflikt, są nieliczne. Robię to, kiedy ktoś zagraża moim podstawowym interesom, próbuje mnie zdominować. Budzi się wtedy mój gniew. Ostatnio tak było w dniu inwazji Rosji na Ukrainę. Wiedziałem jednak, że gniew przejdzie, zamieni się we współczucie, wrócę do medytacyjnego zrównoważenia. Byłem tego świadom, choć nie potrafiłem tego jeszcze poczuć.

Jest taki taoistyczny koncept wu wei – nieczynienia. Wielu komentatorów próbowało go rozmydlić, mówiąc, że trzeba się np. zachowywać w sposób naturalny, ale ja postuluję potraktowanie go w sposób dosłowny. Wu wei. Nic nie rób. Albo wei wu wei. Czyń nieczynienie. Kiedy spróbujemy powstrzymać się od działania, zauważymy, że inni robią aż za dużo. Wszystko i tak zostanie zrobione, a ty nie będziesz inwestował energii życiowej w niedobre aktywa. Dla mnie wu wei jest również niemówieniem. „Kto wie, nie mówi, kto mówi – nie wie" – powiada Lao-tsy, w czym zawarty jest zresztą pewien paradoks, bo on to jednak powiedział. W życiu duchowym i medytacyjnym paradoksy są potrzebne, bo wytrącają z automatyzmów.

No dobrze, a te moje granice, które ktoś narusza? Nie lepiej powiedzieć: „Słuchaj, ja się nie zgadzam, żebyś tak do mnie mówił?".

To jest pytanie, czy ja ma istnieć, czy ja jest czymś, czego masz się pozbyć. Kiedy stawiasz granice, tworzysz ja. Kiedy przestajesz stawiać granice, różne energie życiowe przenikają przez ciebie bez żadnego oporu, jak neutrina.

Tylko że ktoś może mnie nadużyć.

W książce „Do syta" napisałem, że miłość nie daje się skrzywdzić. Uważam, że w akceptującym podejściu do ludzi, życia i świata jest czynnik zabezpieczający przed złem. Nie ma lepszej obrony niż bezbronność. Kiedy podchodzisz do kogoś całkowicie wyzbyty agresywnych podtekstów, ten ktoś cię nie uderzy. Jest taka opowieść o Buddzie i mordercy imieniem Angulimala. Budda się go nie przestraszył, porozmawiali i Angulimala zrozumiał, że przemoc jest bezowocna, po czym został uczniem Buddy.

Zauważyłeś, że w trakcie naszej rozmowy oddychałem płyciej. Zauważyłeś też może, że wziąłem głęboki oddech. To jest zawsze moment przejścia przez przełęcz. Napotykasz jakąś trudność, a gdy ją przechodzisz, wypuszczasz powietrze. ↦

↦ **O widzisz: mnie się wydaje, że w medytacji w ogóle nie chodzi o oświecenie.**
A o co?

Np. właśnie o to, żeby czuć swój oddech.
Prawdą jest, że medytacja od pierwszego momentu daje ci pewien wgląd. Ja to nazywam złapaniem końca nitki, którą delikatnie przyciągasz i tworzysz swój własny motek. Przywołany przez ciebie Thich Nhat Hanh miał dar pisania o medytacji, jakby była rzeczą łatwą. On mówił: „Weź głęboki oddech i bądź przytomny w tej chwili, w której jesteś". Nie mówił: „Cierpliwie trenuj oddychanie przez wiele lat". Kładł nacisk na to, co możesz zrobić teraz. Wziąć głęboki oddech.

Westchnienie ulgi znamy wszyscy, nawet jeśli nie medytujemy. Nie jesteśmy wtedy we władaniu napięcia. Nie jesteśmy na wojnie. Odpuszczamy. To piękne słowo: odpuszczenie. Ma swoją rolę i w chrześcijaństwie, ale tu nie chodzi o odpuszczenie grzechów, tylko o odpuszczenie życiu, światu i innym ludziom. Kiedy dochodzisz w to miejsce, naprawdę możesz wytchnąć.

Napisałem tekst „Jak zostać Buddą w weekend", który zaczyna się od „Nie muś. Nie chciej. Nie potrzebuj". Nie chcieć i nie potrzebować to nie są rzeczy oczywiste. Często czegoś chcemy i często się nam wydaje, że czegoś potrzebujemy. Tylko ceną tego jest nieustające kłębienie się pod powierzchnią lodu, jak ryby zimą.

Świat nas nakręca. „Potrzebujesz nowego telefonu", mówi.
„Potrzebujesz tej relacji i tego człowieka".

No, tu się robi trudniej.
Jestem zwolennikiem jak najgłębszych więzi przy jednoczesnym wyzwoleniu z potrzeby. Żeby być całkowicie otwartym i w pewnym sensie biernym, w stanie wu wei, a dzięki temu przyjąć człowieka takim, jakim on sam się czuje. Nie mieć wymagań. Nie mówić: będę z tobą pod warunkiem, że...

Ale potrzebujesz tego kogoś czy nie?
Potrzebuję. Nie jestem Buddą. Nawet nie wiem, czy chciałbym się nim stać.

Wiesz, osiągania oświecenia nie powinno się traktować jak zdobywania K2 zimą. Nie chodzi o kręte ścieżki przez góry, jak mówił Lao-tsy, tylko o prostą drogę, która prowadzi najdalej. W taoizmie zresztą nie ma oświecenia.

No to o co chodzi w taoizmie?
O zgodę na wszystko, co przychodzi.

Masz zgodę na to, że wciąż czujesz lęk?
Nie całkiem. Czuję to jak czerwia w jabłku. Ale wiem, że moment, w którym się z tym pogodzę, będzie momentem rozpuszczenia lęku. Że problemem jest lęk przed lękiem.

Ośmielę się w takim razie poruszyć temat, o którym sam mówisz otwarcie: jesteś człowiekiem, który chorował.
Tak, mam za sobą doświadczenie 12 lat nawracającej psychozy o charakterze dwubiegunowym.

„Wydarłem się żywy z paszczy psychozy", napisałeś.
Z tego, co medycyna uważa za nieuleczalne, 9 lat temu udało mi się wypłynąć na spokojne wody. Tak, można z tego wyjść. Nie można się wyleczyć, ale można się z tym porozumieć.

Tylko trzeba brać leki, prawda?
Jest taka angielska formułka „meditation and medication". Dopóki nie nauczysz się żyć w sposób, którego ci brakło, gdy w tę chorobę wszedłeś, same lekarstwa też nie wystarczą. Ponieważ ta choroba jest reakcją – u mnie była właśnie reakcją na lęk. W sposób nieświadomy wprowadzałem się w stan bardzo wysokiego stresu, który dodawał mi wielkiej energii do działania. Na tym polega doświadczenie manii. Masz ogromny napęd i niczego się nie boisz. Jeździsz cinquecento 150 na godzinę, przepuszczasz pieniądze, wdajesz się w ryzykowne kontakty z kobietami.

To wszystko było jeszcze przed wpuszczeniem leków do mojego życia. I przed medytacją.

A teraz?
Wysypiam się. Jeśli masz dwubiegunówkę, dopóki się wysypiasz, jesteś bezpieczny. Kiedy słucham kogoś, kto mówi, że śpi dwie godziny na dobę, a potem ma przypływ napędu, myślę sobie: „Oho, jesteś moim bratem".

Wiesz, to choroba strasznie trudna do okiełznania. Bo w najgorszych dla ciebie chwilach czujesz się wszechpotężny.

Notes powędruje – nie, nie do biblioteczki! – marsz do kuchni! Przyszła także pora na dokończenie (pisanej na życzenie córek) książki smaków i zapachów mojej kuchni.
Natalia Kuźmicka, prenumeratorka „Tygodnika" w liście do redakcji

Powolny, marzycielski, swobodny, dowcipny, pachnący... Ten notes to bilet do analogowej rzeczywistości, która jest prawdziwym życiem.
Grzegorz Łapanowski, kucharz, aktywista i dziennikarz kulinarny

Kiedy Cię poznałem, miałem wrażenie, że spotkałem kogoś równego bogom. Rozmawiałem z szefem potężnej nagrody literackiej, który miał być następcą Adama Michnika w „Gazecie Wyborczej".

Wiesz, dziś jestem sto razy szczęśliwszy niż wtedy, kiedy wszystkim dookoła wydawało się, że mam świetne życie i wielkie perspektywy. Bo teraz jestem w prawdziwszym kontakcie ze sobą. Owszem, nie mam tyle energii. Ale tamta energia była mobilizowana jak na wojnę. Za pomocą dedlajnów doprowadzałem się do stanów adrenalinowej koncentracji. Niby byłem wtedy najlepszy. Ale byłem jak samospalająca się rakieta.

Teraz bardzo rozsądnie gospodaruję swoją energią. Robię niedużo rzeczy, a wśród nich najważniejsze są medytacja, regularne pisanie i lekcje chińskiego. Zacząłem się uczyć chińskiego po pięćdziesiątce, żeby móc czytać taoistyczne teksty w oryginale. Dzięki wysypianiu się i lekom jestem w stanie zaabsorbować dawki stresu związane z nauką obcego języka. Mogę przyjąć wyzwanie, które nie jest ryzykiem. Bo generalnie jestem przeciwko wyzwaniom. „Challenge" to zło. Wychodzenie ze strefy komfortu to zło. Staram się pozostawać w strefie komfortu i stopniowo ją rozszerzać, aż obejmie całe życie.

To zdanie o pozostawaniu w strefie komfortu jest największym podarunkiem, jaki mi dałeś. Moim chińskim po pięćdziesiątce jest jeżdżenie do kolegi, by pograć z nim na gitarze.

Też to uwielbiam. Układam nawet piosenki, o czym nikt nie wie. Znalazłem zawodowego muzyka, któremu wysyłam swoje utwory i on je nagrywa. Trochę się już tego zebrało. W jakimś sensie muzyka jest dla mnie ważniejsza od literatury. Często odgrywam swoje melodie w głowie, co jest moją postacią rozproszenia umysłowego.

Rozproszenia?

Kiedy to się dzieje, trudniej mi o stan skupienia na codzienności, który opisywałem w pierwszych książkach. Muzyka odtwarzająca się w mózgu w tym przeszkadza, ale przecież kiedy żyję także jej tworzeniem, to ona się musi odtwarzać. Wiele moich piosenek przyśniło mi się, po obudzeniu nagrywałem telefonem melodie, które przyszły we śnie.

Na pewno pokażę je kiedyś publicznie. Nie spieszę się z tym, ale wiem, że będę miał z tego wielką frajdę.

Medytacja daje ulgę w napięciu.

Już od od pierwszych trzech głębokich wydechów czujesz, jak zmniejsza się ciężar twojego plecaka. A potem idziesz głębiej i dalej.

A propos muzyki: napisałeś w książce „Do syta" o doświadczeniu powrotu z koncertu zespołu Coldplay.

To było na Stadionie Narodowym. Ten moment, kiedy 50 tysięcy ludzi szło przez Most Poniatowskiego, to był moment bycia we wspólnocie szczęśliwych ludzi. Zazwyczaj kiedy idziesz przez miasto, czujesz, że wszyscy pilnują swojej strefy bezpieczeństwa. A tam ona zniknęła. Byliśmy w tłumie, dotykaliśmy się, ale nie byliśmy... szukam słowa... elektryczni?

Byliście rozładowani?

Rozluźnieni, rozładowani, owszem.

Medytacja jest doświadczeniem wspólnotowym?

Tak. Ja mam wprawdzie cechy pustelnika, ale zauważam, jak członkowie mojej grupy są dla siebie ważni. Z jaką uwagą słuchamy po zakończeniu zajęć odpowiedzi na to jedno pytanie: „Jak ci się dzisiaj medytowało? Jak się teraz czujesz?". Wielu mówi też, że medytowało w intencji członków grupy.

Czy ja Cię zapytałem, co jest przyjemne w medytacji?

Daje ulgę w napięciu. Już od pierwszego dnia, od pierwszych trzech głębokich wydechów czujesz, jak zmniejsza się ciężar twojego plecaka. Ulga w napięciu jest ścieżką, która prowadzi dalej, od najbardziej naskórkowych postaci tego napięcia do najgłębszych.

Pytałeś w pewnym momencie o cel medytacji. Moim jest miłość. Miłość do siebie samego, wyzbycie się lęku o siebie samego, bo lęk jest antagonistą miłości. Miłość do innych ludzi, wyzbycie się lęku przed innymi ludźmi. Miłość do świata jako całości i wyzbycie się lęku przed światem. Przed tym samochodem na czerwonym świetle.

A jeśli się nie uda?

Zawsze mogę pozmywać naczynia.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *O fizyce*

Czasy są ciężkie, wiadomo, ale może dlatego wypada choćby przez chwilkę, na nowo, zastanowić się, kto nami rządzi i jak. O tym właśnie, nieco bardziej ogólnie, chcemy dziś pogwarzyć. Oto mamy na myśli nie tylko rządzących nami tu, w Polsce, ale i rządzących spoza Polski. Zdanie to brzmi – każdy przyzna – idealnie po polsku. Z powodu zawartych w nim mrocznych a tajemniczych sugestii, wręcz insynuacji, oraz mnóstwa zaszytych pytań retorycznych. Wiadomo oczywiście, kto rządzi światem, to wie każdy. Spróbujmy jednak, mimo kłopotów, wszystko to teraz uporządkować i ukonkretnić, a tym samym rozjaśnić i zaktualizować – bo zaiste rzec trzeba, że na pytania o władztwo, zarówno tutejsze, jak i planetarne, nie jesteśmy gotowi ot tak, bez namysłu, odpowiedzieć. Tym bardziej – z powodu pewnego pozornie drobnego incydentu – od tygodnia z hakiem nie wiemy, kto rządzi Francją.

Na początek niezbędna garść konkretów, dla przypomnienia. Polską rządzą panowie: Kaczyński, Duda i Morawiecki. Niby – popatrzmy – jest to dla wszystkich oczywiste. Oto każdy w Polsce wie, że Gospodarz nieformalnie rządzi ludźmi formalnie piastującymi funkcje władcze, oni zaś transmitują jego wolę niżej, aż do miejsca, gdzie my – ludzie szarzy szarością najkrzykliwszą – ponuro siedzimy w oczekiwaniu na rozkazy, strzelanie z bicza, gdzie takoż czekamy, wiercąc się nerwowo, na owych ludzi najdziwaczniejsze pomysły i wykoncypowane przez nich nowe definicje – weźmy to parabolicznie – grawitacji. Ktoś powie niekonkretnie a pojednawczo, że jednak jakoś, gdzieś, czasem i p. Duda, i p. Morawiecki mają zdolność bądź możliwości do formułowania myśli, ale i do robienia czegoś samodzielnie. Otóż nie chcemy wnikać, gdzie i kiedy mianowicie ta samodzielność się zdarza. Tak czy owak, teraźniejszy model władzy w Polsce jest osobliwością i nie można oczekiwać, że ktoś z dalekiego świata, gdzie model jest inny, ma go łatwo rozumieć czy uznawać za dobry. Nie musi, bo musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce. Mamy nadzieję, że w tych kilku świetnie skonstruowanych zdaniach udało się nam naszkicować teorię i praktykę demokracji polskiej.

Przejdźmy teraz dalej, do konkretu konkretów, czyli do niedawnej wypowiedzi prezydenta Francji p. Macrona, który w ataku rozdzierającej desperacji powiedział, że p. Morawiecki, spotykając się z p. Le Pen, próbował wpływać na wyniki francuskich wyborów prezydenckich.

Musieliśmy tę informację przeczytać sobie kilka razy, zażywając przy tym garść pigułek ułatwiających odkaszliwanie. Nasza znakomita orientacja, oczytanie i zdolność do myślenia kontekstowego ułatwia znajdowanie w historii planety zdarzeń zawsze podobnych. Macronową opinię na temat potencjału *tête-à-tête* p. Morawickiego z p. Le Pen trzeba tu postawić obok przynajmniej dwu zdarzeń o charakterze kreacyjnym na skalę międzynarodową czy cywilizacyjną, których sprawcami byli ludzie urodzeni w dorzeczu Wisły. Pierwszym jest coraz mniej popularne odkrycie Mikołaja Kopernika – przez wieki uważane za znakomite i właściwie obrazujące kształt najbliższego kosmosu. Drugie to fakt dawniejszy i mniej znany. Idzie nam tu o kapitalne powstrzymanie przez tutejszych Słowian raźnego marszu legionów rzymskich na północ kontynentu, co zapobiegło zasadniczym zmianom na tych terenach. Otóż gdzieniegdzie można znaleźć informację, że przewaga armii rzymskiej, w każdym sensie technologiczna, zdała się na nic wobec ataków tresowanych przez Słowian pszczół. Każdy wie, że na złą pszczołę pod koszulą, a zwłaszcza pod pancerzem nie ma mocnych. Rzymianie uznali, że w tym wypadku lepiej się nie pchać, gdzie ich nie chcą, gdzie wolą płozy od koła, masło od oliwy, a piwo od wina.

Komuś, komu wydaje się, że ten historyczny wtręt jest przydługi, że może być on niezgodny z historią w wersji akademickiej, zwracamy uwagę, że w polskich uniwersytetach uczą nie takich rzeczy i nie tak atrakcyjnie podanych. Otóż gdyby wpływ p. Morawieckiego na wybory we Francji był taki, jak to zobaczył w rozpaczy p. Macron, to jego zdanie powinno się wydrukować po polsku i w oryginale, we wszystkich polskich podręcznikach szkolnych, w tym tych do fizyki. Zwłaszcza gdy p. Le Pen wybory w istocie wygra.©

BARTOSZ MINKIEWICZ

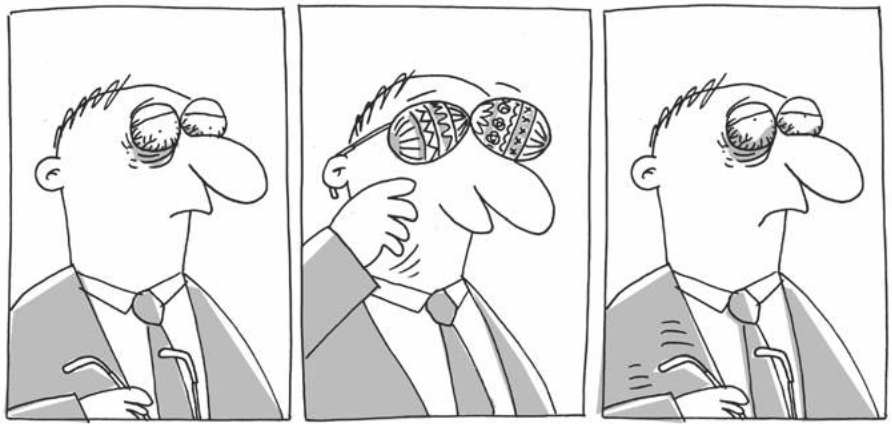

REKLAMA

160 LAT
MUZEUM NARODOWEGO w WARSZAWIE

Muzeum Narodowe
w Warszawie

29/04–07/08/2022

STAN RZECZY

fot. Agnieszka Rayss / Muzeum Narodowe w Warszawie

Muzeum Narodowe w Warszawie

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS MUZEUM

ORLEN

PATRON ROKU JUBILEUSZOWEGO

PGE

PARTNERZY MUZEUM

TOTALIZATOR SPORTOWY

TZ

IC PKP INTERCITY

PATRONI MEDIALNI

TwojSTYL

RMF CLASSIC

TVP KULTURA

onet

REKLAMA

160 LAT
MUZEUM NARODOWEGO
w WARSZAWIE

23/04–24/07/2022

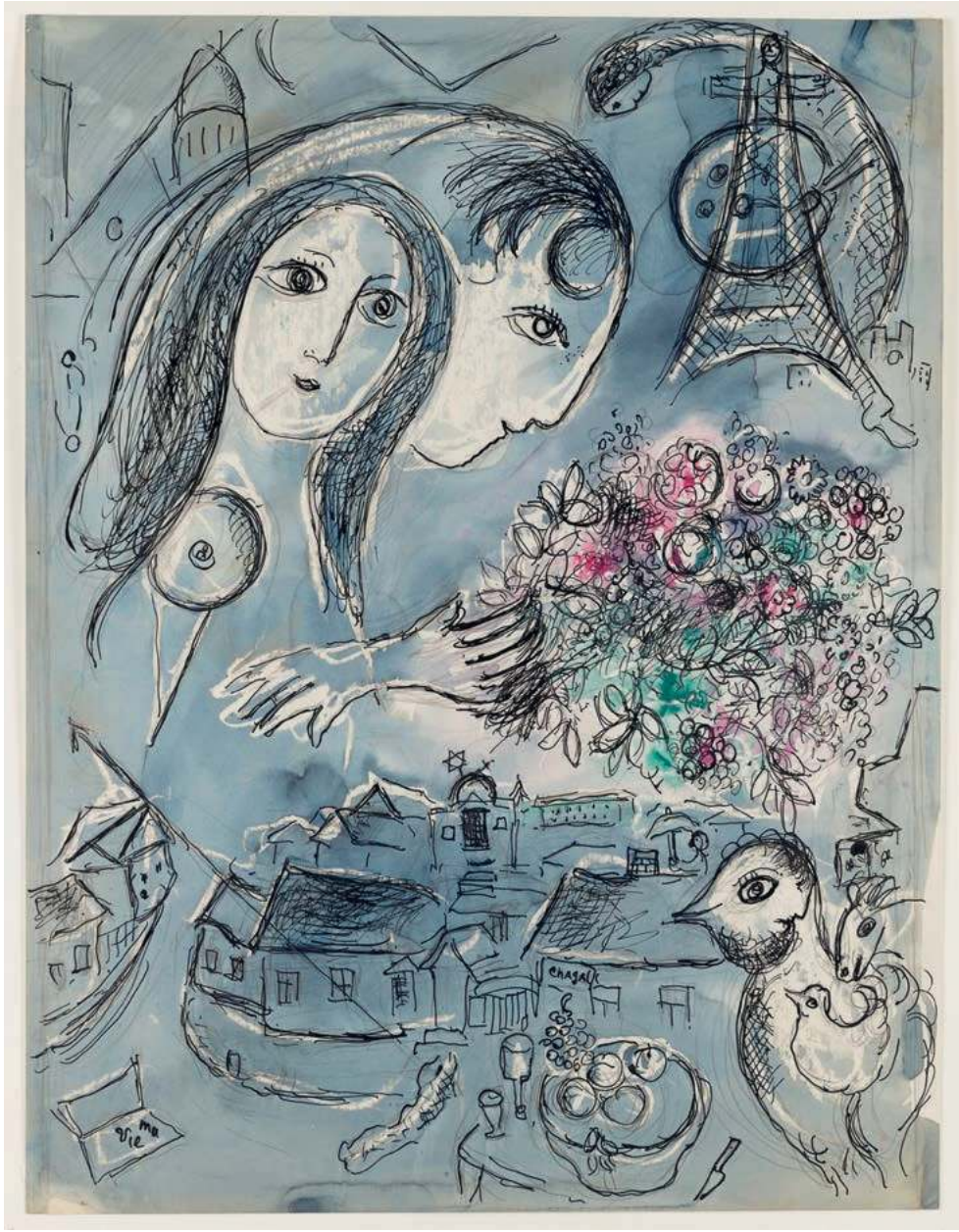

„Moje życie" między Witebskiem a Paryżem («Ma vie» entre Vitebsk et Paris), 1954

Chagall

Muzeum Narodowe w Warszawie

WYSTAWA POD HONOROWYM PATRONATEM WICEPREZESA RADY MINISTRÓW, MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, PROF. PIOTRA GLIŃSKIEGO
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS MUZEUM

ORLEN

PATRON ROKU JUBILEUSZOWEGO

PGE

PARTNERZY MUZEUM

TOTALIZATOR SPORTOWY

TZ

PKP INTERCITY

PARTNER WYSTAWY

ams